PEŁNA HUMORU ROZPRAWA Z NASZYMI NAROSŁYMI PRZEZ WIEKI NARODOWYMI MITAMI

ANDRZEJ KLIM

POLSKA NIEMCY 1:0

CZYLI 1000 LAT SĄSIEDZKICH POTYCZEK

PWN

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ANDRZEJ KLIM

POLSKA NIEMCY 1:0

CZYLI 1000 LAT SĄSIEDZKICH POTYCZEK

PWN

Copyright © for the Polish edition by Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o., 2015
Grupa Wydawnicza PWN
ul. Gottlieba Daimlera 2
02-460 Warszawa
tel. 22 695 45 55
www.dwpwn.pl
Copyright: © for the text by Andrzej Klim, 2015

Menedżer Pionu Wydawniczego: Monika Kalinowska
Wydawca: Katarzyna Kucharczuk
Redakcja: Redaktornia.com
Korekta: Łukasz Mackiewicz, eKorekta24.pl
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Przygotowanie wersji elektronicznej: Ewa Modlińska
Skład wersji elektronicznej na zlecenie Domu Wydawniczego PWN: Marcin Kapusta

ISBN 978-83-7705-832-9 (ePub)
ISBN 978-83-7705-833-6 (Mobi)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo.
Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

Spis treści

Wstęp

O Piastach, którzy cesarzom na nerwach czasem grali

O sprowadzeniu butnych Krzyżaków na drogę pokory

O opłakanych dla Rzeczypospolitej skutkach wstydliwej przypadłości Fryderyka II

O nader specyficznym pojmowaniu kultury przez kulturalnych (ponoć) Niemców

O tym, co Polskę i świat spotkało, kiedy Niemcy ulegli magii pewnego niespełnionego malarza

O nieustającej walce na miecze, armaty i słowa

- Bitwa o drogę
- Bitwa, której nie było
- Bitwa o chorągiew
- Bitwa o dwa nagie miecze
- Bitwa z politycznym sukcesem w tle
- Bitwa o przyszłość POLSKI
- Bitwa o KOPERNIKA

Zakończenie

Kalendarium polsko-niemieckiej gry na nerwach

Bibliografia

Bożenie i Ignasiowi

Jak świat światem,
nie będzie Niemiec
Polakowi bratem

przysłowie ludowe

WSTĘP

11 października 2014 roku w kontaktach polsko-niemieckich wydarzyło się coś, co w pamięci Polaków przyćmiło zdobycie Berlina w 1945 roku, bitwę pod Grunwaldem i hołd pruski. Coś, co wprowadziło Niemców w stan większej frustracji niż traktat wersalski, przegrane powstanie w Wielkopolsce i wóz Drzymały razem wzięte. Gdyby istniał jeszcze specjalizujący się w składaniu „kurtuazyjnych wizyt" zakończonych wybuchem światowej wojny krążownik „Schleswig-Holstein", jego działa rozgrzałyby się do czerwoności. A tak – paru Niemcom będącym świadkami owego wydarzenia pozostało tylko zdemolowanie toalet w miejscu swojej klęski. Bo tego dnia Niemcy ponieśli z rąk, a raczej z nóg Polaków klęskę zaskakującą i totalną. I historyczną! Po raz pierwszy w historii polska drużyna narodowa pokonała piłkarską reprezentację Niemiec, aktualnych mistrzów świata, i to aż dwa do zera! Smaczku całemu zdarzeniu dodawało to, że w polskiej drużynie grali zawodnicy występujący na co dzień w najlepszych klubach Niemiec, natomiast w drużynie przeciwnej – Polak z niemieckim obywatelstwem, który zapowiedział, że jeśli strzeli gola, to nie będzie okazywać radości. Polacy postarali się więc, żeby solidarnie cała niemiecka drużyna nie musiała okazywać radości. Solidarnie, bo bądź co bądź Polska to kolebka „Solidarności".

Ten przypadek, a jak mówią złośliwcy, przypadkowa wygrana, to doskonała ilustracja skomplikowanych stosunków polsko-niemieckich, które od ponad tysiąca lat burzą spokój tego zakątka Europy, a czasem wpływają na dzieje całego świata… Wiele razy bowiem Niemcy dawali Polakom porządnie w kość, wykorzystując – co tu ukrywać – jeśli nie przewagę, to ogromny potencjał polityczny, gospodarczy, militarny i kulturalny. Cóż mogliśmy temu przeciwstawić? Zadziorność, nieustępliwość i pomysłowość, tak jak na boisku. I przynajmniej kilka razy

odnieśliśmy sukces, co wprawiało niemieckiego Goliata we wściekłość. Czasem bezsilną. Tak jak 11 października 2014 roku na Stadionie Narodowym w Warszawie.

I jeszcze gwoli wyjaśnienia: na potrzeby książki wrzuciłem do jednego worka wszystkich niemieckojęzycznych osobników, których Polakom udawało się skutecznie wkurzać. A to, czy ktoś był, jest, czuł się lub czuje Prusakiem, Bawarczykiem czy innym Austriakiem, z punktu widzenia Polaków znaczenie miało i owszem, ale doprawdy nie miało znaczenia w razie potrzeby zagrania Niemcom na nosie. Wszak Polak potrafi.

Piłkarski sukces, po którym nazajutrz nagłówki w gazetach (także tych należących do niemieckojęzycznych koncernów medialnych) krzyczały, że Polska odniosła zwycięstwo większe niż pod Grunwaldem, to tylko jeden z maleńkich elementów zabawy pod tytułem „jak wkurzyć Niemców". Oddajmy sprawiedliwość innym sąsiadom – Polacy nie szczędzili czasu i sił, aby ich także doprowadzać do stanu podwyższonej nerwowości, ale to Niemcy okazywali się zwykle najbardziej podatni na te zaczepki. Ruszali wtedy na wschód, żeby krzewić „niemiecką kulturę" i zrobić „Ordnung", po czym ostatecznie wracali jak niepyszni do siebie. Właściwie mogli przy tym odnieść wrażenie, że Polacy wybrali sobie do zamieszkania tereny sąsiadujące z Niemcami specjalnie po to, żeby grać im na nerwach. Ale, co ciekawe, wśród zmieniających się przez stulecia granic europejskich państw to właśnie granica dzieląca Polskę i Rzeszę była jedną z najtrwalszych. Od ustalenia jej przebiegu za czasów króla Kazimierza Wielkiego w roku 1343 po pierwszy rozbiór Polski w roku 1772 niemal się nie zmieniła.

No właśnie – granica z Rzeszą, a nie z Niemcami. Rzeszą, bo to był konkretny twór polityczny. A Niemcy? Przez wieki nie istniało państwo o takiej nazwie jak Niemcy. Były Saksonia, Brandenburgia, Hanower, Prusy, Bawaria, Badenia, Austria i kilkadziesiąt innych państw i państewek, niekiedy wręcz nikczemnej wielkości. Dzieliły się i łączyły, najczęściej na życzenie niepatyczkujących się z lokalnymi chęciami polityków, jak Napoleon, Bismarck czy Hitler i Stalin. Jeszcze za czasów największej paranoi, jaka zapanowała na ziemiach niemieckich, czyli III Rzeszy wymyślonej przez Adolfa Hitlera, odpowiedź na pytanie, czym są Niemcy, nie była prosta. Polacy radzili sobie z tym na różne sposoby, jak choćby ten

z wydanego w roku 1935 encyklopedycznego „Świata i Życia”. Dowiadujemy się z niego, że Niemcy to właściwie ni pies, ni wydra.

> Niemcy nie były nigdy i nie są jednością geograficzną. Rozpadają się na wiele naturalnych i wielkich obszarów, a te znowu dzielą się na wiele krain. Wygląda to tak, jak gdyby Niemcy były wycięte z europejskiego pnia kontynentalnego w sposób sztuczny. […] Wielka tu zmienność krain; wiele jest punktów środkowych o różnej doniosłości. Z nich raz jeden, raz drugi nabierał znaczenia. Ta okoliczność sprzyjała w wysokim stopniu decentralizacji i politycznemu rozbiciu, wzrostowi księstw i dynastyj, którym po kolei przypadała korona cesarska. […] Sąsiadując od wieków z narodami Europy Zachodniej i Południowej o wysokiej kulturze, Niemcy dopiero w drugiej połowie XIX stulecia dorównywać im zaczęły w rozwoju kultury materialnej. Prawda, że mogą się pochlubić w dawnych okresach sztuką zakładania i budowania miast, wynalazkiem sztuki drukarskiej oraz innemi zdobyczami, ale aż do połowy XIX wieku były krajem rolniczym, zubożałym i zniszczonym przez wojny, reprezentującym przeciętny podówczas typ większości krajów Europy.

Niemieckie ego po przeczytaniu takiej diagnozy powinno zostać mocno nadszarpnięte, a pejoratywne określenie *polnische Wirtschaft* – zmienić znaczenie.

Jeszcze gorzej jest z odpowiedzią na pytanie: kim są właściwie Niemcy? W języku polskim już sama nazwa „Niemiec” zawiera – mamy wrażenie – pierwiastek pejoratywny. To ludzie, z którymi nie można się dogadać, „niemi”, czyli „Niemcy”. Podobne problemy językowe mieli z nimi widać i inni bracia Słowianie. Czesi mówią: *Německo*, Słowacy – *Nemecko* (tak, żeby się odróżnić od Czechów), a po chorwacku Niemcy to *Njemačka*. Tylko Rosjanie musieli jak zawsze wyjść przed szereg i nazwać ów kraj Giermanią. Może wydawało im się, że w ten sposób „Matuszka Rossija”, choć oddzielona od Niemiec niepokorną Polską, stanie się prymuską w kontaktach z „giermancami”? Biorąc pod uwagę to, co wyczyniali wspólnie z Niemcami, a czasem i przeciw nim – mieli rację. Odmienność rosyjskojęzycznej „Giermanii” zastanawia tym bardziej, że nawet Węgrzy, którzy w jakikolwiek sposób nazwaliby Niemców, i tak by nikt nie wiedział, o co chodzi, używają nazwy zbliżonej do nazw słowiańskich – *Németország*.

Niemcy odegrali się na wszystkich Słowianach hurtem, określając ich jako *Slawen*. Przy niewyraźnej wymowie brzmi całkiem jak *Sklaven*, „niewolnicy”. Od razu wiadomo, gdzie we wczesnym średniowieczu

Niemcy zaopatrywali się w ten towar (zresztą według jednej z hipotez Mieszko, pierwszy nasz historycznie udokumentowany władca, miał prowadzić w tej branży całkiem intratny biznes). Zdarza się, że Niemcom taki sposób traktowania sąsiadów, a zwłaszcza sąsiadek, zza wschodniej granicy pozostał do dzisiaj – spójrzmy choćby na pomoce domowe z Polski. A potem polska pomoc pisze o tym książkę, która zostaje bestsellerem na niemieckim rynku, bo Niemcy dowiadują się z niej o sobie więcej niż z dzieł Goethego i Schillera razem wziętych.

„Świat i Życie" zdefiniował ludność Niemiec w sposób, który rządzących wtedy w Berlinie zwolenników czystości rasowej, wyższości rasy aryjskiej i tym podobnych „naukowych" twierdzeń musiał doprowadzić do wściekłości.

> Przez Niemcy już od czasów przedhistorycznych przesuwały się w swych wędrówkach liczne ludy, należące do różnych ras. Z tego powodu Niemcy nie stanowią rasy jednolitej, lecz są mieszaniną różnych typów antropologicznych.

No a dalej jest jeszcze gorzej (dla miłośników „czystości rasowej"):

> Niemcy mają podobny do polskiego rasowy układ ludności, z tą różnicą, że większa jest u nich niż w Polsce domieszka rasy śródziemnomorskiej. Niemcy nie tworzą zatem jednolitej rasy ludzkiej. Uważany zaś przez nich za najczystszy typ rasy germańskiej – typ nordyczny – nie jest rozpowszechniony bardziej niż wśród ludności w Polsce. Niemcy przypisują owej, rzekomo przeważającej u narodu niemieckiego, rasie nordycznej wszystkie dodatnie cechy fizyczne i wszystkie dobre strony charakteru niemieckiego, podczas gdy w domieszkach innych ras skłonni są dopatrywać się raczej cech ujemnych. Posuwają się nawet do tego, iż rozróżniają czystych Niemców, a więc Niemców rasowych, i Niemców połowicznych, pochodzenia słowiańskiego lub innego, którzy są Niemcami tylko z języka i kultury. Wszystko, co dobre i wielkie w Niemczech, miała zrobić rasa nordyczna, co złe – inne rasy, z któremi się Niemcy pomieszali.

Takie ukształtowanie się struktury ludności nie mogło pozostać bez wpływu na niemiecką psychikę, bo mimo znacznych różnic między mieszkańcami poszczególnych regionów państwa, które „nie było i nie jest jednością geograficzną", istniało i istnieje coś takiego jak „duch niemiecki". Zobaczmy zatem, co w niemieckiej głowie siedzi:

> Kult ucieczki od życia publicznego i chęć zrzucenia odpowiedzialności za to, co się dzieje na jego terenie, na barki innych, jest przejawem bardzo charakterystycznym

dla psychiki niemieckiej; ułatwia on też wystąpienie i działanie człowieka o silnej woli, umiejącego podporządkować sobie naród, w którym instynkt posłuchu jest najsilniej zakorzeniony. Odnosi się to nie tylko do tego, co zwykło się określać mianem „pruskiego drillu”, tj. jak gdyby tresowania ludzi, ale łączy się z poczuciem posłuszeństwa i karności, wpajanem w młodzież od najwcześniejszego dzieciństwa. Konsekwencją tego jest kult władzy, a zwłaszcza poszanowania munduru, tak charakterystyczny dla Niemiec.

Dalej może być tylko gorzej.

Ten pierwiastek świadomości, potrzeby zdania sobie sprawy z tego, co było, i jasnego uświadomienia tego, co ma być – nadaje piętno i prywatnemu życiu Niemca, w którem wszystko ujęte jest w tryby pewnego z góry ustalonego ładu i porządku. Widać to nawet i w urządzeniu kuchni niemieckiej.

Po prostu miażdżąca charakterystyka. Cztery lata po opublikowaniu tego opisu Polacy, chcąc nie chcąc, musieli osobiście przekonać się o jego trafności.

O PIASTACH, KTÓRZY CESARZOM NA NERWACH CZASEM GRALI

Trudno uwierzyć i opowiedzieć, z jaką wspaniałością
przyjmował wówczas Bolesław cesarza i jak
prowadził go przez swój kraj aż do Gniezna
kronika biskupa merseburskiego Thietmara

Historia naszych zachodnich sąsiadów jest o wiele lepiej udokumentowana w źródłach pisanych niż nasza. Wiadomo na przykład, że Juliusz Cezar pobił germańskie plemiona zbyt agresywnie dobijające się do granic rzymskiego państwa, a jego następca August rozpoczął systematyczny podbój Germanii. Jednak w 9 roku n.e. Germanowie mieli już dosyć szerzycieli cywilizacji śródziemnomorskiej i wódz plemienia Cherusków Arminiusz, wspólnie ze swoimi ludźmi, wyrżnął w pień w Lesie Teutoburskim trzy legiony (kilkanaście tysięcy żołnierzy) najlepszej wówczas armii na świecie. Arminiusza zaś pozbawili życia sami Germanowie w obawie, aby nie wpadł na pomysł pociągnięcia ich za sobą na wyprawę przeciw Rzymianom, którzy dali się tak sromotnie pobić… Wodzowie plemion germańskich woleli siedzieć w swoich leśnych ostępach nieniepokojeni przez imperium, niż pchać się do stolicy.

Germanowie odwagi nabrali kilkaset lat później. Kiedy akurat nie walczyli między sobą, to dogadywali się co do współdziałania, przemieszczali i łączyli plemiona w coraz to większe grupy. Te pod wodzą Allemanów osiedliły się w drugiej połowie II wieku n.e. nad górnym Renem. Pół wieku później poczuli się już na tyle silni (a Rzym był na tyle słaby), że zaatakowali granice imperium i po kolejnym półwieczu zmagań

z Rzymianami zajęli teren między górnym Dunajem a Renem. Frankowie, którzy zebrali pod swoim zwierzchnictwem sporą liczbę pomniejszych plemion, w III wieku upatrzyli sobie nie tylko dolny i środkowy Ren, ale ustawicznie, nieproszeni zresztą, przenikali na teren rzymskiej Galii, gdzie na ich osiedlanie się osłabieni Rzymianie, zajęci jak zwykle innymi problemami niż tymi prawdziwymi, przymykali oko.

W samym Rzymie źle się działo. Państwo okazało się niewydolnym molochem. Brakowało żołnierzy, by zabezpieczyć gigantycznie długie granice i pilnować porządku wewnątrz państwa. W garnizonach nadgranicznych zaczęto więc przyjmować do służby miejscową ludność. To jakby samemu wpuścić wilki do owczarni. Graniczne garnizony zostały więc obsadzone Germanami, a tym samym granica stała się szczelna jak sito i Germanowie ruszyli w stronę lepszego życia. Najcięższe doświadczenie było jeszcze przed Rzymianami. Hun Attyla, zwany pieszczotliwie „Biczem Bożym”, na czele swoich wschodnioazjatyckich pobratymców ruszył na ten bogaty kraj. Najpierw podbił odłam wschodni Gotów, czyli Ostrogotów, a następnie zmusił zachodnich, czyli Wizygotów, do przesiedlenia się za Dunaj, na Bałkany należące do cesarstwa rzymskiego ze stolicą w Bizancjum, dokąd w tym czasie przeniósł się cesarz z podupadłego Rzymu. Hunów udało się Rzymianom powstrzymać dopiero dzięki pomocy Franków. Ci pozostawali wobec cesarstwa lojalni, wypełniali zobowiązania i stanęli do walki z Hunami dowodzonymi przez Attylę. Do rozstrzygającej bitwy doszło nad górną Sekwaną na Polach Katalunickich w roku 451. Attyla przestał być „Biczem Bożym”, po klęsce ruszył z ludźmi na Nizinę Węgierską tam lizać rany.

Frankowie zaczęli grać pierwsze skrzypce wśród plemion germańskich wówczas, gdy na ich czele stanął w roku 482 Chlodwig z rodu Merowingów. Linia Loary, środkowy Ren – to kolejne etapy poszerzania państwa przez Chlodwiga. Później przyszła kolej na państwa Burgundów i Wizygotów, bo apetyt rósł, gdy kolejne plemiona w miarę łatwo ulegały Frankom. Z czasem na pierwszy plan zaczęły się wysuwać urząd majordomusa i przedstawiciele rodu Pepinidów. W roku 751 Pepin Krótki zdetronizował ostatniego z Merowingów – Chliperyka III – i został królem Franków. Trzy lata później zostało to potwierdzone przez papieża – w zamian Pepin udzielił pomocy militarnej w walce z przeciwnikami papiestwa.

Przeskoczmy kolejnych kilkadziesiąt lat – akurat to, kto zagarnął „królewski stolec”, wykończył dynastię Merowingów, i kto zasiadłszy na nim, mordował bliższych i dalszych krewnych, ukrytych w tym zapomnianym zakątku Europy, Słowian niewiele obchodziło. Bo co to ich mogło obchodzić, że niejakiego Karola, zwanego przez potomnych Wielkim, 25 grudnia roku 800 papież koronował na cesarza? Albo że Karol dokonał rzeczy niezwykłej – zjednoczył rozbite państwa i wskrzesił na zachodzie, chociaż na krótko, cesarstwo rzymskie? Albo że w 843 roku potomkowie Karola dogadali się w Verdun i podzielili państwo na trzy części, kładąc tym samym podwaliny pod w miarę stabilny podział Europy Zachodniej? Jednak właśnie władcy jednego z nich, Królestwa Wschodniofrankijskiego, czyli plus/minus Niemiec, mieli już częstszy kontakt ze słowiańskimi sąsiadami. Ponad sto lat później Słowianie Połabscy brali udział w walkach z Sasami po stronie Franków. Natomiast Karol Wielki prewencyjnie, a przy okazji także ze względu na możliwość złupienia ziem położonych w miarę blisko (ponieważ większość Europy należała do niego, łupienie samego siebie byłoby co najmniej ekstrawagancją), uderzył na Wieletów i wymusił od nich oraz od Słowian Połabskich płacenie trybutu. Później jeszcze potykał się z Serbami, których rozniósł pod Wanenfeld w roku 806. Zarówno od nich, jak i od Czechów pobierał trybut.

Skąd się ci Słowianie wzięli? Wśród borów, pól i lasów dorzecza Warty, Odry i Wisły, a nawet i dalej na zachód, wschód i południe, żyły plemiona, które dotarły tu w czasie wędrówek ludów. Po wzajemnych podchodach, przepychankach i wyrzynankach około V wieku na terenie Wielkopolski pomieszkiwali prawdopodobnie Serbowie, w Małopolsce Chorwaci i Sklawinowie, na Śląsku Obodryci, na Mazowszu zaś – a to niespodzianka – Mazowszanie. Tutaj też zróbmy skok czasowy o kilkaset lat i spójrzmy na te same tereny, gdy mieszkają tu już bezpośredni przodkowie obecnych mieszkańców. Mazowszanie utrzymali się na swoich terenach, w Wielkopolsce – Polanie, w okolicach Krakowa – Wiślanie, na Kujawach – Goplanie, nad dolnym Sanem, górnym Bugiem i środkową Wisłą – prawdopodobnie Lędzianie.

Kontakty między Frankami a Słowianami zaczęły się od wymiany handlowej, a przy okazji, jak to bywa w dyplomacji, attaché handlowy okazał się regularnym szpiegiem. Chodzi o osobnika zarejestrowanego jako

TW Geograf Bawarski. Ludwik II Niemiecki chciał wiedzieć, jakim zagrożeniem mogą być jego wschodni sąsiedzi, jakimi siłami dysponują. Szpieg-handlowiec spisał się całkiem nieźle i popełnił raport zatytułowany *Opis grodów i ziem z północnej strony Dunaju* – opisał w nim około trzydziestu plemion (w tym kilka śląskich, jak Dziadoszanie, Opolanie i Ślężanie) , ale nie zauważył tego, które wkrótce stanie na czele tendencji zjednoczeniowych – pominął Polan. Może wywiadowcy TW Geografa zawiedli? A może Polan na Wartą wcale jeszcze nie było i opowieści o bratnich cechach Poznaniaków i Szkotów, czyli skąpstwie, mają jednak jakieś podstawy? Podywagować zawsze można, nikt nie obali nawet najbardziej fantastycznej hipotezy, bo źródeł pisanych, które dla większości historyków są niby prawdy objawione – mamy niewiele. Wśród nich warto wymienić *Żywot św. Metodego*, dzięki któremu dowiadujemy się, że w ostatniej ćwierci IX wieku panował sobie „potężny książę na Wiślech". Niestety, potęga może i była odpowiednia „na Wiślech", ale nie starczyła na Świętopełka, władcę Moraw. Świętopełk pokonał księcia i siłą ochrzcił.

Nieuchronnie zbliżamy się do momentu, kiedy w przekazach pisanych pojawiają się wzmianki o księstwie Polan i niejakim Mieszku stojącym na jego czele. Ale zanim o tym, przenieśmy się na zachód i sprawdźmy, z kim tam przyjdzie Mieszkowi się kontaktować, z kim współpracować, czasem walczyć. Karolingowie władający wschodnimi obszarami dawnej monarchii Karola Wielkiego przeszli już w tym czasie do historii. W 911 roku zmarł Ludwik zwany Dziecięciem (faktycznie miał w chwili objęcia tronu sześć lat, a w momencie zgonu – około osiemnastu). Osiem lat później panowie sascy i frankońscy wybierają na króla księcia saskiego Henryka I. W ten sposób rozpoczynają się przeszło stuletnie rządy dynastii saskiej. Z jej przedstawicielami będą się nieraz musieli zmierzyć lub sprzymierzyć polscy władcy. Syn Henryka Otton I panujący od 936 roku zmusił w 950 roku czeskiego księcia Bolesława do płacenia trybutu. Podobnie potraktował Mieszka – w roku 964 zmusił go do płacenia daniny, ale tylko z terenu „aż po Wartę", czyli z obszaru mniejszego niż połowa państwa. To i tak stanowiło całkiem spory szmat ziemi, bo jak pisał Ibrahim ibn Jakub, podróżnik z Kordoby, który w latach 965–966 odbył podróż na dwór cesarza Ottona I i dalej na wschód m.in. do Polski (cesarz wysłał go w charakterze wywiadowni gospodarczej):

> A co się tyczy kraju Mieszka, to [jest] on najrozleglejszy z ich [to znaczy słowiańskich] krajów. Obfituje on w żywność, mięso, miód, i rolę orną [lub: rybę]. Pobierane przez niego [czyli Mieszka] podatki [stanowią] odważniki handlowe. [Idą] one [na] żołd jego mężów. Co miesiąc [przypada] każdemu [z nich] oznaczona ilość z nich. Ma on trzy tysiące pancernych [podzielonych na] oddziały, a setka ich znaczy tyle co dziesięć secin innych [wojowników]. Daje on tym mężom odzież, konie, broń i wszystko, czego tylko potrzebują. A gdy jednemu z nich urodzi się dziecko, on [Mieszko] każe mu wypłacać żołd od chwili urodzenia, czy będzie płci męskiej, czy żeńskiej. A gdy dorośnie, to jeżeli jest mężczyzną, żeni go i wypłaca za niego dar ślubny ojcu dziewczyny, jeżeli zaś jest płci żeńskiej, wydaje ją za mąż i płaci dar ślubny jej ojcu. A dar ślubny [jest] u Słowian znaczny, w czym zwyczaj ich [jest] podobny do zwyczajów Berberów. Jeżeli mężowi urodzą się dwie lub trzy córki, to one [stają się] powodem jego bogactwa, a jeżeli mu się urodzi dwóch chłopców, to [staje się] to powodem jego ubóstwa”.

Widać, że na biednego nie trafiło… W roku 966 polski władca doszedł do wniosku, że wystarczy już tego tkwienia w pogaństwie. Dość się napatrzył, jak margrabiowie, czyli władcy marchii na wschodnich rubieżach cesarstwa, podbijali pogańskich zachodnich Słowian, takich jak Wolinianie, Wieleci czy Łużyczanie, na których ziemie sam ostrzył sobie zęby. Mieszko miał na pieńku szczególnie z Wichmanem, awanturnikiem i wichrzycielem, zamieszanym w antycesarskie spiski, który stanąwszy na czele Wieletów, ruszył na Polan. Podczas pierwszego wypadu Wichman zdobył ogromne łupy i zabił jednego z braci Mieszka. Rok później Mieszko wprowadził swoje państwo do chrześcijańskiej rodziny Europy. I zrobił to, zagrawszy na nosie Niemcom – przyjął nową wiarę za pośrednictwem Czech, pomijając arcybiskupstwo w Magdeburgu założone przez Ottona I jako bazę misji wśród Słowian. Pozwoliło to polskiemu Kościołowi zachować niezależność od niemieckiej hierarchii. Mieszko pozyskał w pakiecie z chrztem z Czech tamtejszą księżniczkę Dąbrówkę. Przeżyła z mężem mniej lub bardziej zgodnie (jak zanotował niezawodny Gall Anonim, pierwszy polski kronikarz, „nie pierwej podzieliła z nim łoże małżeńskie, aż powoli a pilnie zaznajamiając się z obyczajem chrześcijańskim i prawami kościelnymi, wyrzekł się błędów pogaństwa i przeszedł na łono matki-Kościoła”) około dwunastu lat. Urodziła mu następcę – syna Bolesława – oraz córkę Świętosławę, która dzięki kolejnym małżeństwom i synom z nich pochodzącym zasiadała na tronach Szwecji, Danii, Norwegii

i Anglii. A jak jej który absztyfikant za bardzo nadskakiwał, to albo go trucizną, albo ogniem w łaźni usuwała ze swojej drogi życiowej.

Mieszko, dzięki wsparciu teścia, księcia Bolesława, mógł teraz skuteczniej stawić czoło Wichmanowi. I kiedy w roku 967 ten wichrzyciel zorganizował kolejną wyprawę na państwo Polan, gdzieś na północ od ujścia Warty do Odry, drogę zastąpił mu polski książę. Mieszko przechytrzył w starciu Wichmana: narzucił mu wygodne dla siebie miejsce bitwy, jazdę ukrył (Niemiec miał tylko piechotę Wieletów), a po krótkiej walce i cofnięciu się piechoty konnica odcięła odwrót. Wichman z kilkoma towarzyszami wymknął się z okrążenia i uciekł w kierunku państwa Wieletów. Po drodze jednak poczuł się na tyle zmęczony, że postanowił zjeść coś i odpocząć w domu jakiegoś Pomorzanina. Tam dopadł go pościg. Wojowie zażądali, aby oddał im miecz. Wichman odparł na to, że odda go tylko Mieszkowi. Zanim umyślny wysłany do polskiego władcy powrócił z odpowiedzią, obecni w domu ponownie zażądali od Niemca oddania im miecza, a do tego zbroi i szat. Jako rycerz nie mógł ulec presji motłochu, wywiązała się więc nierówna walka. Ranny Wichman przekazał miecz najgodniejszemu z Polaków, aby ten przekazał go Mieszkowi. Następnie odmówił pacierze, wykrwawił się i zmarł.

Koniec tego nadgranicznego zbója nie oznaczał końca niemieckich wypraw na Polskę. Wziął je w swoje ręce margrabia Hodo, rządzący jedną z marchii powstałych w wyniku rozpadu marchii saskiej po śmierci Gerona. W roku 972, nie informując ani cesarza, ani pozostałych margrabiów, zebrał wojów i ruszył na północny wschód. Sforsował Odrę i doszedł pod Cedynię, gdzie doznał druzgocącej klęski (o niej w rozdziale *O nieustającej walce na miecze, armaty i słowa*). Zginęli doborowi rycerze, a jak opisywał to święty Bruno z Kwerfurtu w *Świętego Wojciecha żywocie drugim*: „Upokorzona wielkość Teutonów liże ziemię, [a] wojowniczy margrabia Hodo z poszarpanymi proporcami rzucił się do ucieczki”. Chociaż Hodo wybrał się na Mieszka bez cesarskiej zgody, to w otoczeniu Ottona I podniesiono larum. Spodziewano się, że Mieszko w odwecie ruszy na zachód. Cesarz wezwał więc obydwu na zjazd w Kwedlinburgu na Wielkanoc 973 roku. I tam, o dziwo, całą winą za zaistniałą sytuację obarczył Mieszka! Hodona nie spotkała żadna kara, a Mieszko musiał wysłać w charakterze zakładnika na cesarski dwór swojego pierworodnego Bolesława. Zaiste, dziwna bywała cesarska sprawiedliwość wobec polskich

władców wtedy i później również. W każdym razie dobre dotychczas stosunki z cesarzem Ottonem I się popsuły. I nie wiadomo, w którym kierunku potoczyłyby się sprawy, gdyby nie śmierć Ottona I w maju 973 roku.

Kilka lat później Mieszko zbliżył się do niemieckiego możnowładcy, margrabiego Dytryka, zarządzającego Marchią Północną, a sojusz ów został przypieczętowany około roku 980 ślubem niemłodego już władcy Polski z córką Dytryka – Odą. Urodziła mu trzech synów: Mieszka, Świętopełka i Lamberta. Niewątpliwie było to radosne wydarzenie dla potwierdzenia jurności Mieszka, mniej radosne dla pasierba Ody, Bolesława, który jednak później poradził sobie w typowo średniowieczny sposób z tą potrójną półniemiecką konkurencją do tronu. Zresztą nie wiadomo, czy sama Oda była szczęśliwa, przynajmniej w momencie zamążpójścia. Wcześniej bowiem przeznaczono ją do stanu duchownego i wiodła spokojny żywot w klasztorze, aż tu, jak pisał Thietmar:

> Kiedy matka Bolesława umarła, jego ojciec poślubił bez zezwolenia Kościoła mniszkę z klasztoru w Kalbe, która była córką margrabiego Dytryka. Oda było jej imię i wielką była jej przewina. Albowiem wzgardziła Boskim oblubieńcem, dając pierwszeństwo przed nim człowiekowi wojny […]. Z uwagi jednak na dobro ojczyzny i konieczność zapewnienia jej pokoju nie przyszło z tego powodu do zerwania stosunków, lecz znaleziono właściwy sposób przywrócenia zgody. Albowiem dzięki Odzie powiększył się zastęp wyznawców Chrystusa, powróciło do ojczyzny wielu jeńców, zdjęto skutym okowy, otwarto wrota więzień przestępcom.

Widzimy więc, że Thietmar, który serdecznie nie znosił Polaków, a zwłaszcza Bolesława, dawał w swojej kronice upust żółci. Natomiast historycy podejrzewają, że to raczej niemieccy panowie szukali sposobu, by wpływać na polskiego księcia, który chociaż niby cesarzowi hołd złożył, to jednak w sprawy Rzeszy się mieszał. Kiedy zaś poślubił młodą Odę, nie tylko nie poddał się ich wpływowi, ale mieszał się jeszcze bardziej w wewnętrzne rozgrywki zachodniego sąsiada.

Doraźnym sukcesem Ody było skłonienie Mieszka, by ofiarował jej szczególny prezent ślubny. Mieszko za pogańskich czasów był, podobnie jak Czesi, dostarczycielem na wielką skalę niewolników do krajów arabskich i czerpał z tego niemałe profity. „Towar” pochodził przede wszystkim z plemion słowiańskich zamieszkujących tereny między

państwem Mieszka a Niemcami, ale bywało, że i wzięci do niewoli Germanowie szli na sprzedaż do Arabów. Przyjmując chrześcijaństwo, Mieszko wyrzekł się tego procederu, ale kto tam wie, czy nie naszłaby go ponownie chęć łatwego napełnienia takim sposobem książęcego skarbca. Oda miała więc do wypełnienia misję specjalną – uwolnić tysiące jeńców, rodaków wziętych do niewoli podczas kilku kampanii Mieszka. Małżonek przystał na taki prezent ślubny, czym zapewne nie wzbudził entuzjazmu u sporej liczby żon owych jeńców, które ułożyły sobie na nowo życie, nie do końca pozostając wiernymi małżeńskiej przysiędze.

Ale to, że niektóre germańskie niewiasty doznały niemiłego zaskoczenia decyzją Mieszka, było niczym w porównaniu z tym, jak Mieszko po ślubie z Odą zaskoczył swoich niemieckich możnych protektorów i – od tego momentu związania z córką Dytryka – powinowatych z najwyższych kręgów władzy.

W cesarstwie akurat mącił stryjeczny brat cesarza, Henryk Kłótnik z Bawarii. Mieszko, wraz z Bolesławem II Pobożnym, księciem Czech i swoim eksszwagrem, zaangażował się w walkę o schedę po cesarzu Ottonie II, zmarłym w roku 983. Polski książę opowiedział się po stronie Henryka. Kiedy jednak Otto III zaczął skutecznie pacyfikować kłótliwego kuzyna i z tego powodu między innymi najechał Czechy, Mieszko szybko wykonał woltę i stał się zwolennikiem cesarza, zanim ten wybrał się nad Wartę, by przywołać Mieszka do porządku.

Małżeństwo ojca z młódką nie było w smak pierworodnemu Mieszka – Bolesławowi, zwłaszcza że pojawienie się na świecie trzech przyrodnich braci oznaczało co najmniej kłopoty przy objęciu tronu po ojcu w przyszłości. Oda próbowała obłaskawić pasierba w nader kobiecy sposób – to ona ponoć miała go wyswatać z jedną z dalszych powinowatych, nieznaną z imienia córką Rygdaga, margrabiego Miśni. Zgodnie z ówczesną praktyką dyplomatyczną niewiasta pozostawała żoną tak długo, jak wymagała tego racja stanu. Kiedy zmieniały się sojusze, pozbywano się niewygodnej małżonki. Najbardziej humanitarnym, ale niejedynym sposobem pozbycia się niepotrzebnej już gwarancji zerwanego sojuszu było odesłanie żony do jej rodziny. Tak też postąpiono z córką Rygdaga, który zmarł w roku 985 i tym samym zakończył sojusz. Bolesławowi nie przeszkadzało to, że zdążyła w tym czasie urodzić mu dwoje dzieci.

Odzie, przynajmniej do końca życia Mieszka, nie groziło odsunięcie. On, zdaje się, też wolał, aby jego synów nie spotkał ogólnie przyjęty w średniowieczu los pretendentów, którym się nie poszczęściło: wyłupienie oczu, obcięcie członków, bo zwykłe zamordowanie było dla ludzi średniowiecza zbyt banalne. Tym jakże ludzkim odruchem tłumaczy się niekiedy wystawienie dokumentu znanego jako *Dagome iudex* (od jego pierwszych słów). Niedługo przed śmiercią w roku 992 Mieszko – bo to jego uważa się za wystawcę dokumentu, chociaż imię władcy nie pada w tekście – oddaje pod opiekę Stolicy Piotrowej swoje państwo oraz rodzinę. A właściwie część rodziny i państwa, bo nie pojawia się nawet wzmianka o pierworodnym Bolesławie. Niektórzy badacze uważają jednak, że Bolesław został już wcześniej uposażony przez ojca – miał otrzymać dzielnicę wokół Krakowa.

Po śmierci Mieszka zaczęła się próba sił. Oda namówiła Odylena i Przybywoja, powierników Bolesława, by przeszli na stronę jej i jej małoletnich synów. Z pewnością jednak pożałowali tej pochopnej decyzji. Po trzech latach zmagań Bolesław okazał się silniejszy, zjednoczył ziemie, którymi władał jego ojciec, a uczynił to kosztem macochy i przyrodniego rodzeństwa. Dokonał tego, jak skrzętnie zanotował Thietmar, „z lisią chytrością, wypędziwszy macochę i braci oraz oślepiwszy swoich zaufanych Odylena i Przybywoja”. Oda, rada nierada, wróciła więc w roku 995 do Niemiec. Ale nie podjęto jej tam jako matki władców sąsiedniego kraju. Nowy cesarz Otton III miał swoją *idée fixe*, do której potrzebny mu był Bolesław. Odzie złożono więc propozycję nie do odrzucenia: miała ponownie wstąpić do klasztoru. Dożyła tam roku 1023. Bolesław przeżył macochę o dwa lata. O losie przyrodnich braci historia milczy, co daje mediewistom możliwość najróżniejszych interpretacji ich dalszych losów, a każda może być prawdziwa.

Bolesław miał być poważnym, jeśli nie najpoważniejszym, współpracownikiem przy wcielaniu w życie owej idei Ottona III. Syn Mieszka znał arkana wielkiej polityki jak mało kto w Polsce. Był przecież przez dobrych kilka lat po bitwie pod Cedynią zakładnikiem na cesarskim dworze – gwarantem, że Mieszko nie będzie próbował działać ani przeciw władcy Rzeszy, ani przeciw władcom przygranicznych marchii. Bystry siedmioletni chłopiec (w przerwach między martwieniem się, czy aby

ojciec nie wpadnie na pomysł zaatakowania Niemców, tym samym pozbawiając młodego następcę w przyszłości tronu, a wcześniej – głowy) chłonął zasady polityki, stykał się z najważniejszymi osobami w państwie, z którymi później nieraz przyjdzie mu się zmierzyć. Poznawał duchownych i uczonych z pierwszej ligi. Jednym słowem – otarł się o wielki świat.

Wizja cesarza Ottona była nie tylko z wielkiego, ale nawet nie z tego świata. Dzisiaj euroentuzjaści uznają ją za wizjonerską, ale wówczas nawet na cesarskim dworze budziła duży niesmak, żeby nie powiedzieć: wkurzenie, oczywiście demonstrowane w taki sposób, aby cesarz się o tym nie dowiedział. No bo jak traktować nader ekstrawagancką ideę odtworzenia imperium rzymskiego w nowym układzie terytorialnym? Oprócz Italii, Galii i Germanii, co jeszcze byłoby do zaakceptowania w imię całkiem niedawnych działań Karola Wielkiego, młody cesarz chciał na równi z nimi włączyć jako czwartą składową… Słowiańszczyznę! Tego niemieckim margrabiom było za wiele: nie dość, że nie mogli już uważać terenów na wschód za miejsce bezkarnego zdobywania łupów, to jeszcze mieli do niedawnych pogan odnosić się jak do równych sobie! Te dziwne pomysły młodego władcy kładli na karb pochodzenia jego matki – Teofano była powinowatą samego władcy Bizancjum, a więc prawdziwego cesarza, a nie jakiegoś germańskiego nuworysza na cesarskim tronie. Wyraźnie dawała to odczuć i teściowej, i dworakom, czym wkurzała ich niepomiernie. No cóż, nie każdy lubi, kiedy ktoś zadziera nosa z powodu pochodzenia krewniaków. W dodatku, czego Niemcy zupełnie nie mogli zrozumieć, Teofano używała podwójnego złotego szpikulca, zamiast wkładać jedzenie rękami do ust, jak czynili jej poddani. Nie pierwszy raz dobre wychowanie uchodziło w Niemczech za ekstrawagancję…

Niezmiernie ważną rolę scalającą owe kraje miał odgrywać w planach Ottona Kościół katolicki. Po pierwsze, administracja kościelna działała nieraz sprawniej od państwowej. Po drugie – skutecznym spoiwem mógł być także kult świętych, gdyż oddawanie im czci przekraczało granice diecezji. Skąd Kościół brał odpowiednich kandydatów do kanonizacji? Otóż we wczesnym średniowieczu przyjął zasadę, dzięki której każdy, kto nieskromnie planował trafić po śmierci na ołtarze, mógł to sobie za życia załatwić. Do wyboru były dwie drogi. Pierwsza – długa, bo trwająca całe życie, mozolna, wymagająca wielu wyrzeczeń i w dodatku nie gwarantowała zamierzonego efektu. Druga zaś – krótka, gwałtowna i na

dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna. Była to jednak droga dla prawdziwych twardzieli, a w świetle lansowanej obecnie genderowej poprawności należy wyraźnie zaznaczyć: twardzielek i twardzieli. Mówiąc wprost: świętym (o, *pardon* – świętą lub świętym) można było zostać jako wyznawca lub męczennik. Wyznawca wyrzekał się za życia dóbr doczesnych i różnych innych przyjemności (szczególnie mile widziany w perspektywie osiągnięcia celu był celibat) i wznosił myśli oraz modlitwy ku niebiosom. Męczennika to nie dotyczyło – musiał jedynie mieć w pamięci, aby podczas ostatnich chwil żywota, którego w gwałtowny i wymyślny sposób pozbawiali go pogańscy oprawcy, wznosić słowa i myśli do Boga. Bardziej efektowne PR-owo od spędzania dni i nocy na modlitwach jest jednak ćwiartowanie, palenie, rozrywanie delikwenta końmi. No cóż, pamiętajmy, że średniowiecze nie należało do najłagodniejszych czasów, a determinacja niektórych, aby opis ich życia i końca trafił do plotkarskiego portalu o celebrytach – spora.

Około trzydziestu lat po oficjalnym przyjęciu państwa Mieszka do wspólnoty chrześcijańskiej polski Kościół nadal raczkował. Nie istniała struktura, która pozwalałaby tej instytucji normalnie funkcjonować i stanowiłaby organizacyjno-urzędnicze wsparcie dla państwa (notabene średniowiecze to chyba jedyny okres w dziejach ludzkości, kiedy ceniono ludzi wykształconych, a wówczas wywodzili się oni prawie wyłącznie z kleru). Istniało tylko jedno biskupstwo misyjne w Poznaniu, zależne bezpośrednio od Rzymu. Niezmiernie drażniło to niemieckich duchownych, którzy czynili starania o podporządkowanie sobie nowo pozyskanych na wschodzie Europy ziem i duszyczek. Zwłaszcza że już raz władca tej krainy nieźle ich wykiwał, przyjmując chrześcijaństwo za pośrednictwem Czechów, a nie sąsiadujących z Polską Niemców. Polski Kościół potrzebował więc stałej organizacji, odpowiedniej liczby personelu, a przede wszystkim – patrona, który scaliłby, wzmocnił i dał przykład śmierci za wiarę.

W tym czasie w rzymskim klasztorze do przyszłej roli świętego jako wyznawcy przygotowywał się Wojciech Sławnikowic (ok. 956–997), znany w świecie chrześcijańskim pod imieniem Adalbert. Wojciech pochodził z możnego rodu konkurującego z Przemyślidami o władzę w Czechach. Jako szóste dziecko miał małe szanse na zrobienie kariery w innej dziedzinie niż stan duchowny. W dodatku ponoć o tym wyborze drogi

życiowej przesądziła jego choroba w dzieciństwie – mały Wojciech odzyskał zdrowie, gdy ojciec położył go na ołtarzu (co jednak należy uznać za wydarzenie wymyślone *post factum* przez hagiografów, dla poparcia tezy o wczesnej predyspozycji do bycia świętym). Wojciech pobierał nauki w elitarnej szkole w Magdeburgu, dzięki czemu zyskał możnego protektora. W dodatku był zaprzyjaźniony z Ottonem III, pewnie dlatego po powrocie do Pragi w roku 983 został jej biskupem, mimo że nie miał wymaganych trzydziestu lat. No cóż, od dawna wiadomo, że formalne drobiazgi nie grają roli, gdy siedziało się w szkolnej ławce z odpowiednimi ludźmi.

Na miejscu jednak okazał się nieco zbyt pryncypialny jak na miejscowe zwyczaje i po sześciu latach wyjechał do Rzymu, wstąpił do klasztoru i modłami oraz wszelkim innym postępowaniem przypisanym do bycia wyznawcą dbał o swoją przyszłą świętość. Wrócił do Pragi, ale znowu nie zagrzał tam miejsca. Tym razem nie spodobał mu się sposób, w jaki ukarano niewierną żonę jednego z możnowładców z rodu Wrszowców. Owa kobieta szukała schronienia w kościele Świętego Jerzego na praskim Hradzie, ale w obecności Wojciecha oprawcy nasłani przez męża wywlekli ją i zamordowali. Niektórzy potraktowaliby to po prostu jako dowód na konieczność zmiany stanowiska Kościoła wobec rozwodów, ale nie Wojciech. On przeklął cały ród Wrszowców i obrażony, na wszelki wypadek, wyjechał do Rzymu. Doradziła mu to albo znajomość czeskich gorących głów, albo intuicja. W każdym razie dzięki temu wyjazdowi jako jeden z nielicznych przedstawicieli swojego rodu uniknął rzezi urządzonej przy udziale wkurzonych na niego Wrszowców przez władających Czechami Przemyślidów.

Kolejny raz zaszył się w rzymskim klasztorze – widoki na świętość w charakterze wyznawcy miał coraz lepsze, gdy znowu do sprawy wmieszał się zwierzchnik Wojciecha, arcybiskup Moguncji, który postawił sprawę jasno: albo powrót do diecezji praskiej, albo klątwa. Czyli Wojciech dostał wyraźny sygnał – albo wybierasz przyszłą świętość w charakterze męczennika, albo koniec z jakimkolwiek marzeniem o wyniesienie na ołtarze. W sukurs przyszedł Wojciechowi kuzyn Ottona III, papież Grzegorz V, który jednakże dał biskupowi Pragi raczej pocałunek śmierci niż pokoju. Wojciech mógł zdecydować, czy wraca do Pragi (znając szacunek Wrszowców do swojego rodu i miejsc świętych, równie dobrze mógłby wyruszyć od razu w trumnie), czy udać się z akcją

chrystianizacyjną na północ od ziem polskich – do pogańskich Prusów. Tu szanse na przeżycie były nieco większe, a i splendor w razie sukcesu ogromny. Decyzja mogła być więc tylko jedna i Wojciech z najmłodszym bratem Radzimem Gaudentym (ocalał z rzezi, gdyż i przy ewakuacji z Pragi towarzyszył Wojciechowi) jesienią 996 roku stanął na dworze Bolesława. Tam grunt przygotował mu już najstarszy brat – Sobiebór (w czasie akcji Wrszowców był w Polsce).

Polski władca z otwartymi ramionami powitał gości. Po pierwsze – gdyby udało się Wojciechowi ochrzcić Prusów, Bolesław miałby na koncie wielki sukces propagandowy w całym chrześcijańskim świecie, jako protektor wyprawy. Po drugie – Polska mogłaby rozciągnąć swoje zwierzchnictwo na ziemie leżące w jej bezpośrednim północnym sąsiedztwie. Po trzecie – udzielenie gościny i pomocy bliskiemu przyjacielowi samego cesarza zawsze się opłaca: można zyskać przychylność władcy i zagrać na nerwach jego niemieckim oponentom. Po czwarte wreszcie, jak już wspomnieliśmy – chrześcijaństwo w Polsce było nadal dosyć powierzchowne i przydałby się jakiś miejscowy, znany współczesnym, a nie żyjący przed setkami lat w Rzymie anonimowy męczennik. Bolesław nie wysyłał oczywiście Wojciecha na pewną śmierć, dał mu ochronę w postaci drużyny wojów. Chrobry mógł się spodziewać, że jego kalkulacje nie zawiodą. Wojciech w kwietniu 997 roku najpierw popłynął Wisłą do Gdańska, gdzie ochrzcił wielu mieszkańców tego grodu, a następnie przeprawił się morzem na wschód, na ziemie zamieszkane przez pogan. Tam odprawił bodyguardów Chrobrego i, jak to po ponad stu latach malowniczo opisał Gall Anonim: „Święty […] męczennik, płonąc ogniem miłości i pragnieniem głoszenia wiary […], bez trwogi udał się do Prus i tam męczeństwem dopełnił swego zawodu”. Nie udało się zostać wyznawcą, udało – męczennikiem. 23 kwietnia, jak głosi legenda, podczas odprawiania mszy połączonej z chrztem Prusów, został skrócony o głowę przez jednego z miejscowych wojów imieniem Sicco. Być może była to zemsta owego woja za śmierć brata, który poległ w jednej z nadgranicznych potyczek z rąk poddanego Bolesława, a być może kara za profanację świętego dla Prusów miejsca. No właśnie – samo ustalenie tego miejsca to powód, aby wkurzyć Niemców, którzy orzekli, że Adalbert (bo to przecież cywilizowane imię, a Wojciech to jakieś słowiańskie przezwisko) zginął w Sambii. I na początku XX wieku postawili w miejscu jego domniemanej

śmierci, na malowniczym morskim wybrzeżu, żelazny krzyż (Niemcy mają jakoś zakodowane w podświadomości, że jak krzyż, to koniecznie żelazny), Polacy natomiast optują za okolicą Elbląga i zdaje się, że całkiem słusznie.

W każdym razie Prusowie pozbawione głowy ciało Wojciecha zatrzymali, a puścili wolno towarzyszących mu Radzima Gaudentego i prezbitera Boguszy-Benedykta, aby ci zdali Bolesławowi relację z wypadków, a przede wszystkim powiedzieli o warunku wykupu ciała: otóż Prusowie chcieli otrzymać tyle złota, ile zwłoki ważyły. Chrobry złota nie pożałował i ciało wykupił. Po latach, pewnie żeby wkurzyć skąpych Niemców, Polacy zaczęli głosić legendę, jakoby podczas ważenia wysłannicy Bolesława kładli na wagę coraz więcej złota, a szala z ciałem Wojciecha ani drgnęła. Wreszcie do zmartwionych posłańców (Chrobry nie patyczkował się z tymi, którzy nie wypełniali jego rozkazów) podeszła uboga wdowa i położyła na szali ze złotem grosz – jedyną monetę, jaką miała. Szala natychmiast przeważyła tę z ciałem. Zaczęto więc po trochu odejmować zgromadzone złoto, a szale wyrównały się dopiero wtedy, gdy zabrano wszystko i pozostał tylko ten wdowi grosz. Legenda nie mówi, czy cokolwiek ze złota, które wysłannicy zabrali ze sobą, trafiło do owej wdowy.

Machina propagandowa ruszyła. Chrobry miał już w Gnieźnie zwłoki Wojciecha i żywego Radzima Gaudentego, który natychmiast zaczął spisywać żywot brata. Cesarz, zawiadomiony o śmierci przyjaciela, podobnie jak nowy papież Sylwester II, przeżył podobno wstrząs (swoją drogą, czego innego mógł się spodziewać? Że Prusowie z otwartymi ramionami przyjmą Adalberta-Wojciecha, który wlazł im z butami w odwieczne obyczaje?!).

W Gnieźnie zaczął rozkwitać kult Wojciecha, dyskretnie popierany przez Bolesława, a w Rzymie – zlecone przez Ottona III starania o kanonizację przyjaciela. Przy okazji Bolesław załatwił sprawę ważniejszą: w 999 roku papież wydał bullę, ustanawiając w państwie Chrobrego odrębną prowincję kościelną, zależną tylko od Rzymu. Stolicą archidiecezji zostało Gniezno, a podlegały mu diecezje w najważniejszych grodach: Wrocławiu, Krakowie i Kołobrzegu. Biskupstwo misyjne w Poznaniu miało podlegać Gnieznu po śmierci biskupa Jordana.

Własny święty już był, organizacja kościoła utworzona – trzeba było sukcesami pochwalić się przed światem. Znakomita okazja nadarzyła się

sama, gdy Otton III ogłosił, że udaje się z pielgrzymką do grobu przyjaciela, teraz już świętego męczennika, i w marcu 1000 roku ruszył na wschód. Chrobry postanowił na dzień dobry wkurzyć Niemców, których gust, jak wiadomo, jest bardziej *praktisch* niż wyszukany, i wyjechał im naprzeciw nad graniczny Bóbr w pełnym splendorze bogactwa: „Na przybycie cesarza przygotował przedziwne cuda; najpierw hufce przeróżne rycerstwa […] a poszczególne, z osobna stojące hufce wyróżniała odmienna barwa strojów. A nie była to pstrokacizna byle jakich ozdób, lecz najkosztowniejsze rzeczy, jakie można znaleźć gdziekolwiek na świecie. […] Złoto bowiem za jego [Bolesława] czasów było tak pospolite u wszystkich jak [dziś] srebro, srebro zaś tanie jak słoma". Bolesław wiedział, co robi. Wrażenie na cesarzu i jego orszaku wywarł ogromne: „Na koronę mego cesarstwa, to, co widzę, większe jest, niż wieści niosły!" – zakrzyknął zaskoczony Otton. To, co ujrzał w Gnieźnie, zdumiało go jeszcze bardziej. Po oddaniu hołdu świętemu Wojciechowi rozpoczęły się trzydniowe uczty i zabawy, a po każdym bankiecie cała złota i srebrna zastawa lądowała w niemieckich wozach, jako dary Bolesława dla cesarza i jego świty.

Cesarz czuł, że trzeba się zrewanżować, no i – z racji piastowanej godności – przebić dary polskiego księcia. Jeden dar, który do przebijania nadawał się znakomicie, Otton miał ze sobą: włócznię świętego Maurycego, symbol cesarskiej władzy. Co prawda jako oszczędny Niemiec (oszczędny po ojcu, bo po matce lubił przecież bizantyjski przepych) przywiózł tylko replikę włóczni z osadzonym w grocie gwoździem z Krzyża Pańskiego, ale dla ówczesnych chrześcijan oryginał czy nie oryginał – było to bez znaczenia. Jednak na tle bogactw Bolesława ten skromny w formie upominek (można go do dzisiaj oglądać w skarbcu katedralnym na Wawelu) wypadał blado. Otton sięgnął więc podczas jednej z uczt po cesarski diadem, który miał na głowie, i włożył go na skronie Bolesława. Powiedział przy tym: „Nie godzi się takiego i tak wielkiego męża, jakby jednego spośród dostojników, księciem nazywać lub hrabią, lecz [wypada] chlubnie wynieść go na tron królewski i uwieńczyć koroną". Czy działał pod wpływem impulsu, czy też był to starannie przemyślany gest w ramach owej cesarskiej idei budowy cesarstwa w oparciu o Italię, Galię, Germanię i właśnie Słowiańszczyznę? Tak czy owak – tym gestem to Otton wkurzył swoich pobratymców. „Niech Bóg wybaczy cesarzowi, że

czyniąc trybutariusza panem, wzniósł go tak wysoko” – pisał kronikarz Thietmar, gdyż on sam wybaczyć tego afrontu uczynionego niemieckim dostojnikom nie potrafił.

Bolesław odprowadził obdarowany orszak cesarski aż do Magdeburga i na odchodnym dał cesarzowi jeszcze jeden prezent: „Cesarz otrzymał od księcia Bolesława wspaniałe dary i wśród nich, co największą sprawiło mu przyjemność, trzystu pancernych żołnierzy”. Widać już wtedy nic tak nie cieszyło niemieckich władców jak dobrze wyszkolone i wyposażone wojsko. Niektórzy historycy poszli tak daleko w domysłach na temat przyjaźni polsko-niemieckiej w roku 1000, że pojawiają się nawet hipotezy, iż Bolesław wybrał się z Ottonem do Akwizgranu do grobu Karola Wielkiego, a po otwarciu grobowca otrzymał w darze od cesarza tron, na którym zasiadały czcigodne zwłoki.

I przydali się owi wojowie podarowani Ottonowi szybciej, niż się Bolesław spodziewał, i w innych okolicznościach, niż się spodziewał. Tylko że już nie Ottonowi (młody cesarz zmarł niespodziewanie w roku 1002), lecz jego następcy Henrykowi II. Oj, nie po drodze było jemu i Bolesławowi – idylla ottońska przeszła bezpowrotnie do historii. Zaczęły się sąsiedzkie niesnaski. Chrobry nie był tu bez winy. Wykorzystując niepokoje wewnątrz Rzeszy po śmierci młodego cesarza, zajął Miśnię, Milsko i Łużyce (pod zwierzchnictwem cesarskim znajdowały się raptem od roku 963) i po dotarciu do rzeki Sali kazał, według legendy, wbić w jej dno żelazne słupy graniczne. Działał metodą faktów dokonanych – wiedział, że pewnie i tak będzie musiał oddać te ziemie, ale może uda się zatrzymać ich część. W tym celu udał się do Merseburga na spotkanie z Henrykiem II. Niemiecki władca był zaangażowany w walki na wielu frontach i nie mógł skupić się jedynie na walce z Polakami, więc rad nierad zgodził się na podział Łużyc – ich wschodnia część z Milskiem miała przypaść Polsce jako niemieckie lenno. Polacy uważali, że powinni zatrzymać jeszcze Miśnię, ale zgodzili się na przekazanie jej spowinowaconemu z Chrobrym Guncelinowi.

Między władcami Niemiec i Polski nie było jednak takiej „chemii”, jaka łączyła Ottona z Chrobrym, a gościnność Henryka pod znakiem zapytania postawił poważny incydent. Kiedy Bolesław opuszczał Merseburg, napadł na niego i jego towarzyszy oddział zbrojnych, bynajmniej nie w celu serdecznego pożegnania polskiego władcy. Chrobremu udało się zbiec

z „gościnnego” miasta dzięki pomocy Henryka ze Schweinfurtu, przedstawiciela rodu Babenbergów skłóconego z cesarzem Henrykiem, oraz dzięki ofiarności drużyny Bolesława, z której wielu wojów zostało rannych. W takich okolicznościach o pokoju mowy być nie mogło, więc w powrotnej drodze polski książę spalił jeden z grodów – Strzałę, a mieszkańców uprowadził. Trudno zatem mówić nawet o szorstkiej męskiej przyjaźni między obydwu władcami.

Henryk znosił wiele, ale kolejnego kroku Chrobrego nie mógł puścić płazem za względu na ewidentne naruszenie interesów Rzeszy przez Polaków. Na początku 1003 roku Chrobry przejął władzę w Czechach, tym samym Rzesza traciła lennika, który płacił od początku X wieku wysoki trybut. Państwo Chrobrego rosło wyraźnie w siłę, kosztem cesarstwa. Henryk, nadal zaangażowany w innych miejscach rozległego królestwa, postawił sprawę jasno: albo Chrobry będzie władać Czechami jako lennik cesarski, albo – wojna. Książę Bolesław drugi wariant odrzucił – wiedział, że do wojny i tak dojdzie w momencie, gdy wojska Henryka przestaną być zaangażowane w innych rejonach, dlatego uderzył pierwszy. W sierpniu 1003 roku zaczął łupić marchię miśnieńską. Rok później stało się to, czego obawiał się Chrobry. Henryk umocnił swoją pozycję w kraju na tyle, że mógł się skoncentrować na zrobieniu porządku z niesfornym sąsiadem ze wschodu. Zaczął od zajęcia Pragi i osadzenia na tamtejszym tronie posłusznego sobie władcy. Potem zajął Łużyce i myślał o wielkim *Drang nach Osten*.

W sierpniu 1005 roku Henryk ruszył przeciw Chrobremu na Śląsk, a następnie w stronę Krosna, gdzie można było się przeprawić przez Odrę i ruszyć na Poznań. Zgromadził potężną armię z udziałem Czechów, Bawarów a nawet pogańskich Wieletów (tym ostatnim obiecał wcześniej, że jeśli przyjmą jego zwierzchność, to on wstrzyma się z akcją chrystianizacyjną. Nie doszło jednak nigdzie do walnej bitwy, ponieważ Chrobry przyjął taktykę wojny partyzanckiej: nękał Niemców znienacka, a często. Henryk zdołał dotrzeć jedynie pod Poznań, ale już samego grodu nie próbował zdobywać. Tam też władcy zawarli pokój, w którym Chrobry zrzekał się Milska i Łużyc. Henryk zaś musiał się wycofać z Polski jak niepyszny, nie osiągnąwszy głównego celu, czyli podporządkowania naszego kraju i uczynienia z niego lennika.

Obie strony doskonale zdawały sobie sprawę, że jest to stan tymczasowy. Dwa lata później Chrobry wykorzystał sposobność, gdy Henryk był daleko na zachodnich granicach swojego królestwa, zajęty wyrzynaniem rebeliantów – i tradycyjnie wkroczył na Łużyce. Henryk miał już tego serdecznie dosyć. Nie dość, że Chrobry ciągle szarpał i kąsał jego państwo, to jeszcze zdobył propagandowe poparcie ważnej niemieckiej persony. Bruno z Kwerfurtu – arystokrata, mnich, szkolny kolega cytowanego już Thietmara i biskup misyjny – był zafascynowany postacią świętego Wojciecha. I pragnął podzielić jego męczeński los. Niezawodni Prusowie umożliwili mu to w okolicach dzisiejszego Giżycka, na malowniczym pagórku nad jeziorem Niegocin, ale dopiero kilka lat później. Na razie Bruno wypisywał w listach do Henryka II peany na cześć Bolesława Chrobrego i jednocześnie gromił niemieckiego władcę za wejście w porozumienie z pogańskimi Wieletami. Późniejszy święty tak pisał do późniejszego cesarza:

> Jeśli ktoś powie, że tego władcę [Bolesława] kocham, że dochowuję mu wierności i przyjaźni – to jest to prawda. Kocham go rzeczywiście jak duszę własną i więcej niż życie. Lecz w Bogu mam cennego świadka, że kocham go nie wbrew łasce waszej, gdyż o ile mogę, pragnę go ku wam skłonić. Jeżeli jednak wolno tak powiedzieć, nie tracąc łaski królewskiej: czy jest to dobrem prześladować chrześcijanina, a utrzymywać przyjaźń z ludem pogańskim? […] Czy nie wierzysz w grzech, królu, gdy głowa chrześcijańska, co hańba powiedzieć, kroczy pod godłem demonów?

Do zrobienia porządku z niesfornym sąsiadem Henryk kolejny raz zabrał się w 1010 roku. Osobiście udziału w wyprawie nie wziął – zlecił dowodzenie możnowładcom, między innymi księciu czeskiemu Jaromirowi. Niemcy skierowali się w stronę Głogowa, ale że kolegialne kierowanie czymkolwiek ani wówczas, ani w czasach współczesnych nie zdawało egzaminu (przypomnę choćby posiedzenia biur politycznych partii komunistycznych), a i pogoda była po stronie Polaków – lało niemiłosiernie – toteż Niemcy zwinęli się spod Głogowa jak niepyszni. Polacy byli górą. Podobnie jak trzy lata później, podczas negocjacji w Merseburgu, które zakończyły się układem – przy Polsce pozostały Łużyce, jako niemieckie lenno, a Henryk zobowiązał się wspomóc Bolesława przy planowanej wyprawie na Kijów.

W roku 1014 Henryk koronował się na cesarza i wreszcie miał czas, żeby spróbować przywołać Chrobrego do porządku. Tym razem miała to być kampania ostateczna, przeprowadzona z wielkim rozmachem, „uspokajająca” Chrobrego na dobre. Plan zakładał połączenie na Śląsku wojsk cesarskich, saskich, czeskich i bawarskich, ale jak to bywa nawet z najlepszymi planami, gdy jeden element zawodzi, reszta zawodzi jeszcze bardziej. Niemcy tradycyjnie ruszyli na nadodrzańskie Krosno i tam sforsowali po walce Odrę. Jednak dalej nie poszło już tak gładko. Chrobry nie dopuścił do połączenia posiłków saskich z wojskami cesarskimi. Nie dotarł także na umówione miejsce książę czeski Oldrzych ze swoimi zbrojnymi. Henrykowi groziło okrążenie przez wojów Chrobrego, więc zarządził odwrót i żeby samemu nie wpaść w ręce polskiego księcia, opuścił swoje wojsko, a dowodzenie przekazał arcybiskupowi Geronowi i palatynowi Burchardowi. Niebiosa jednak, mimo dowodzenia przez biskupa, zdecydowanie nie sprzyjały Niemcom, bo kiedy Chrobry wreszcie doprowadził do bitwy, ponieśli wielką klęskę. Cesarz ochłonął dopiero w Merseburgu, na tyle, że zdołał jeszcze wysłać do Miśni oddział, aby nie dopuścić do zajęcia tego ważnego grodu.

Jednocześnie przez posłańców proponował Bolesławowi układ pokojowy. Jak to cesarz, chciał dyktować warunki, czego Chrobry akceptować nie miał zamiaru. Wojna przycichła do roku 1017, kiedy to latem Henryk planował ponownie zaatakować Polskę. Wcześniej rozpoczął zabiegi dyplomatyczne, aby zyskać sojuszników. Uczestniczyć w ataku na Polskę obiecał mu książę kijowski Jarosław, cesarz namawiał również władcę Węgier – Stefana. Udział obiecali tradycyjnie Czesi i słowiańscy poganie, co tak mocno piętnował kilka lat wcześniej (święty już w tym momencie, o co postarali się pogańscy Prusowie) Bruno z Kwerfurtu. Tak więc Niemcy, połączywszy siły z sojusznikami, ruszyli jak zwykle na Krosno, tyle że tym razem cesarz zrezygnował z marszu na Poznań i ruszył w kierunku Głogowa, którego jednak nie zdołał zdobyć i odstąpił od oblężenia.

Postanowił zatem przerzucić siły bardziej na południe – pod Niemczę. Obrona tego grodu przeszła do legendy, ponieważ Henryk połamał sobie na Niemczy, jeżeli nie zęby, to z pewnością plany wojenne. Tam właśnie jego wyprawa na Polskę ostatecznie okazała się fiaskiem. O obrońcach grodu Thietmar pisał, że nigdy nie spotkał się z takimi walczącymi, „którzy by

z większą od nich wytrwałością i bardziej przezorną zaradnością zabiegali o swoją obronę”. Rzeczywiście, mieszkańcy odpierali ataki Niemców z ogromną determinacją, którą – nie ujmując im odwagi – można wytłumaczyć też położeniem, w jakim się znaleźli. Byli między młotem a kowadłem: gdyby się poddali, to po odejściu cesarza Bolesław dopiero sprawiłby im krwawą łaźnię za poddanie grodu…

W obozie oblegających szerzyły się choroby oraz wieści o antycesarskich niepokojach w Niemczech. W tej sytuacji cesarz zarządził w tył zwrot i kolejny raz zaproponował Bolesławowi układ pokojowy. Tym razem polski władca przyjął propozycję – miał już w planach wyprawę na Kijów i musiał zabezpieczyć państwo od zachodu. 30 stycznia 1018 roku w Budziszynie cesarz zawarł więc z polskim księciem pokój, „nie taki, jaki być powinien, lecz jaki udało się zawrzeć w ówczesnej sytuacji”, rozpaczał Thietmar, i miał rację, bo Polska zatrzymała Łużyce, Milsko, a nawet Morawy.

Jak to się często zdarzało, gwarancją pokoju było zawarcie małżeństwa. Bolesław wziął więc za żonę imienniczkę macochy – Odę, córkę Ekkeharda, margrabiego Miśni. Chrobry, o czym już wspominaliśmy, był żonaty niejeden raz. Wiele lat wcześniej pozbył się pierwszej żony, nieznanej z imienia, ale za to znanej z niemieckiego pochodzenia. Podobnie potraktował również „bezimienną” Węgierkę – z nią w małżeńskim stadle spędził zaledwie rok. Trzecia, znana już z imienia Emnilda, córka również znanego z imienia księcia – Dobromira, o którym nie wiadomo za to nic ponadto, okazała się rekordzistką, jeśli chodzi o czas spędzony z, co tu kryć, niełatwym w pożyciu Bolesławem. Przez trzydzieści lat znosiła wybuchy gniewu męża, dążąc jednak do osiągnięcia swoich zamiarów. A chciała, by tron po Bolesławie objął jej syn – Mieszko, a nie pochodzący z drugiego małżeństwa Bolesława starszy Bezprym. Jedną z jej córek – Regelindę – wydano za przyszłego margrabiego Miśni Hermana. Nie wiemy, czy ojciec powierzył jej obowiązek realizowania w charakterze „piątej kolumny” jego planów politycznych przy boku niemieckiego małżonka.

Regelinda przeszła jednak do historii z zupełnie innego powodu. W Polsce prawie zapomniana, w Niemczech styka się z jej postacią każdy, kto trafił do Naumburga i zajrzał do wnętrza wspaniałej katedry. Przestrzeń, w której stoi ołtarz główny, zdobią posągi fundatorów. Jest wśród nich

roześmiana Regelinda, Cóż z tego, że rzeźby powstały około dwustu lat po śmierci fundatorów i stanowią raczej projekcję artystyczną rzeźbiarza niż rzeczywisty portret? Ważne, że córka Bolesława znajduje się w doborowym towarzystwie i jako *die lächelinde Polin* niemal od tysiąclecia uroczo się uśmiecha. Co więcej, jako jedyna Polka w historii śmieje się Niemcom prosto w nos całkowicie bezkarnie.

Emnilda różnych rzeczy mogła się spodziewać po narowistym i niepokornym mężu, ale z pewnością nie przypuszczała, że jej miejsce w Bolesławowej łożnicy zajmie dziewczę, które wyrosło na dworze jej rodzonej córki. Oda była bowiem siostrą Hermana, męża Regelindy, córki Bolesława. Oczywiście nikt młodej margrabianki nie pytał o zgodę, a pięćdziesięciodwuletni Chrobry poczuł tak wielką potrzebę szybkiego przypieczętowania traktatu pokojowego, że ślubu kazał sobie udzielić, wbrew prawu kanonicznemu, jeszcze w czasie Wielkiego Postu. I w stosownym terminie młodsza o około trzydziestu lat Oda urodziła polskiemu władcy córkę.

W tym czasie bynajmniej nie była jedyną kobietą w życiu Bolesława, który już w kilka dni po ślubie wyruszył na wyprawę do Kijowa, aby, między innymi, pomścić zniewagę, za jaką poczytał sobie odmowę ręki Przedsławy, córki kijowskiego władcy Włodzimierza Wielkiego. Pomścił tak skutecznie, że – jak wspomina Thietmar z właściwą sobie sympatią do Bolesława – „ten stary wszetecznik uprowadził ją, bezwstydnie zapominając o swej ślubnej małżonce”. Odzie pozostało znoszenie niekomfortowej sytuacji i nadzieja, że to jednak ona, a nie wojenna branka zasiądzie obok męża na królewskim tronie. Tak, królewskim, bo książę Bolesław usilnie zabiegał o koronę dla siebie. Wreszcie w roku 1025 dopiął swego i w gnieźnieńskiej katedrze odbyła się koronacja. Czy wraz z Chrobrym ukoronowano Odę? Nie wiadomo. O takim fakcie nie wspomina żaden z najwcześniejszych kronikarzy. Dopiero Długosz piszący swe *Roczniki* czterysta lat później zanotował, że wraz z Chrobrym koronowała się królowa, ale podał to bez wchodzenia w szczegóły dotyczące personaliów małżonki. O dalszych losach Ody wiemy tyle, że po śmierci męża w roku koronacji wróciła do Niemiec i tam zmarła.

Wyjazd być może nastąpił pod presją pasierba – Mieszka II – a raczej jego małżonki Rychezy. Chociaż za życia teścia stosunki między obydwiema paniami układały się poprawnie, to po śmierci Bolesława

królewskie palladium okazało się zbyt ciasne. Wiadomo – królowa jest tylko jedna, a Rycheza pochodziła z cesarskiego rodu, była osobą wykształconą i bardzo ambitną. Otton III przeznaczył ją na małżonkę syna Bolesława nie tylko z sympatii, jaką ponoć czuł do władcy Polski, ale przede wszystkim ze względu na swoje plany polityczne – ideę cesarstwa uniwersalistycznego, w którym Polska odgrywałaby poważną rolę. Cesarz jednak zmarł w roku 1002, a idea wraz z nim. Jego następca Henryk II miał zupełnie inny pomysł na sprawowanie władzy: gdzie tam jakieś uniwersalistyczne fantasmagorie – cesarz ma rządzić twardą ręką. Wydawało się więc, że obietnica wydania Rychezy za Mieszka nie zostanie dotrzymana. A jednak Bolesławowi udało się doprowadzić do szczęśliwego finału – ostateczna decyzja o małżeństwie zapadła podczas rokowań pokojowych w Budziszynie w roku 1013 i Rycheza, zgodnie ze zwyczajem, była gwarancją utrzymania pokoju. Dzięki temu związkowi Piastowie znaleźli się wśród najważniejszych rodów Europy.

Pierwsze lata małżeństwa z Mieszkiem upływały w zgodnym stadle. Mąż dorównywał małżonce intelektem i wykształceniem. Znał łacinę, a nawet grekę. W dodatku tatuś trzymał rodzinę żelazną ręką (chociaż dla własnych wyczynów miał więcej pobłażliwości), więc na żadne ekscesy młody Mieszko nie mógł sobie pozwolić. Co innego po śmierci ojca. Mieszko koronował się od razu w 1025 roku, żonę też (pisze o tym jedynie Długosz, ale późniejsze poczynania Rychezy i jej dożywotni tytuł królowej Polski to potwierdzają), a następnie poszedł w ślady ojca, jeśli chodzi o obyczaje. Na dworze, ku zgryzocie Rychezy, pojawiła się nałożnica. Królowa poczuła się do żywego dotknięta (nie wiemy, czy pochodzeniem, czy urodą, czy samym faktem pojawienia się konkurentki) i zabrawszy, oprócz zapewne sukien i innych kobiecych drobiazgów, polskie insygnia królewskie, pognała na dwór cesarski, gdzie rządził już kolejny władca – Konrad II. Niektórzy historycy sądzą, że korony zabrała nie tyle z racji przywiązania do nich, ile z czystego wyrachowania – chciała je mieć przy sobie, aby w odpowiednim momencie przekazać ulubionemu synowi Kazimierzowi. Inni z kolei uważają, że odesłał je znacznie później przyrodni brat Mieszka Bezprym, uznając tym samym zwierzchność cesarza.

Mieszko początkowo kontynuował politykę ojca. Kiedy jednak zachodni i wschodni sąsiad Polski dogadali się między sobą i – jak to później mieli przez wieki w zwyczaju – uderzyli z dwóch stron, polskiemu władcy grunt

zaczął się palić pod nogami. Uciekł więc do Czech, a jego miejsce zajął starszy brat, Bezprym. Zbiegłego króla zaś Czesi potraktowali dosyć obcesowo: wykastrowali go. Rycheza dopisała więc kolejny punkt do listy „Dlaczego nie chcę być żoną Mieszka". Czeski władca Oldrzych proponował cesarzowi odstąpienie więźnia, ale Konrad II żachnął się i odmówił – taka transakcja nie była w jego mniemaniu godna cesarza. Rycheza przyglądała się temu wszystkiemu z bezpiecznej odległości i do akcji wkroczyła dopiero w roku 1034, kiedy to sponiewierany i opuszczony niemal przez wszystkich bliskich krewnych Mieszko II zdołał wrócić do kraju, po kilku latach zjednoczyć sponiewierany kraj i niespodziewanie umrzeć.

Rycheza przyjechała więc do Polski, aby objąć władzę w imieniu Kazimierza, który chociaż miał już osiemnaście lat, to jednak ulegał silnej osobowości matki. Akcja Rychezy „klejnoty koronne" spaliła na panewce. Koronacja Kazimierza była nie na rękę cesarzowi i lokalnym możnowładcom, którzy w okresie osłabienia władzy królewskiej urośli w siłę. Piastowie tracili więc na znaczeniu nie tylko wśród „poronionych książąt", jak dosadnie określił ich w kronice Wincenty Kadłubek, lecz także na arenie międzynarodowej. Prztyczka w nos dał Kazimierzowi margrabia Otton ze Schweinfurtu, który w tych okolicznościach zerwał zaręczyny z Matyldą, córką Chrobrego. Czyżby zemsta za Wandę, co nie chciała Niemca?

Sytuacja Kazimierza była niewesoła, bunt wybuchł, sposobność wykorzystali Czesi – książę Brzetysław najechał na Polskę, złupił, co się dało, łącznie z relikwiami świętego Wojciecha. Na życzenie Brzetysława Kazimierz został zatrzymany w areszcie domowym przez węgierskiego króla Stefana I. Rycheza wydeptywała na dworze wszelkie ścieżki, żeby pomóc synowi, ale bezskutecznie. Pomogły dopiero dwa śmiertelne zejścia: w 1038 zmarł na Węgrzech Stefan (nowy król powiedział zaś Brzetysławowi, że nie najmował się u niego na więziennego strażnika, i wysłał Kazimierza do Niemiec), a rok później – Konrad II, po którym niemiecki tron odziedziczył syn Henryk III. Nowy cesarz stanął po stronie Kazimierza, bo jako osoba nadzwyczaj pobożna nie mógł zdzierżyć tego, że zamęt w Polsce sieją poganie. No i był to sposób na ukrócenie samowolki Brzetysława, który zbytnio, jak na wasala cesarza, urósł w siłę. Za Gallem Anonimem więc „pozwólmy mu nieco wypocząć wraz z matką",

a następnie zauważmy, że Kazimierz otrzymał wsparcie w sile pięciuset wojów oraz cesarskie i matczyne błogosławieństwo, Henryk natomiast ruszył na Czechy. Rycheza nie ryzykowała już kolejnej wyprawy do niezbyt wdzięcznego królestwa. Została w Niemczech i stamtąd doglądała rodzinnych spraw. Wspomagali ją i Kazimierza krewni wysoko postawieni w tamtejszej hierarchii: wuj Herman został arcybiskupem kolońskim i arcykanclerzem Włoch, a brat cioteczny Konrad rządził Bawarią. Rycheza i Kazimierz zawsze mogli liczyć na ich wsparcie. Rycheza, po wiadomości o śmierci swojego brata Ottona, palatyna reńskiego, w roku 1047, wstąpiła do klasztoru benedyktynek w Brauweiler. Przeżyła także niespodziewaną śmierć ukochanego syna Kazimierza, który dożył czterdziestu dwóch lat. Zmarła w roku 1063, a jej doczesne szczątki ostatecznie trafiły do katedry w Kolonii – nawet po śmierci wolała się trzymać jak najdalej od Polaków.

Polacy, przeciwnie, nie trzymali się z dala od niemieckich małżonek. Odkąd Piastowie umocnili się na tronie, niemieccy władcy powrócili do tradycji wydawania sióstr i córek za swoich polskich kolegów po fachu. Kolejną importowaną niewiastą była Judyta Maria, córka Henryka III, a więc panna młoda z najwyższej półki. I trochę dziwi, że cesarz przeznaczył ją na małżonkę władcy zdecydowanie niższego od niej stanem. Władysław Herman, chociaż był młodszym bratem króla Bolesława Śmiałego, nigdy po koronę królewską nie sięgnął, uznając prymat cesarza. Być może panujący wówczas brat Judyty cesarz Henryk IV, wydając ją za panującego na wschodnich rubieżach chrześcijaństwa władcę, chciał pozbyć się ze swego dworu niezbyt, delikatnie mówiąc, dobrze prowadzącej się niewiasty. Otóż Judyta Maria została w wieku jedenastu lat wydana za mąż za młodszego od niej króla Węgier Salomona. Już jako małżonkowie musieli kilkakrotnie opuszczać swój kraj, by ratować skórę. W pewnym momencie Judyta schroniła się na dworze brata, a mąż podążył za nią dopiero dwanaście lat później. Długi czas rozłąki nie sprzyjał małżeńskiej wierności. Zarówno Judyta, jak i Salomon poczynali sobie w kwestiach kontaktów męsko-damskich dosyć śmiało, chociaż są i takie głosy, że to czarny PR robiony Judycie przez antycesarską propagandę.

W momencie śmierci męża w 1087 Judyta utraciła resztki krępujących ją zobowiązań. Problem usunięcia z dworu kompromitującej brata ekskrólowej Węgier stał się palący. A że świeżo owdowiały Władysław Herman szukał możliwości zaistnienia na cesarskich salonach, ożenek

z siostrą Henryka IV był mu bardzo na rękę. Wzrósł jego prestiż na arenie międzynarodowej, a przynajmniej w oczach byłego teścia – władcy Czech Wratysława II, z którym polski książę utrzymywał przyjazne stosunki i któremu płacił trybut z tytułu posiadania Śląska. W małżeństwie tym był jeszcze aspekt nader praktyczny. Otóż, jak pisał dobrze poinformowany Gall Anonim, „książę Władysław, jako że był człowiekiem ociężałym i chorym na nogi, a miał małego chłopaczka [czyli Bolesława Krzywoustego], pojął za żonę siostrę cesarza Henryka IV, poprzednio żonę Salomona, króla Węgier, z którą nie spłodził żadnego syna, lecz [tylko] trzy córki”.

W Judycie wnet odezwał się jej temperament i na obiekt westchnień wybrała sobie palatyna Sieciecha. Być może para owa myślała wręcz o przejęciu władzy i założeniu własnej dynastii? Władysław Herman, jako się rzekło, był chorowity i nie spodziewano się, że pożyje długo. Zresztą nawet gdyby opatrzność czy matka natura zbyt długo pozostawiały go przy życiu, można było dyskretnie pomóc mu opuścić ten padół. Trudniej sprawa przedstawiała się z synami księcia: Zbigniewem i Bolesławem. Zbigniew był owocem pierwszego małżeństwa Władysława z nieznaną z imienia Polką, uznawanego przez duchowieństwo polskie i czeskie za nieważne. Starszy syn, jak donosi Gall, „w mieście Krakowie w dojrzałym już wieku oddany został na naukę, a macocha odesłała go do Saksonii, do klasztoru mniszek, aby tam się kształcił”. Co zaś do Bolesława, to w dzieciństwie przeżył nader podejrzane zdarzenie: napotkał w lesie potężnego dzika, „pochwycił oszczep i popędził za nim, atakując go zuchwale sam jeden, nawet bez psa. A gdy zbliżył się do bestii leśnej i już cios chciał wymierzyć w jej siłę, z przeciwka nadbiegł pewien jego rycerz, który powstrzymał jego ramię, wzniesione do ciosu, i chciał mu odebrać oszczep”. Bolesław poradził sobie i z dzikiem, i z rycerzem, więc zamach się nie udał. Jeśli to rzeczywiście był zamach, to inspiracja mogła wyjść tylko od Judyty i Sieciecha. Ambitnej Niemce nie udało się więc osiągnąć celów, do których dążyła, dosłownie, po trupach. Synowie wymogli jednak na ojcu usunięcie Sieciecha, a dalsze losy ekskrólowej Węgier spowija mrok historii. Znamy dzień, w którym pożegnała się z tym światem – 14 marca, ale nie znamy roku. Historycy szacują, że mógł to być rok 1100.

Judyta bynajmniej nie zamyka pocztu Niemek na polskim tronie, których zachowanie doprowadzało Polaków co najmniej do rozstroju nerwowego.

Kolejna to żona pasierba Judyty – Bolesława Krzywoustego. Salomea, córka hrabiego Bergu, pojawiła się w Polsce w roku 1113, po tym jak zmarła Zbysława, matka Władysława – następcy tronu. Salomea szybko zaczęła wypełniać swoje powołanie, czyli rodzić Bolesławowi dzieci. Dużo dzieci. I to o ich prawa, a przede wszystkim o prawa nieletnich synów walczyła po śmierci męża z pasierbem Władysławem i jego żoną Agnieszką, notabene Niemką, przyrodnią siostrą króla rzymskiego Karola III. Chodziło o testament Bolesława Krzywoustego, który przed śmiercią w roku 1138 dokonał podziału kraju między synów. Zdaniem Salomei podział był krzywdzący. Zdaniem Władysława i jego żony Agnieszki z Babenbergów – również. Salomei chodziło jednak o jej synów, a Władysławowi i Agnieszce (o której w swej kronice mistrz Wincenty Kadłubek pisał tak: „najdziksza z dzikich zwierząt, przechodziła tygrysicę, lwicę smoka”) – o własny interes. Wszystko wskazywało na to, że Władysław, wzorem ojca, dokona zjednoczenia państwa. Miał bowiem poparcie i kijowskiego zięcia, i niemieckiego szwagra, i najpotężniejszego z polskich panów, czyli Piotra Własta. Ale do czasu.

Właśnie za sprawą Agnieszki, o której autor *Pieśni o Piotrze Właście* napisał: „Potrafimy śpiewem usypiać węże, lwy i tygrysy i lamparty dzikie ułaskawiać, lecz złej kobiety, jeśli ją znieważy, nikt nie ujarzmi ani nie złagodzi”, wszystkie plany runęły. A poszło o zwykłe przekomarzanie. Książę Władysław zażartował, przyznajmy, że niezbyt górnolotnie, na polowaniu, że żona Piotra pewnie w tej chwili spędza wygodnie noc z opatem ze Strzela. Własт, niewiele myśląc (a pewnie później nie raz żałował, że chlapnął bez zastanowienia), odparł, że księżna pani za to pewnie zabawia się teraz z rycerzem Dobieszem, o którym plotkowano na dworze, że jest kochankiem Agnieszki. Cięta riposta poszła Władysławowi w pięty – widać było coś w tych plotkach na rzeczy. Po powrocie chodził po pałacu jak struty, aż zainteresowała się stanem mężowskiego ducha małżonka i wyciągnęła z niego przyczynę zgryzoty. Piotrze! Lepiej, żebyś nigdy ust nie otwierał, niż takie żarty mówił. Agnieszka nie znała się na – przyznajmy, grubego kalibru – żartach. Znała się za to na zemście. I dopięła swego, a zemsta tej „kobiety, nieznośnej żmii, trucizny nieuleczalnej”, jak pisał o niej autor *Pieśni…*, była straszliwa. Własta poddano strasznym torturom: oślepiono (za wyimaginowaną zdradę) i obcięto mu język (za oszczerstwo). Księżna domagała się głowy Własta, ale Władysław na to już

nie zezwolił, przestraszył się tego, co zrobił. Sprawa miała także oblicze polityczne, nie tylko obyczajowe. Włast stał na straży testamentu Bolesława Krzywoustego. Zlecił mu to umierający książę. Włast ujmował się więc za młodszymi braćmi, których prawa Władysław systematycznie łamał. Oślepiony możnowładca wyjechał na Ruś (jego żona była spokrewniona z tamtejszymi władcami) i skutecznie, swoim przykładem, zniechęcał do udzielenia pomocy Władysławowi przez Kijów. A tymczasem w kraju rosło oburzenie z powodu postępowania Władysława i Agnieszki. Skrzętnie wykorzystali to juniorzy, dogadując się z wielmożami, przerażonymi losem, nawet jak na średniowiecze okrutnym, Własta. Władysław obległ zbuntowanych braci w Poznaniu, ale nie mógł zdobyć grodu. Trwał impas, aż do momentu gdy po stronie juniorów opowiedział się arcybiskup gnieźnieński Jakub ze Żnina i rzucił na Władysława klątwę kościelną. To już nie były przelewki. Obłożony klątwą tracił wsparcie wszystkich sojuszników, musiał szukać ich za granicą u rodziny żony. Agnieszka tymczasem pozostała w kraju i zebrawszy wiernych rycerzy, umocniła się w Krakowie. Juniorzy oblegli umocniony Wawel, a „księżna broniła miasta jak tygrysica”, co odnotował w kronice Kadłubek. Jednak Polacy pokazali „tygrysicy”, gdzie jest jej miejsce. Niemcy nie przybyli z odsieczą, Agnieszka musiała więc, ku swojej złości, poddać miasto oblegającym i opuścić z dziećmi kraj. Tam lobbowała na rzecz interwencji w Polsce. Z mizernym skutkiem. Konrad III co prawda ruszył na czele wojsk, aby osadzić na tronie Agnieszkę, o, pardon – Władysława, ale bez sukcesu. O ironio, na przeszkodzie cesarzowi, który miał przywrócić porządek ustanowiony przez Bolesława Krzywoustego, stanęły umocnienia nadgraniczne zorganizowane na rozkaz Krzywoustego oraz Odra, która akurat szeroko wylała. Władcy w Niemczech zmieniali się i chociaż zawsze byli to krewni Agnieszki, to nie mogła ona liczyć na ich poparcie – byli pochłonięci innymi sprawami za granicami Niemiec. Udało jej się jedynie wybłagać u papieża Eugeniusza III przysłanie legata, który zdjął z jej męża klątwę, a u kolejnego krewnego na cesarskim tronie, Fryderyka Barbarossy, kolejną interwencję zbrojną. Jednak szybciej się ona skończyła, niż zaczęła. Dwa lata później, w 1159 roku, Władysław zmarł, a Agnieszka przeżyła go o trzy, bądź jak podają inne źródła, o pięć, cały czas knując, namawiając i walcząc o odzyskanie Śląska, a nawet zjednoczenie całego kraju pod

berłem, jeśli nie męża, który zyskał u potomnych przydomek „Wygnaniec”, to dla swoich dzieci. Bezskutecznie.

Bliski spełnienia marzeń Agnieszki był jej wnuk Henryk Brodaty, który pod koniec życia mógł się już tytułować księciem śląskim, wielkopolskim i krakowskim, i opiekował się dobrami sandomierskimi. Jego żona, podobnie jak żona dziadka, była Niemką – nosiła imię Jadwiga. Dzięki ascetycznemu życiu została wyniesiona na ołtarze już dwadzieścia kilka lat po swojej śmierci jako patronka Śląska. Musiała znosić nie do końca „święte” postępowanie męża. On za to akceptował jej ascetyczne, szokujące jednak nawet współczesnych, praktyki religijne. Być może na jej psychikę, a co za tym idzie, zachowanie, wpłynęły nauki pobierane w dzieciństwie w klasztorze w Kitzingen. Urodzona jako córka Bertolda III, hrabiego Andechs, i Agnieszki z Wettinów, po roku 1190 została żoną Henryka. Czy to z racji wydania za mąż w wieku dwunastu lat, czy urodzenia siedmiorga dzieci (pierwsze już rok po ślubie), czy też z racji dramatycznych matczynych doświadczeń (czworo jej dzieci zmarło), czy może zgryzoty wywołanej nieszczęśliwym związkiem najmłodszej córki, w każdym razie w roku 1209 Jadwiga namówiła męża i obydwoje złożyli śluby czystości. I chociaż, ku jej zadowoleniu, mąż zaczął zewnętrznie wyglądać jako mnich (zapuścił brodę i wygolił tonsurę), to ku zgryzocie Jadwigi pokornym barankiem przed kościelnymi hierarchami być nie zamierzał. Był skonfliktowany z biskupem wrocławskim Wawrzyńcem: poszło o płacenie mu dziesięcin przez osadników niemieckich. Książę zwolnił ich z tego obowiązku, pragnąc w ten sposób przyciągnąć osadników, ale biskup był niezadowolony z powodu utraty dochodów. Biskupowi Tomaszowi, następcy Wawrzyńca, nie było łatwiej. Z nim z kolei Henryk popadł w konflikt w związku ze ściąganiem „funduszy celowych”, jak by to dzisiaj określono w europejskiej nowomowie, z terenu całego Śląska, w tym z majątków biskupich. Środki te były księciu potrzebne do prowadzenia wojny. Biskup swoje, książę swoje – skończyło się na obłożeniu Henryka klątwą. Zgryzoty Jadwigi sięgały zenitu. „Nocą znajdowano ją w kościele w ekstatycznej modlitwie, dniem albo wymiatającą śmieci klasztorne lub całującą ślady sióstr i pijącą wodę, w której się myły” – pisał autor *Żywota świętej Jadwigi*. Ale zaraz, zaraz – to ona umartwia się, chodząc zimą do kościoła boso po śniegu (a kiedy spowiednik kazał jej nosić obuwie, to owszem, nosiła, ale na sznurze przerzuconym przez ramię), kąpie wnuka

Bolesława w wodzie, w której wcześniej umyła nogi starym mniszkom, opiekuje się trędowatymi i więźniami, a tutaj mąż, od którego egzekwuje śluby czystości i do jego sypialni wchodzi zawsze w towarzystwie dwóch dwórek, został obłożony ekskomuniką?! Co gorsza, książę w owym stanie zmarł w roku 1238. Księżna stanęła przed wielkim dylematem – bo osobie wyklętej przez Kościół nie należał się chrześcijański pochówek. Pożegnać się z umierającym mężem się nie zdecydowała, jednak mimo oporów hierarchii kościelnej spełniła chrześcijański i małżeński obowiązek i pochowała Henryka w Trzebnicy, w kościele przy klasztorze cystersek, ufundowanym w 1202 roku właśnie przez niego. Musiała darzyć męża prawdziwym uczuciem: to pod jej opieką leczył rany po zamachu w Gąsawie, którego ofiarą padł książę Leszek Biały. Nie wahała się również wyruszyć do nienawidzącego Henryka księcia Konrada Mazowieckiego, gdy jej mąż wpadł w pułapkę zastawioną przez władcę Mazowsza. Pojechała aż do Płocka, nie bacząc na złą sławę Konrada. I pewnie gdyby zamiast Jadwigi przybyła cała armia, zrobiłoby to na Konradzie mniejsze wrażenie niż ta jedna kobieta. Henryk odzyskał więc wolność. Dwa lata przed śmiercią Jadwiga przeżyła kolejną tragedię, chociaż jak przystało na przyszłą świętą, przyjęła ją z pokorą. W 1241 roku w bitwie z Tatarami pod Legnicą zginął jej syn i następca Henryka Brodatego, książę Henryk Pobożny, a wraz z nim kwiat śląskiego rycerstwa. Śmierć syna przyjęła ze spokojem – widać Bóg tak chciał…

O ile Jadwiga zapisała się w historii jako święta, o tyle inna Niemka na polskim tronie ma chyba najbardziej mroczne, po legendarnej żonie Popiela, CV wśród polskich władczyń. To Małgorzata Brandenburska, trzecia żona Przemysła II. Chociaż na podstawie przekazów historycznych trudno uznać, że to prawda, w każdym razie legenda przypisuje Małgorzacie udział w spisku na życie męża. Spisku uwieńczonym zamordowaniem władcy. Przemysł (jako pierwszy z polskich władców po blisko 220 latach przerwy) założył królewską koronę. Uroczystość odbyła się w roku 1295 w katedrze gnieźnieńskiej. Władca Wielkopolski zdecydował się na ten krok, kiedy zgodnie z testamentem ostatniego księcia Pomorza Wschodniego Mszczuja II przejął po jego śmierci tę dzielnicę. Małgorzata była wtedy już od dwóch lat żoną Przemysła i z tyłu głowy musiała mieć historie opowiadane o swoich dwóch poprzedniczkach: Ludgardzie Meklemburskiej oraz Ryksie. Ta pierwsza zmarła w nieznanych

okolicznościach dziesięć lat po ślubie, a pieśń gminna powtarzała, że stało się to, jeśli nie na zlecenie, to w każdym razie za wiedzą władcy, który nie mógł się doczekać następcy z tego związku. I nieoceniony Długosz owe plotki w swojej kronice zawarł:

> Pieśń między ludem jeszcze za naszych czasów śpiewana świadczyła, jako księżna, przeczuwając, że ją mąż myśli zgładzić ze świata, błagała go ze łzami i zaklinała, żeby niewieście swej i małżonce nie odbierał życia, ale pomny na Boga i na uczciwość tak książęcą i małżeńską pozwolił jej wrócić do ojczystego domu choć w jednej koszuli; chętnie bowiem znosić będzie los nawet najbiedniejszy, byle jej życie darował. Mniemał Przemysław, że skryta jego zbrodnia, o której niewiele wiedziało osób, w wiecznym utonie milczeniu. Bóg jednak zrządził inaczej. Morderca bowiem słyszał swą hańbę wyśpiewaną w pieśni, która, jak wiadomo, doszła aż do naszych czasów i za wieku dzisiejszego na widowiskach powtarzana była.

Skoro słyszał ją Długosz po tylu latach, musiała ją tym bardziej znać Małgorzata. Jej bezpośrednia poprzedniczka, pochodząca ze Szwecji Ryksa, zmarła w kilka lat po urodzeniu Przemysłowi córki, również Ryksy. Czy nastąpiło to za przyzwoleniem bądź pomocą zleconą przez księcia? Trudno wyrokować. Wiemy, że w zamian za palenie wiecznego ognia przy grobie zmarłej małżonki Przemysł nadał dobra kościołowi poznańskiemu.

Sprawa braku dziedzica stawała się coraz bardziej paląca. Dlatego w małżeństwie z Małgorzatą pokładał wielkie nadzieje. W chwili ślubu ta córka margrabiego brandenburskiego Albrechta III i królewny duńskiej Matyldy miała około osiemnastu lat i trzydziestoześcioletni wówczas książę mógł mieć nadzieję, że doczeka się wreszcie dziedzica. Pół roku po koronacji to jednak nie Przemysł szukał czwartej małżonki, tylko Małgorzata przywdziała wdowie szaty. 8 lutego 1296, kiedy to król odpoczywał po hucznych zapustach w Rogoźnie, napadli na niego Brandenburczycy i kilku rycerzy z wielkopolskich rodów Nałęczów i Zarembów (tak chce tradycja, współcześni historycy jakoś udziału tych rodów dopatrzyć się nie mogą). Mieli go porwać i wywieźć, ale król stawiał opór, został ranny i wreszcie dobity. Kronikarze i rocznikarze oskarżają o ten czyn Brandenburczyków, czyli rodzinę Przemysła (w tym Jana IV, siostrzeńca króla Polski), którym nie odpowiadało rosnące w siłę sąsiednie państwo. Tak zapewne było, ale czy Małgorzata maczała w tym palce? No cóż, jako Niemka posłuszeństwo wobec rodziców wyniosła zapewne

w genach, więc może po prostu wypełniała polecenia przysłane przez ojca? Zwłaszcza że jej przyszłość na poznańskim dworze, w świetle losu poprzedniczek i w obliczu braku następcy, nie rysowała się zbyt różowo, a zawsze to lepiej być żywą ekskrólową niż nieżywą królową.

Po śmierci męża nie pozostało jej nic innego, jak zabrać małą Ryksę oraz co się da, i wyjechać na dwór ojca. Nastroje w Poznaniu były bowiem zdecydowanie antyniemieckie. Małgorzata długo w stanie wdowim pozostawać nie zamierzała: jako kandydata na męża upatrzyła sobie księcia rostockiego Mikołaja, który jednak zaręczyny zerwał i wybrał sobie inną małżonkę. Kolejnym mężem byłej królowej został więc książę saski Albrecht, który zmarł rychło po ślubie. Żona przeżyła go zapewne o cztery lata.

O SPROWADZENIU BUTNYCH KRZYŻAKÓW NA DROGĘ POKORY

Wiadomo, że trzy krzyże są i o trzech barwach.
Różne; tych, co je noszą, też rodzaje trzy:
Jest czerwony, ten słusznie zwie się Jezusowym,
Albowiem tak Jezusa zabarwił się krwią.
Jest biały, odpowiedni zbójcy z prawej strony,
Którego zbrodnie kilka odkupiło słów.
Jest w końcu czarny, zbója z strony lewej; ten to
Zdradziecki Zakon uznał – jak słusznie! – za swój.
Andrzej Krzycki (1482–1537)

Z Krzyżakami byłem za pan brat dosłownie od urodzenia. Urodziłem się bowiem w Giżycku, mazurskim miasteczku. Mazurskim, czyli położonym na terenie dawnego państwa zakonnego, później Prus Książęcych, Królestwa Prus, Cesarstwa Niemieckiego, Republiki Weimarskiej, III Rzeszy i wreszcie Polski. Duch krzyżactwa i niemczyzny towarzyszył mi więc od narodzin, które odbyły się w neogotyckim gmachu szpitala, przypominającym zamczysko. Zbudowano go w roku 1910 dla ewangelickich sióstr domu „Bethanien". W uroczystości otwarcia brał udział pruski następca tronu, czyli jakiś tam pra, pra, pra, pra, pra, pra… potomek Albrechta Hohenzollerna – ostatniego wielkiego mistrza zakonu w Prusach.

Idąc z jednego końca miasteczka (gdzie na piętrze poniemieckiego domu z ogromnym ogrodem mieszkali dziadkowie) na drugi koniec (do PRL-owskiego bloku z mieszkaniem rodziców ze ślepą kuchnią i płytą na węgiel

w owej kuchni), mijałem kościół, który wyglądał jak średniowieczny zamek. Przysadzistą wieżę zdobił wielki cyferblat, na którym zamiast godzin umieszczono miecze (zegar zresztą nie chodził, bo wskazówki i mechanizm ukradli najprawdopodobniej czerwonoarmiejcy w 1945 roku), a nad wejściem patronował świątyni mozaikowy święty Bruno z Kwerfurtu, zamęczony przez Prusów ponoć niedaleko mojego miasteczka. Bruno siedział pobożnie w kotle, a źli Prusowie dziabali go widłami. Jednak u dołu tego przedstawienia intrygowały mnie jakieś ślady na tynku, zdrapane i zasłonięte właśnie ową mozaiką. Po latach zobaczyłem przedwojenne zdjęcie kościoła – nad wejściem, tam gdzie teraz była mozaika, widniało prostokątne sgraffito – na środku – owszem, nadal święty Bruno. Ale nie przypiekany w kotle, tylko błogosławiący stojącego z jednej strony Krzyżaka, a z drugiej – żołnierza Wehrmachtu. Nic w tym dziwnego: świątynię wybudowali Niemcy w latach trzydziestych XX wieku jako kościół garnizonowy dla rzymskokatolickich żołnierzy stacjonujących w tym miejscu. Cóż, stojący na baczność żołnierz Wehrmachtu i krzyżacki rycerz musieli za PRL-u ustąpić miejsca dzikim Prusom.

Potem po drodze mijałem pokrzyżacki zamek nad kanałem łączącym wielkie jeziora. Zameczek niewielki, najpierw był to „Wildhaus”, czyli strażnica broniąca przesmyku między jeziorami, którym Jaćwingowie i inni „Litwini” lubili przebijać się przez wiekową puszczę, aby odbierać Krzyżakom to, co ci wcześniej odebrali Bałtom. Przy okazji zaś mordować, palić i gwałcić – czyli zabawiać się na modłę obowiązującą na wojnach do dzisiaj. Później, kiedy Krzyżacy pozbyli się pogańskich sąsiadów, był to zamek myśliwski pruskich książąt, czyli potomków byłego wielkiego mistrza. A kiedy zabrakło potomków, został mieszkaniem dowódcy wielkiej twierdzy wybudowanej nieopodal. Za moich czasów był to już mocno podupadły hotel z dobudowaną koszmarną szklano-plastikową kawiarnią „Zamkową”, serwującą oczywiście krem sułtański.

W domu zaś, w rodzinnym albumie, czekał prawdziwy rarytas – zdjęcie Krzyżaka. I to żywego! Prawdziwego Krzyżaka w zbroi i białym płaszczu z charakterystycznym czarnym krzyżem. Nie, nie był to kanclerz RFN Konrad Adenauer, który w roku 1957 otrzymał tytuł honorowego Krzyżaka. Zdjęcie sędziwego polityka w czarnym garniturze, na który narzucił biały płaszcz z czarnym krzyżem, obiegło wtedy całą prasę (czyli tych kilkanaście koncesjonowanych przez komunistów tytułów), a następnie

przez wiele lat było straszakiem PRL-owskiej propagandy. Zresztą Adenauer naszym krewnym ani przyjacielem domu nie był, więc na miejsce w rodzinnym albumie sobie nie zasłużył. Kogo więc przedstawiała fotografia w albumie? W czasach, gdy rycerze nosili zbroje, nikomu się o fotografowaniu nawet nie śniło, a jednak na zdjęciu stał żywy Krzyżak. Tajemnica była prosta do rozwikłania. Na zdjęciu uwieczniony został kuzyn, przedwojenny kawalerzysta, który wziął udział w bitwie pod Grunwaldem (jak widać, po niewłaściwej stronie), ale w tej powtórzonej na potrzeby polskiej megaprodukcji, czyli *Krzyżaków* w reżyserii Aleksandra Forda z 1960 roku (o której więcej w rozdziale *O nieustającej walce na miecze, armaty i słowa*). Podobno umiał się nawet rozpoznać na ekranie w tym ekspresyjnym kłębowisku ludzi i koni będącym wizją bitwy. Nikt poza nim jednak tego nie potrafił, mimo wielokrotnego wspólnego rodzinnego oglądania *Krzyżaków* i w kinie, i w telewizji.

Wycieczki do sąsiedniego Kętrzyna (po reformie administracyjnej roku 1976 pozostał przy macierzy, czyli Olsztynie, podczas gdy Giżycko trafiło, o zgrozo!, w szpony Suwałk) również nasycały moje oczy krzyżackim dziedzictwem. Potężny gotycki kościół z cegły, który wygląda jak zamek, zamek, który wygląda jak niezamek, i resztki murów miejskich, które wyglądają jak mury, czyli to, co pozostało ze Starego Miasta po spaleniu przez Armię Czerwoną… to wszystko działało na wyobraźnię. I przy okazji każdej wyprawy aprowizacyjnej (w Kętrzynie było to, czego nie było w odległym o trzydzieści kilometrów Giżycku, i odwrotnie – ot, taki typowy absurd PRL-u) domagałem się popatrzenia choćby z daleka na te architektoniczne dziwy, wykorzystując czas, gdy rodzice stali w kolejkach do sklepów. I zastanawiałem się: skąd się to wszystko tu wzięło?

Bo skąd na Mazurach, zimnym skrawku lądu gdzieś na krańcach Europy (tej niby mniej cywilizowanej), pojawili się Krzyżacy? Przecież ich siedzibą powinna być gorąca i odległa Palestyna, skoro nazwa organizacji brzmi Zakon Szpitala Najświętszej Maryi Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Historia jest częściowo prosta, a częściowo zawiła – jak to w życiu. Otóż Krzyżacy w XIII wieku dostali zaproszenie do osiedlenia się na ziemi chełmińskiej i skwapliwie z tego zaproszenia skorzystali. Nie mieli zresztą innego wyjścia, bo sami doprowadzili do sytuacji, że stali nad przepaścią z opcją na efektowne w nią wpadnięcie bez szans na wydobycie.

A tutaj – jakby dar od niebios – zaproszenie z Polski z kartą stałego pobytu. Nie przewidzieli braciszkowie, że ten pobyt skończy się jednak dla Krzyżaków likwidacją zarówno ich państwa, jak i głównej gałęzi zakonu urządzonej przez Polaków. Jednak to dopiero pieśń dalekiej przyszłości.

Zakon NMP został założony w Jerozolimie w roku 1190 przez mieszczan z Bremy i Lubeki, aby nieść pomoc cierpiącym pielgrzymom narodowości niemieckiej. Co prawda w Ziemi Świętej od dawna działały już zakony joannitów i templariuszy, których zadaniem była opieka nad chorymi pielgrzymami i chrześcijańskimi rycerzami, ale Niemcy odwiedzający tamte rejony mieli do działań tych zakonów duże zastrzeżenia. W roku 1198 roku papież Innocenty III przyjął niemieckich braci pod swoją opiekę i zgodził się, aby w sprawach rycerskich rządzili się regułą templariuszy, a w kwestiach szpitalnych – joannitów.

W roku 1211 król Węgier Andrzej II nadał zakonowi (którego wielkim mistrzem był wówczas Herman von Salza, wybitny dyplomata, twórca potęgi zakonu) ziemię Borsa. Te leżące na dalekich wschodnich peryferiach Królestwa Węgier tereny były narażone na najazdy niezbyt przyjaźnie nastawionych, co jest określeniem nader delikatnym, Połowców. Herman von Salza zmierzał jednak do zerwania zwierzchności królewskiej – powoływał się na wygodne, w tym momencie, prawo zabraniające zakonom rycerskim wchodzenia w zależności lenne od władców świeckich. Król Andrzej wziął więc sprawiedliwość w swoje ręce i w roku 1225 usunął z ziemi Borsa zakonników z czarnym krzyżem. Na nic się zdały interwencje kolejnych papieży – król mówił stanowczo „nie”, argumentując poetycko, że zakon jest „jak ogień w piersiach, jak mysz w plecaku, jak żmija w łonie”.

I w tym dramatycznym momencie, kiedy ważyły się losy Zakonu NMP, na drodze rycerzy stanęli Polacy i wyciągnęli pomocną dłoń, nieświadomie przenosząc „mysz w plecaku” w ten zakątek Europy. Konkretnie zaś dłoń ową wyciągnął książę Konrad Mazowiecki, obarczany przez przyszłe pokolenia winą za wszelkie nieszczęścia, które jakoby ściągnął na kraj, sprowadziwszy Krzyżaków. Otóż jego księstwo sąsiadowało z ziemiami zamieszkanymi przez pogańskich Prusów, z którymi w niezbyt szczęśliwy dla siebie kontakt ponad dwieście lat wcześniej wszedł święty Wojciech. Prusowie regularnie najeżdżali i pustoszyli pogranicze Mazowsza,

zapuszczając się w głąb tego księstwa. Książę Konrad, mimo że ambicja polityczna pchała go ku królewskiemu tronowi w Krakowie, na razie nie radził sobie z łupieżczymi napadami owego pogańskiego ludu. Uznał, że najlepszym sposobem na Prusów będzie przeciągnięcie ich na stronę chrześcijaństwa. Powołał specjalny zakon rycerski w Dobrzyniu i aktywnie wspierał Christiana, biskupa, w utworzonej nieco na wyrost diecezji na pruskich ziemiach. Prusowie jednak nie zamierzali zostać ani chrześcijanami, ani tym bardziej poddanymi księcia.

Wówczas Konrad postanowił zwrócić się do Krzyżaków. Im zaś w Siedmiogrodzie akurat zaczęła się palić ziemia pod stopami, więc propozycję, by zająć się poganami na pograniczu Mazowsza, potraktowali jako dar niebios. A że wieści wtedy rozchodziły się powoli i samym Krzyżakom nie zależało na rozgłaszaniu węgierskich afer, Konrad nie wiedział, co ryzykuje, i w 1226 roku oddał zakonowi ziemię pod opiekę. Według późniejszych przekazów wyglądało to tak:

> […] książę zasłyszał wieść o braciach szpitala niemieckiego, jak byli oni pomocni. I wtedy obesłał on komesów i wszystkich swoich panów i przedłożył im tę sprawę, i rzekł: Gdybyśmy sprowadzili tu owych braci ze szpitala niemieckiego, wtedy z boską pomocą zdołalibyśmy się obronić przed tymi poganami; i dalej powiedział swym panom, że ci bracia jako ludzie szlachetnego rodu są dobrze wysłuchiwani w Rzymie przez czcigodnego pana papieża, a także dobrze widziani na cesarskim dworze, mogą więc oni uzyskać to, iż wezwie się krzyżowców do wzięcia pomsty na poganach. Prosił więc książę wszystkich biskupów, którzy byli mu podlegali, a także swoich żupanów, którzy byli pod nim rycerzami, aby mu poradzili, jak ma postąpić. A wtedy przemówili oni jednym głosem, że on sam znalazł najlepszą decyzję, i wszyscy wypowiedzieli się za tym, żeby wysłał on swoich posłów do braci ze szpitala niemieckiego; a do tego dodali biskupi swe listy z własnymi pieczęciami.

Ziemia chełmińska miała być bazą wypadową Krzyżaków. W tym zgadzał się z Konradem wielki mistrz Herman von Salza. Wcale natomiast nie podobał mu się pomysł, aby to księciu przypadły zdobyte ziemie. Herman widział na miejscu kraju Prusów państwo zakonne. I zmierzał do ziszczenia tej wizji małymi krokami, lecz bardzo konsekwentnie. Nie dość, że załatwił u cesarza Fryderyka II potwierdzenie książęcej darowizny, to jeszcze – jako że cesarz miał prawo dysponowania ziemiami pogańskimi – wyprosił przekazanie ziem Prusów w bezpośrednie władanie Krzyżakom. Oczywiście trzeba je było najpierw podbić. W następnej kolejności von

Salza zaczął negocjacje z biskupem Christianem. Wielki mistrz miał swoją ukrytą intencję: dążył do wchłonięcia przez Krzyżaków zakonu rycerzy dobrzyńskich oraz zrzucenia władzy biskupiej; Christian zaś liczył na wsparcie swej działalności przez nowych mieszkańców ziemi chełmińskiej. Sytuacja niezmiernie sprzyjała von Salzy, ponieważ krótko po wstępnych rozmowach biskup Christian, prowadzący akcję misyjną wzdłuż Mierzei Wiślanej, dostał się do pruskiej niewoli. O jego uwolnienie zabiegał sam legat papieski, za to von Salza wykazywał dziwną z pozoru obojętność wobec losów biskupa. Skutkiem tego Christian pozostał w niewoli do roku 1238, a w tym czasie Krzyżacy mieli dosyć czasu, aby zabezpieczyć swoje interesy na nowo pozyskanych terenach.

Przede wszystkim w roku 1234 sfałszowali tak zwany dokument kruszwicki, czyli rzekome nadanie im Prus przez księcia Konrada. Dokument ów złożyli w papieskiej kurii jako potwierdzenie, że odtąd sprawują pełną zwierzchność nad terytorium północnych pogan. Nie ma tam ani słowa o tym, że w roku 1231 Krzyżacy uznali zwierzchnictwo biskupa Christiana nad tymi ziemiami, a sobie mieli zatrzymać tylko jedną trzecią terytorium. Co prawda papież Grzegorz IX postąpił nie całkiem po myśli von Salzy: przejął pod bezpośrednią jurysdykcję i na własność Stolicy Apostolskiej ziemie Prusów, czyli w ówczesnym rozumieniu – ziemię niczyją. Jednak najbardziej pokrzywdzoną osobą okazał się znów biskup Christian, nie dość, że uwięziony, to jeszcze, *de facto*, pozbawiony funkcji papieskiego namiestnika, bo rolę tę przejęli Krzyżacy. W ten sposób zakon dostał wolną rękę w stworzeniu w Prusach własnego państwa. Christian po powrocie z niewoli mógł się już tylko przyglądać, jak Krzyżacy przejmują zwierzchność nad jego niedoszłą domeną. To, co podlegało mu jako biskupowi pruskiemu, zostało decyzją papieską w roku 1243 podzielone na cztery diecezje: chełmińską, pomezańską, warmińską i sambijską. Christian dostał papieski nakaz natychmiastowego wyboru diecezji, którą chce zarządzać, i zakaz, bez zgody kurii rzymskiej, wyzbywania się lub dawania w lenno przyznanych mu posiadłości i dochodów. Będąc między papieskim młotem a krzyżackim kowadłem, wybrał najbardziej dyplomatyczne rozwiązanie w tej sytuacji – niespodziewanie zmarł. Zniknął także z krzyżackiej drogi ku budowie własnego państwa zakon rycerzy z Dobrzynia: jego członkowie postanowili się przyłączyć do jakże obrotnych braci pod wodzą Hermana von Salzy.

Krzyżacy przyjęli ich z otwartymi ramionami, zwłaszcza że przy okazji wpadała w nie ziemia dobrzyńska, nadana rycerzom przez księcia Konrada. Tego było władcy Mazowsza za wiele – był przekonany, że z chwilą zniknięcia zakonu z Dobrzynia nadana mu ziemia trafi ponownie do ofiarodawcy, czyli do Konrada. Krzyżacy oczywiście byli odmiennego zdania. Książę jednak utarł im nosa, tym razem z pomocą legata papieskiego Wilhelma z Modeny. Przy jego mediacji zawarto kompromis – Dobrzyń wrócił do księcia, a ten w zamian potwierdził nadanie Krzyżakom ziemi chełmińskiej.

Krzyżacy po przyłączeniu rycerzy z Dobrzynia sięgnęli wzrokiem daleko na północ w kierunku obecnej Łotwy i Estonii. Tam pogan na chrześcijaństwo słowem bożym i mieczem (głównie tym ostatnim) nawracali kawalerowie mieczowi, czyli zbrojne ramię biskupa Rygi Alberta. Naciskani i przez miejscowych biskupów, i przez króla Danii, i przez miejscową ludność, z zazdrością słuchali wieści z dalekiej ziemi chełmińskiej i Prus, gdzie Krzyżacy sprawnie budowali swoje państwo. Rozmowy w sprawie sojuszu prowadzono już od roku 1231, ale po bitwie pod Szawlami, kiedy to pogańscy Bałtowie zadali kawalerom mieczowym srogą klęskę, sytuacja zakonników stała się nie do pozazdroszczenia. Wykorzystał to Herman von Salza – mistrz „oskubywania” niedoszłych sojuszników w sytuacjach kryzysowych. W roku 1237 doprowadził do włączenia kawalerów mieczowych do zakonu krzyżackiego. Nie wszystko jednak poszło po myśli von Salzy. Po pierwsze, na terenach, gdzie dotychczas działali kawalerowie mieczowi, Krzyżacy musieli uznać prymat biskupa ryskiego. Po drugie, ziemie państwa krzyżackiego w Prusach od tych w Inflantach oddzielała pogańska Litwa. Było oczywiste, że te tereny staną się kolejnym celem rycerzy z czarnym krzyżem. I faktycznie, już w 1235 roku wielki mistrz Herman von Salza wyjednał u cesarza Fryderyka II „złotą bullę”, która rozszerzała dawne nadanie Prus na Litwę i Ruś. Oczywiście bez pytania mieszkańców o zgodę.

Krzyżacy podbijali kolejne ziemie Prusów. Mając poparcie kupców z Lubeki i Bremy (szansa na otwarcie nowych rynków zbytu) oraz polskich książąt (ujarzmienie niebezpiecznych sąsiadów), zajęli Sambię. Szybko jednak w tym, zdawałoby się, sprawnym układzie coś zaczęło szwankować. Otóż książę gdański Świętopełk popadł w zatarg z rycerzami w białych płaszczach – Krzyżacy ostro się wkurzyli, gdy władca Pomorza zaczął

pobierać cło z handlu wiślanego. A to oni mieli chrapkę na takie źródło dochodów i przymierzali się nawet do zajęcia Wielkich Żuław. Tymczasem jesienią 1242 roku Świętopełk ruszył na południe i dotarł aż pod Toruń. W odwecie Krzyżacy zajęli Sartowice nad Wisłą i wywieźli stamtąd cenną relikwię – głowę świętej Barbary. Pomorski książę bezskutecznie usiłował odbić gród, brak głowy świętej zapewne mu tego zadania nie ułatwiał. Wówczas – w każdym razie według Krzyżaków – sprzymierzył się z poganami, co spowodowało wybuch powstania przeciw władzy zakonu, a w konsekwencji Świętopełka wyklął papieski legat.

Polscy książęta zwietrzyli więc okazję do wyciągnięcia korzyści z tej sytuacji i zajęli należące do pomorskiego władcy Wyszogród i Nakło, Krzyżacy tymczasem doszli pod sam Gdańsk, paląc przy okazji, co nie wystawiło im najlepszej opinii jako rycerzom chrześcijańskim, najstarszy pomorski klasztor, cysterską Oliwę. Powtórzyli tym samym czyn, którego dwadzieścia lat wcześniej dokonali pogańscy Prusowie. Tylko że Krzyżacy traktowali to jako słuszny odwet na księciu, którego oskarżali o podburzanie Prusów do buntu przeciw zakonnej władzy. Co prawda kolejny papieski legat zdjął ze Świętopełka klątwę, ale pokój między księciem a Krzyżakami zawarty w roku 1248 przy udziale legata był wyjątkowo niekorzystny dla Świętopełka. No cóż, nie na darmo Krzyżacy trzymali od roku 1242 jako zakładnika książęcego syna – Mściwoja. Świętopełk miał w dodatku na głowie kłopoty z niesfornym młodszym bratem Samborem, który wchodził w konszachty z Krzyżakami, co skończyło się dlań wypędzeniem. Wówczas Krzyżacy ujęli się za nim i wtargnęli na Pomorze. Świętopełk w odwecie zniszczył podległą zakonowi Pomezanię, a mnisi-rycerze tradycyjnie już spalili oliwskie opactwo. Po tych ekscesach w 1253 roku ponownie podpisano pokój, powtarzający warunki z roku 1248.

Zabezpieczywszy w ten sposób tyły, Krzyżacy ruszyli na podbój ziem leżących na skraju Prus: Sambii i Jaćwieży. W wyprawie na Sambię brał udział król Czech Przemysł Ottokar II, a kuria rzymska ogłosiła, że ranga tej wyprawy jest równa krucjacie do Ziemi Świętej. Krzyżacy dla uczczenia króla Przemysła nazwali gród założony w Sambii u ujścia Pregoły do Zalewu Kurońskiego Koenigsbergiem, czyli Królewcem (obecna nazwa Kaliningrad pochodzi od nazwiska innego, nominalnego władcy w innym kraju, który w latach trzydziestych XX wieku ze strachu o swoją skórę

pozwolił, by jego żona przez wiele lat była więziona w łagrach, a jego podpis widnieje na rozkazie zamordowania polskich oficerów w Katyniu – mowa o Michaile Kalininie, marionetkowym przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej ZSRR). W ten sposób Krzyżacy odwdzięczyli się królowi Czech za sprowadzenie przezeń do Prus niebagatelnej liczby sześciu tysięcy zbrojnych.

Działania Krzyżaków cały czas spotykały się z życzliwą oceną, a nawet wsparciem ze strony polskich książąt… Ale do czasu. Otóż zakon coraz mocniej angażował się w sprawy Pomorza Gdańskiego. Dotychczas niemieccy rycerze byli zajęci podbijaniem ziem pruskich na zachód od Wisły, a także Litwy i Żmudzi, ale coraz bardziej zagmatwane kwestie dynastyczne zachęciły ich do próby wejścia na stałe na Pomorze Gdańskie. Powoływali się przy tym na układy i zapisy pozyskane od przedstawicieli młodszych gałęzi panującej dynastii. Książę Mściwój walczył o zachowanie jedności swojego państwa, ale Krzyżacy, jak to oni, zwrócili się o rozstrzygnięcie sporu do papieża, licząc, i słusznie, na przychylność papieskich przedstawicieli. I tak w 1282 w ręce rycerzy z czarnym krzyżem trafiły między innymi: ziemia gniewska, kilka wsi na Żuławach oraz dwa ujścia Wisły. Obecność Krzyżaków na lewym brzegu Wisły stała się więc faktem, a apetyt nie ograniczył się do tych początkowych zdobyczy. Sprzyjała temu sytuacja na Pomorzu po śmierci w roku 1294 księcia Mściwoja, ostatniego udzielnego władcy Pomorza Gdańskiego. Zapisał on w testamencie swój kraj Przemysłowi II z Wielkopolski. Ten rok później koronował się na króla Polski (tytuł króla nie był w Polsce używany od wypędzenia Bolesława Śmiałego w 1079 roku), a niecały rok później został zamordowany w Rogoźnie przez siepaczy działających z polecenia margrabiów brandenburskich. Czemu? Otóż Przemysł nastąpił im mocno na odcisk, wypełniając testament Mściwoja. Chrapkę na Gdańsk mieli bowiem niemieccy władcy. Książę rugijski Wisław II oraz margrabia Otton IV „ze Strzałą” już w 1289 roku zawarli układ, że po śmierci Mściwoja podzielą się Pomorzem pół na pół. Miało być tak pięknie, a tutaj wtrącił się ten Przemysł…

Gdy go zabrakło, panowie wielkopolscy pośpiesznie uchwalili, że schedę po nim obejmie książę sieradzki Władysław, zwany z racji nikczemnego wzrostu Łokietkiem. Wzrost i owszem, nie był imponujący, za to wola walki i determinacja – ogromne. Pomorzem z ramienia Łokietka zarządzał

wojewoda Święca. Łokietek uległ jednak kontrkandydatowi do polskiego tronu, królowi Czech Wacławowi II. Wtedy znać o sobie dali ponownie władcy Rugii, którzy wciąż mieli chrapkę na Pomorze. Do Sławna na zachodzie regionu przypłynął Sambor, syn Wisława II, i po prostu zajął ten teren. Święcowie skupili się na obronie Pomorza Gdańskiego, a Wacław II, zaabsorbowany innymi sprawami na drugim końcu swojego rozległego królestwa, nie mógł osobiście interweniować… wezwał więc na pomoc Krzyżaków. Mieli oni wesprzeć obrońców Gdańska. Jak weszli, tak wyjść z miasta nie chcieli. Dopiero po dwóch latach pomorskim rycerzom udało się przy pomocy Czechów usunąć rycerzy z czarnym krzyżem znad Motławy, a nieproszonych gości z Rugii – przepędzić ze Sławna.

Na otarcie łez Wacław II nadał Krzyżakom kilka wsi tytułem rekompensaty za poniesione koszty. Już rok później własność krzyżacka powiększyła się o tereny na lewym brzegu Drwęcy, czyli ziemię michałowską, którą zastawił książę kujawski Leszek. Wacław II specjalnego sentymentu do Pomorza ani do Gdańska nie miał i prowadził rozmowy z margrabiami brandenburskimi na temat wymiany tej odległej, z jego punktu widzenia, prowincji, na bliższą mu sercem i geograficznie Miśnię. Bez sukcesu, gdyż Brandenburczycy również woleli tamten teren, ale w każdym razie lawina ruszyła. I runęła po śmierci Wacława II w roku 1305. Teraz to Brandenburczycy zajęli Sławno, ale zasadnicza część Pomorza Gdańskiego została przy Łokietku. Nowy władca pamiętał – zbyt życzliwe jego zdaniem – zachowanie przedstawicieli rodu Święców podczas czeskiego panowania. Ograniczył więc rolę Święców, a wzmocnił w Gdańsku pozycję sędziego Boguszy. Co prawda stary Święca zachował tytuł wojewody gdańskiego, ale jego krewniacy zostali potraktowani mniej łagodnie. Zwłaszcza Piotr z Nowego, syn seniora rodu, popadł w niełaskę – stracił urząd starosty. W dodatku obawiał się utraty rodzinnych ziem w okolicy Sławna, czyli na terenie zajętym przez Brandenburczyków – złożył im więc, wraz z ojcem, braćmi i stryjem, hołd.

Władysław Łokietek zareagował szybko i zdecydowanie: Piotr został pochwycony i za nielojalność wtrącony do więzienia. Reszta rodziny zbiegła i, co tu kryć, dopuściła się zdrady, wzywając Brandenburczyków do zajęcia Pomorza i samego Gdańska. Tym nie trzeba było dwa razy zaproszenia powtarzać: margrabiowie Otton i Waldemar zebrali wojsko oraz biskupów lubuskiego i kamieńskiego, po czym ruszyli na Gdańsk.

Zajęli miasto i razem z jego mieszkańcami zaczęli oblegać gród broniony przez wiernego Łokietkowi sędziego Boguszę. Co prawda po pewnym czasie bezskutecznego oblężenia margrabiowie ruszyli do domu, pozostawiwszy wojska na miejscu, ale Bogusza, obawiając się, że bez posiłków nie przetrzyma kolejnego oblężenia, poprosił księcia Władysława o wsparcie militarne. Ten, zajęty umacnianiem swojej pozycji na niepewnym krakowskim tronie, nie bardzo mógł wysłać wojska daleko na północ. Polecił więc Boguszy zwrócić się o pomoc do najbliższych sąsiadów, czyli Krzyżaków. Instynkt polityczny zawiódł Łokietka na całej linii. Nie spodziewał się bowiem, że jeśli rycerze z czarnym krzyżem już gdzieś wchodzą, to nie po to, żeby stamtąd wyjść z własnej nieprzymuszonej woli. Najpierw więc i owszem – wypędzili Brandenburczyków, a sędzia Bogusza wpuścił „sojuszników” do części grodu. Ale skoro już się w grodzie znaleźli, nie zamierzali z niego wyjść. Ściągnęli posiłki, wyparli Polaków i zaatakowali miasto. Na początku listopada 1308 roku Gdańsk znajdował się pod ich komendą i z tej okazji zakonnicy, których statutowym zadaniem było niesienie pomocy, urządzili rzeź: rycerze, mieszczanie, pospólstwo i zwykli żołdacy – Krzyżacy pozbawili życia co najmniej kilkadziesiąt osób. Dodajmy, gwoli sprawiedliwości, że nie kierowali się kryterium politycznym: głowę dali i zwolennicy Łokietka, i Brandenburczyków. Na wieść o rzezi książę kujawski Kazimierz III, namiestnik Łokietka na Gdańsk i Tczew, wezwał mistrza krajowego Henryka von Plotzkego, aby ten wycofał się z Pomorza. Plotzke poczuł się co najmniej urażony postawą księcia i mało dyplomatycznie odpowiedział, że początkowo, i owszem, życzliwie patrzył na rządy Kazimierza na Pomorzu, bo z punktu widzenia Krzyżaków lepsze były takie rządy niż kogoś silniejszego. Ale obecnie zmienił zdanie i woli samemu przejąć ster władzy. I ruszył na Tczew, siedzibę księcia. Kazimierz nie popisał się męstwem i bez walki opuścił gród. Tym sposobem w polskich rękach na Pomorzu Gdańskim pozostało tylko Świecie.

Łokietek próbował rozwiązać konflikt na drodze dyplomatycznej, ale spotkanie z Henrykiem von Plotzkem w kujawskim Grabiowie w kwietniu 1309 roku nie przyniosło spodziewanego rezultatu. Plotzke wystawił Łokietkowi gigantyczny rachunek za „pomoc” w wypędzeniu Brandenburczyków, a gdy Łokietek odmówił zapłaty, mistrz krzyżacki zaproponował po prostu kupno Pomorza za jeszcze wyższą kwotę. Także ta

lichwiarska propozycja nie zyskała, co oczywiste, aprobaty polskiego władcy. Wtedy Krzyżacy zastosowali tradycyjne rozwiązanie – zaczęli oblegać kolejny gród, tym razem Świecie, aby mieć już w rękach całe Pomorze. Dwa miesiące polska załoga wyglądała posiłków Łokietka. Nadaremno. Książę Władysław albo miał słabą pamięć i szybko zapomniał, co oznacza zajęcie przez Krzyżaków jakiegoś terytorium, albo rzeczywiście cały czas czuł na plecach oddech czeskich pretensji do krakowskiego tronu. W każdym razie na Pomorze ruszył dopiero wtedy, gdy mógł spokojnie wyjechać z Małopolski. Swoją opieszałością wydał wyrok na Świecie.

Krzyżacy, teraz już panowie całego Pomorza, ponownie podjęli negocjacje z Łokietkiem. I nadal nie można było jakoś się dogadać. Skoro tak, to Krzyżacy uznali, że Gdańska i Pomorza sprzedawać nie będą, wręcz przeciwnie – uzyskają prawny tytuł do tych ziem. Jak postanowili, tak zrobili i odkupili prawo do Pomorza od Brandenburczyków. Kosztowało to rycerzy-mnichów niewiele, bo zaledwie dziesięć tysięcy grzywien brandenburskich i rezygnację z roszczeń do tej części Pomorza, którą Brandenburczycy zajęli już wcześniej, czyli Słupska i Sławna. Ale się opłaciło: teraz państwo zakonne rozpościerało się po obydwu stronach Wisły. A wielki mistrz Zygfryd von Feuchtwangen we wrześniu 1309 roku mógł przenieść swoją siedzibę z Wenecji do Malborka. Zaledwie rok wcześniej było to peryferyjne miasteczko na zachodnim skraju krzyżackiego terytorium, z silnie ufortyfikowanym zamkiem nad odnogą Wisły – Nogatem. Malborski zamek, rozbudowywany odtąd przez lata, zmienił się w największą ceglaną rezydencję w Europie: Zamek Wysoki z krużgankami otaczającymi dziedziniec i kościołem Najświętszej Panny Marii, Zamek Średni z Pałacem Wielkich Mistrzów i Wielkim Refektarzem oraz gospodarcze Przedzamcze. Rozmach rozbudowy świadczył o potędze państwa zakonnego, którego powierzchnia, po zajęciu Pomorza Gdańskiego, wzrosła o jedną trzecią i wynosiła 58 tysięcy kilometrów kwadratowych. Na jego terytorium znajdowały się bogate miasta: Gdańsk, Toruń, Elbląg, Królewiec, które zakon obłożył wysokimi podatkami. Ale i sami Krzyżacy prowadzili wysoko dochodowy handel bursztynem, a także zbożem i drewnem, konkurując z tymi ośrodkami miejskimi. Uchylali się przy tym od wnoszenia opłat portowych, udzielali płatnych licencji na prowadzenie żeglugi morskiej, zmuszali kupców do kupowania towarów

zakonnych. Jednym słowem – nie było łatwo być poddanym rycerzy z czarnym krzyżem, co z czasem się na Krzyżakach srogo zemściło.

Owe 58 tysięcy kilometrów kwadratowych nie zadowalało jednak mnichów-rycerzy. Przede wszystkim państwo zakonne w Prusach z terenami uzyskanymi po przyłączeniu Kawalerów Mieczowych w Inflantach łączył jedynie wąski pas ziemi wzdłuż Bałtyku. Głębiej Krzyżacy wejść nie dali rady – dostawali regularnie łupnia od pogańskich Bałtów. Łokietek, który nie popisał się instynktem politycznym wobec Krzyżaków, próbował teraz na drodze dyplomatycznej naprawić swoje błędy dotyczące Pomorza Gdańskiego, czym Krzyżaków wprawił w sporą złość. Uderzył do papieskiej kurii, sięgając po najbardziej sprawdzone argumenty – czyli finanse. I trzeba przyznać, że rozegrał to bardzo sprawnie. Najpierw za pośrednictwem kolejnych arcybiskupów gnieźnieńskich dawał papieżowi do zrozumienia, że bardzo chętnie płaciłby świętopietrze nie tylko z Pomorza Gdańskiego, ale i z ziemi chełmińskiej. Oczywiście pod warunkiem, że te tereny wróciłyby pod jego panowanie. To, że Pomorze Gdańskie zostało Polsce zagarnięte, było sprawą oczywistą, ale ziemia chełmińska była nową kartą w tej rozgrywce – polska dyplomacja zaczęła używać argumentu, że to terytorium zostało Krzyżakom jedynie użyczone na czas podbijania ziem Prusów. Skoro rycerze w habitach wypełnili tę misję, sporny teren powinni zwrócić. Oficjalnie z tymi postulatami ruszył do Awinionu biskup włocławski Gerward, gdyż właśnie ta diecezja sięgająca po Bałtyk poniosła z powodu krzyżackich samowoli największe straty. Kuria z przychylnością odniosła się do polskich argumentów, bo po pierwsze wyciągnięcie świętopietrza od Krzyżaków nie było prostą sprawą, po drugie – Łokietek byłby dobrym sojusznikiem Awinionu w sporze z Ludwikiem Bawarskim.

Papież Jan XXII wyznaczył więc czas i miejsce procesu oraz sędziów. I tutaj Łokietek przedobrzył, albowiem nie protestował, kiedy na sędziów wyznaczono trzech przedstawicieli polskiego kleru z arcybiskupem gnieźnieńskim Janisławem na czele. Dało to Krzyżakom z miejsca możliwość zakwestionowania bezstronności sądu, co też skwapliwie uczynili. Sąd rozpoczął obrady w Inowrocławiu w połowie maja 1320 roku, a wyrok ogłosił 10 lutego 1321 roku. Skazał Krzyżaków na zwrot Polsce Pomorza Gdańskiego oraz zapłatę trzydziestu tysięcy grzywien polskich tytułem odszkodowania za utracone dochody z tytułu zagarnięcia tego

terenu. Koszty procesu również ponieść mieli zakonnicy. Sąd przesłuchał dwudziestu pięciu świadków, którzy mieli styczność z bezprawiem zakonu albo sami go doznali. Byli wśród nich świadkowie z Pomorza Gdańskiego. Krzyżacy oczywiście wyrokowi nie zamierzali się podporządkować i od razu złożyli oficjalną apelację, a nieoficjalnie zaczęli lobować w kurii. Lobbing był skuteczny, ale tylko częściowo: wykonanie wyroku zostało zawieszone. Jak nie bez złości opisuje to Wigand z Marburga:

> W tymże czasie Polacy zdradę przeciw zakonowi, jak tylko mogli, knowali i na fałszach się zasadzając, klątwę na zakon rzucali. Lecz gdy się prawda okazała i niesłuszne zakonu oskarżenie, uwolnieni zostali od niesłusznej tego rodzaju napaści, za co bracia Bogu dzięki składają, że zakon za przezornością usprawiedliwiony został.

Krzyżacy przystąpili więc do bezpośrednich rozmów z Władysławem Łokietkiem trzy lata później. Złożyli propozycję nie do odrzucenia, którą Łokietek jednak odrzucić musiał. Krzyżacy chcieli bowiem, aby król Polski zrezygnował z Pomorza za dziesięć tysięcy grzywien srebra, zwrot posiadłości krzyżackich na Kujawach oraz dostarczanie posiłków zbrojnych. Łokietek uznał więc, że skoro dyplomacja zawiodła, to niech przemówi oręż. I zaczął szukać sprzymierzeńców w przyszłej walce z Krzyżakami. Znalazł ich po sąsiedzku: książę litewski Giedymin był idealnym koalicjantem. Bronił przed Krzyżakami wspomnianej już Żmudzi, co odciągało jego siły od głównego pola działania, czyli przyłączania na wschodzie ziem ruskich. Dlatego pakt z państwem również zainteresowanym przytarciem Krzyżakom nosa był mu bardzo na rękę. Sojusz kosztował Łokietka rezygnację z roszczeń wobec Podlasia, a jego syna, przyszłego króla Kazimierza Wielkiego – małżeństwo z córką Giedymina Aldoną (na chrzcie przyjęła imię Anna). W odpowiedzi zakon głosił wszem wobec, że Łokietek wchodzi w układy z poganami (nie chwaląc się tym, że sami zawarli z nimi rozejm trwający do roku 1327), i szukał sojuszników wśród książąt mazowieckich, których dzielnice nie weszły w skład królestwa zjednoczonego przez Łokietka. Władcom Mazowsza z dwojga złego bardziej bowiem niż krzyżackie sąsiedztwo doskwierały litewskie łupieżcze najazdy. W 1327 roku Łokietek zaatakował włości krzyżackiego sojusznika, księcia płockiego Wacława. Krzyżacy przypuścili kontratak na Kujawy i tam Łokietek trochę przetrzepał im

skórę. Cała awantura zakończyła się rocznym rozejmem zawartym we Włocławku.

Ale już dwa lata później Krzyżacy, wspomagani przez króla Czech Jana Luksemburskiego, zaatakowali Litwę. Łokietek ruszył na pomoc sojusznikowi i splądrował ziemię chełmińską. Oj, uparty Władysław nie przewidział, że leje wodę na młyn krzyżackiej propagandy – polski król atakuje i niszczy chrześcijańską ziemię. W tej sytuacji Jan Luksemburski zawarł sojusz z Krzyżakami. Używając tytulatury króla polskiego (jako spadkobierca poprzednika na tronie, Wacława III, przejął i ten tytuł), nadał Krzyżakom formalnie Pomorze Gdańskie, a następnie ruszył z mnichami w zbrojach pospołu do boju. Zajął ziemię dobrzyńską i zhołdował księcia płockiego. Do tego doszły wypady krzyżackie na Kujawy. Uderzenia Łokietka i sprzymierzonych sił węgierskich, ruskich i litewskich nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Co gorsza, Krzyżacy dogadali się po cichu z kurią i zgodzili, aby papiestwo pobierało świętopietrze z ziemi chełmińskiej. W zamian papież miał nie przypominać, że ziemia chełmińska podlega Polakom. Ponieważ pieniądze zaczęły płynąć, kuria przestała się interesować konfliktem polsko-krzyżackim.

Ciemne chmury gromadziły się więc nad Łokietkiem, a jeszcze w dodatku musiał zmierzyć się z czymś, co dziś nazwalibyśmy piątą kolumną. Otóż w roku 1331 możny ród Nałęczów, z wojewodą poznańskim Wincentym z Szamotuł na czele, zawarł z Brandenburgią tajny pakt o wzajemnej pomocy. Brandenburczycy mieli pomóc Nałęczom, gdyby Łokietek zajął ich dobra rodowe. A było to całkiem możliwe, ponieważ wojewoda darł koty z królewiczem Kazimierzem, pełniącym funkcję namiestnika Wielkopolski. Z drugiej strony Jan Luksemburski zawarł z Krzyżakami kolejny układ – tym razem zakładał on najazd na Polskę jesienią tegoż roku (Luksemburczyk, oprócz tego, że sam miał chrapkę na polską koronę, to dodatkowo obawiał się, że Łokietek zbierający w jedno państwo polskie ziemie sięgnie również po Śląsk, którym władca Czech był żywo zainteresowany). Krzyżacy przebierali nogami w strzemionach, żeby jak najszybciej zaatakować wkurzającego ich niezmiennie polskiego władcę małego wzrostem, ale wielkiego duchem, i ruszyli już w lipcu tradycyjnie na pobliskie Kujawy i Poznań.

Do Poznania nie doszli – na przeszkodzie stanęli im wielkopolscy chłopi. Ale drugi atak, przeprowadzony we wrześniu w kierunku Kalisza armią

liczącą około 6–7 tysięcy ludzi, był o wiele poważniejszy. Właśnie pod Kaliszem Krzyżacy mieli się spotkać z wojskami Jana Luksemburskiego. Luksemburczyk jednak wstrzymał marsz, ponieważ obawiał się ataku ze strony króla Węgier Karola Roberta ożenionego z córką Łokietka. Krzyżakom nie pozostawało nic innego, jak zrobić w tył zwrot na Kujawy. Wtedy to doszło do bitwy pod Płowcami (o bitwie – w rozdziale *O nieustającej walce na miecze, armaty i słowa*). Krzyżacy uderzyli na Kujawy ponownie wiosną następnego roku, a w sierpniu król Władysław zarządził kontratak na ziemię chełmińską. Do starcia obu stron doszło nad Drwęcą, ale i ta bitwa, jak wcześniej pod Płowcami, zakończyła się bez rozstrzygnięcia. Przerwał ją bowiem legat papieski, któremu papież powierzył misję rozjemczą. Legat wynegocjował przerwę w działaniach wojennych do wiosny 1333 roku oraz oddanie sporu do rozsądzenia królom Węgier (sprzymierzeniec Polski) oraz Czech (sprzymierzeniec zakonu). Jaki finał miałyby królewskie rozstrzygnięcia – nie wiadomo, gdyż zanim Luksemburczyk i Andegawen zabrali się do roboty, 2 marca 1333 roku zmarł Władysław Łokietek.

Jego syn i następca, Kazimierz, wyciągnął wnioski z niepowodzeń militarnych i ponownie postawił na dyplomację. Zakon również łaskawie sam wysunął propozycję zakończenia konfliktu na tej drodze, ale jako pierwsze żądanie wymienił pozostawienie w państwie zakonnym zajętych właśnie Kujaw. Pertraktacje odbyły się w Wyszehradzie w 1355 roku. Królowie Czech i Węgier wydali orzeczenie dla Polski niepomyślne. Co prawda nakazali Krzyżakom zwrot i Kujaw, i ziemi dobrzyńskiej, ale Pomorze Gdańskie i ziemię chełmińską miał zatrzymać zakon na zasadzie „wieczystej jałmużny” króla Kazimierza. Kazimierz oficjalnie na tę decyzję się zgodził, ale po cichu zaczął działać tak, aby nie weszła w życie. Z jednej strony zwlekał z jej ratyfikowaniem, a z drugiej prowadził dyskretne negocjacje z kurią awiniońską. Tutaj rzeczywiście odniósł sukces – papież nakazał przeprowadzenie ponownego procesu. Nie bez znaczenia były obietnice finansowe poczynione kurii przez króla. Drugim sukcesem było przejęcie przy pośrednictwie, o dziwo, Jana Luksemburskiego części Kujaw z Inowrocławiem.

Kazimierz kazał swoim przedstawicielom przygotować się do procesu niezwykle starannie i zadbał w kurii o to, aby zakon tym razem już nie mógł zarzucić sędziom stronniczości. Jako miejsce procesu wybrano

Warszawę na neutralnym Mazowszu, sędziami byli nie polscy duchowni, ale specjalni wysłannicy kurii. W pozwie strona polska domagała się Pomorza Gdańskiego, ziemi chełmińskiej i michałowskiej oraz ostatnich zdobyczy zakonu, czyli Kujaw i ziemi dobrzyńskiej. Polacy dowodzili w akcie oskarżenia, że zakon zajął te ziemie bezprawnie, a ziemia chełmińska miała wrócić do Macierzy, ponieważ zakon wystąpił zbrojnie przeciw swoim dobroczyńcom, czyli Polsce. Żeby przekonać sędziów, reprezentanci Polski wezwali stu dwudziestu sześciu świadków. Opisywali oni nie tylko okrucieństwa Krzyżaków popełniane na polskich ziemiach, ale zaświadczali także o tym, że ziemie wchodzące w skład państwa zakonnego są *de facto* polskie, więc powinny wrócić do Królestwa Polskiego. Po przedstawieniu tylu świadków zeznających na korzyść Polski wyrok mógł być tylko jeden. 15 września 1339 rok sędziowie papiescy orzekli, że Krzyżacy mają zwrócić Kujawy, ziemię dobrzyńską, a także Pomorze Gdańskie, ziemię chełmińską oraz michałowską. Sąd postanowił też, że strona polska powinna otrzymać od Krzyżaków odszkodowanie w wysokości 194,5 tysiąca grzywien, koszty procesu zaś uregulować mają Krzyżacy. Ci wyroku nie uznali i złożyli apelację do Awinionu.

A że kościelne młyny mielą powoli, król Kazimierz zdążył zmienić priorytety swojej geopolityki. Zainteresował go kierunek południowo-wschodni, czyli Ruś Halicka. Tam były ziemie, na które pożądliwie patrzyli małopolscy panowie, i szlaki handlowe, które interesowały małopolskich kupców. A że król rezydował w Krakowie, to poddani z Małopolski mieli łatwiejszy dostęp do majestatu i lobbowali za rozwiązaniami dogodnymi dla nich: Bałtyk nie jest jedynym morzem. Po drugiej stronie mamy przecież Morze Czarne… Kazimierzowi w walce z Krzyżakami nie sprzyjały też okoliczności zewnętrzne: w roku 1341 głos w sprawie warszawskiego sądu zabrał wreszcie papież Benedykt XII i wyroku nie podtrzymał. Polecił ponowne zbadanie praw Polski do Pomorza. Następca Benedykta Klemens VI trzymał stronę Krzyżaków. W dodatku w roku 1342 Kazimierz utracił cennego sprzymierzeńca, ponieważ zmarł Karol Robert, czyli szwagier polskiego władcy na węgierskim tronie. Kazimierz zawarł co prawda sojusz antykrzyżacki z książętami wołogojsko-słupskimi w 1343 roku (zapewniali, że udzielą pomocy Kazimierzowi w razie zaatakowania zakonu), ale nie zamierzał rozpoczynać akcji militarnej przeciw niemieckim

szpitalnikom. Nie miał na to środków, bo wszystkie pochłaniał wzmiankowany już kierunek południowo-wschodni.

W tej sytuacji król Polski wybrał mniejsze zło i zawarł z Krzyżakami pokój, dzięki któremu chwilowo nie musiał się martwić o tyły podczas działań na Rusi Halickiej. 8 lipca 1343 roku w Kaliszu Polska zrzekła się Pomorza Gdańskiego, ziemi chełmińskiej oraz michałowskiej, za co Krzyżacy zwrócili Kujawy i ziemię dobrzyńską. Król Kazimierz miał usunąć nazwy utraconych terenów z tytulatury i pieczęci. Tylko że Kazimierz przekazywał te tereny zgodnie z użytą już w Wyszehradzie zasadą „wieczystej jałmużny", czyli darowania zakonowi czegoś, co do niego należało. Dawało to prawny mandat przyszłym polskim władcom do ewentualnego ubiegania się o odebranie tych ziem. Co więcej, Krzyżacy akceptowali niektóre zwierzchnie uprawnienia królów Polski, chociaż ci nie mieli wówczas szans na ich wyegzekwowanie. W przypadku zaś konfliktu militarnego zakonu z Polską Krzyżacy tracili prawa do „jałmużny". Pokój został zawarty, ale za sprawą zakulisowych działań króla Polski (brał przykład z Krzyżaków) nie został zatwierdzony przez papieża, co było wymogiem zawartym w traktacie. Król Kazimierz tym sposobem zostawił sobie furtkę na przyszłość. Z tego też powodu nie spieszył się z usunięciem z tytulatury określenia „pan i władca Pomorza", czym wywoływał protesty Krzyżaków. A już kilka lat później król rozpoczął mozolne budowanie cichych sojuszów antykrzyżackich otaczających państwo zakonne. Z jednej strony, czyli od zachodu, trwał bowiem pakt z księstwem słupskim (książę Kaźko, wnuk króla i jego ulubieniec szykowany na następcę w Polsce). Od wschodu zaś Kazimierz odnowił sojusz z Litwą, żeniąc Kaźka z córką wielkiego księcia Olgierda, Kenną. Lobbował w Awinionie za powrotem przynależności diecezji chełmińskiej do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, prosił papieża o zwolnienie z niekorzystnych dla Polski (i, jak podkreślał, niekorzystnych również dla samej kurii) umów z Krzyżakami.

W decyzji o słuszności takiej drogi utwierdziło go to, co zobaczył podczas wizyty w Malborku w roku 1366. Zakon pod wodzą wielkiego mistrza Winrycha von Kniprodego był w rozkwicie, a Malbork imponował wielkością, mianem niezdobytej fortecy i wykwintnością życia w Pałacu Wielkich Mistrzów. Oto jak pobyt króla Kazimierza w Malborku opisuje kronikarz Wigand, co tu kryć – apologeta zakonu:

> Zdarzyło się w jesieni, że król Kazimierz zjechał do Malborga do mistrza do wypatrzenia stanu kraju. Mistrz przyjął go, jak przystało na króla, uczcił i otworzył piwnicę, kuchnię i szafował mu, co było potrzeba, i koniom jego. I został tam trzy dni, i razem się cieszyli, i prosił mistrza, wysoko to ceniąc, i jeśliby się to panom podobało, że rad by był obejrzał zamek ponad mieszkaniem (z góry) itd. Mistrz na to kazał wszystko otworzyć, wezwawszy socyusza swego, kazał mu iść z królem i wszystko pokazać. Obejrzawszy to, król powiedział mistrzowi: Panie, o mało zdradzonym nie zostałem, ale znam tych zdrajców, miałem z wami wojować, bo mówili, że wam schodzi na żywności. Ale teraz widzę, że wcale jest inaczej, i widzę obfitość wszystkiego itd., i wojować z wami nie chcę, moi nie mogli temu wierzyć, com widział w tym zamku, oprócz tego, com nie widział, że pełen jest żywności. Pożegnawszy więc mistrza, pojechał do domu i póki żył, pozyskał sobie przychylność zakonu.

Wigand przesadził w tym pozyskiwaniu przez polskiego władcę „przychylności zakonu”, bo Kazimierz, oceniając realnie siły państwa krzyżackiego, nie ograniczał wymierzonych w nie działań tylko do niwy dyplomatycznej. Uderzył też w bardziej doczesne, a czułe strefy. Rozpoczął wojnę handlową z zakonem – chodziło o to, aby Kraków oraz inne polskie miasta uzyskały prawo w pośredniczeniu w handlu z Rusią. Król planował skierowanie handlu z pominięciem miast pruskich, do Szczecina. Realizację tych pomysłów przerwała śmierć króla w roku 1370.

Następca Kazimierza na polskim tronie, siostrzeniec zmarłego króla Ludwik Węgierski, panował na terytorium rozciągającym się od Dubrownika po okolice Torunia i bardziej go zajmowały sprawy rodzinnych Węgier niż Polski, a co dopiero peryferyjnych, z jego punktu widzenia, ziem zajętych przez Krzyżaków. Odpowiadało mu, że ma na północy spokój gwarantowany pokojem kaliskim, a Krzyżakom odpowiadało, że mają wolną rękę w rozprawie z pogańską Litwą. Uzbrojeni, jak zwykle, w tytuł prawny (Litwę, Żmudź i Ruś nadał im w roku 1337 cesarz Ludwik Bawarski, dysponujący wedle prawa i zwyczaju jako cesarz ziemiami pogan, czyli niczyimi) Krzyżacy po roku 1360 nasilili wyprawy do tego stopnia, że docierali pod Wilno, Troki i na Ruś. Litwini, którymi rządził wtedy Olgierd, w odwecie urządzili w roku 1370 wyprawę na Sambię i dali niemieckiemu zakonowi potężnego łupnia. Olgierd raczej oganiał się od Krzyżaków, niż z nimi regularnie walczył, ponieważ główne siły litewskie były zaangażowane na wschodzie, w „zbieranie” ziem ruskich, w co coraz aktywniej angażowała się również

Moskwa. Sytuacja zmieniła się po śmierci Olgierda w roku 1377. Jego syn Jagiełło po objęciu władzy musiał się zmierzyć z nasilającymi się napaściami Krzyżaków wspomaganych przez zachodnich rycerzy, dla których te wyprawy w obliczu końca krucjat do Ziemi Świętej były okazją do zdobycia nie tylko rycerskiej sławy w walce z niewiernymi, lecz także licznych łupów. Zdecydował się więc, wbrew woli Kiejstuta, współrządzącego stryja, a nawet godząc w jego interesy, na zawarcie pokoju z Krzyżakami w 1380 roku. Dwa lata po śmierci Kiejstuta (nie tylko w Wilnie szeptano, że nastąpiła z rozkazu bratanka) Jagiełło zawarł ponownie układ z Krzyżakami nad Dubissą, praktycznie oddając zakonowi Żmudź, i obiecał przeprowadzić chrystianizację Litwy. Ponieważ układy są zawierane po to, żeby ich nie dotrzymywać, Jagiełło od razu zaczął prowadzić rozmowy z księciem moskiewskim Dymitrem Dońskim. Chodziło o przyjęcie przez litewskiego władcę prawosławia i o małżeństwo Jagiełły z córką Dymitra. Kiedy szpiedzy zakonni donieśli do centrali o tych rozmowach, rycerze z czarnym krzyżem przypuścili kolejny atak na Wilno i Troki. W zamian za potwierdzenie przekazania im Żmudzi poparli też syna Kiejstuta, Witolda, który zbiegł do Prus. Jagiełło zdawał sobie sprawę, że układ z Dymitrem byłby tylko tymczasowy, bo konflikt interesów Litwy i Moskwy na Rusi był nie do pogodzenia. Pozostawał mu więc jeden możliwy sojusznik – Polska.

Jagiełło, pragmatyk, zgodził się więc na propozycję małopolskich możnych, aby poślubić królową Polski Jadwigę. Na drodze do ich szczęścia był jednak mały, w dodatku (a jakże) niemiecki problem. Jadwiga miała już męża i wychodząc za Litwina, zostałaby bigamistką. Jadwiga bowiem została w wieku czterech lat wydana przez swego ojca, króla Ludwika, za równego jej wiekiem Wilhelma Habsburga. Ludwik, ojciec trzech córek, zaplanował bowiem przyszłość córek na europejskich tronach. Na Węgrzech miała właśnie rządzić Jadwiga z Wilhelmem, a w Polsce Maria z Zygmuntem Luksemburczykiem. Jadwiga została połączona małżeńskim węzłem przez arcybiskupa Esztergomu. Następnie odbyły się pokładziny – w łóżku obok siebie położono Jadwigę i Wilhelma, dzieci nie bardzo zorientowane, po co to wszystko. Ale oficjalnie małżeństwo zostało zawarte. Dzieci mieszkały osobno: Wilhelm w Budzie, a Jadwiga w Wiedniu, ale często się odwiedzały. Taki stan rzeczy miał trwać do osiągnięcia przez młodocianych małżonków dwunastu lat. Jednak Ludwik

zmarł w roku 1382, kiedy Jadwiga miała zaledwie osiem lat. Dwa lata później to Jadwiga, nie Maria, została koronowana w Krakowie, a polscy panowie woleli mieć na tronie jako męża królowej Jagiellona, nie Habsburga. Tymczasem Wilhelm postanowił wkroczyć do akcji. Osiągnął wiek, o którym była mowa w umowie zawartej z królem Ludwikiem. Upomniał się więc o swoją żonę. Odebrał odpowiednie dokumenty i zjawił się w Krakowie. Polscy panowie powiedzieli jednak „nie” i nie wpuścili go na Wawel. Zatrzymał się więc w mieście, a Jadwiga szybko dowiedziała się o przyjeździe małżonka. Wymykała się więc z Wawelu, aby spotykać się z Wilhelmem w klasztorze franciszkanów. Tam nie tylko szeptali sobie słodkie słówka, ale ucztowali i tańczyli. Wreszcie ustalili, że Wilhelm dostanie się na Wawel i tam dopełni małżeńskich obowiązków. Jako ustalili, tak się stało – Wilhelm zmylił straże i dostał się na zamkowy dziedziniec. Panowie z Rady Królewskiej dowiedzieli się o tym zuchwalstwie i kazali go pojmać. Dworzanie Jadwigi ukryli jednak Wilhelma w koszu i spuścili po murach. Królowa chciała za męża Wilhelma i koniec. Ruszyła więc jego śladem, dotarła do zamkowej bramy, ale tej, mimo rozkazu królowej, nie otwarto. Oto jednak, do czego zdolna jest zakochana kobieta. Jadwiga ujęła w swe drobne kobiece dłonie topór i ruszyła na bramę. Już miała wziąć solidny zamach, gdy drogę zagrodził jej podskarbi koronny Dymitr z Goraja. I tak długo prawił młodej władczyni o obowiązkach wobec poddanych i państwa, o konieczności poświęcenia i ponoszenia konsekwencji, że królowa zaniechała rąbania bramy i zgodziła się na przyszłość ustaloną przez radę królewską, a sam Wilhelm, jak niepyszny, czmychnął z Krakowa.

Jadwiga uległa racji stanu i wyszła za dużo starszego „dzikusa”. Małopolskim panom chodziło przede wszystkim o Ruś, gdzie ścierały się interesy Polski i Litwy, a ci myślący bardziej perspektywicznie działali na rzecz odzyskania Pomorza Gdańskiego. 14 sierpnia roku 1385 w Krewie Polska i Litwa zawarły unię. Jagiełło, w zamian za poślubienie Jadwigi, zobowiązywał się przyjąć z braćmi i całą Litwą chrześcijaństwo w obrządku zachodnim, a ziemie Litwy i należącej do niej Rusi na zawsze przyłączyć do Korony Królestwa Polskiego. Rok po tej deklaracji zjazd szlachty i możnowładców w Lublinie powołał go na tron Polski. To, o co od dawna zakon walczył bezskutecznie mieczem i ogniem, Polacy osiągnęli drogą pokojową. Wściekłość w Malborku była ogromna: państwo zakonne

zyskiwało nagle potężnego sąsiada, który wspólnymi siłami Polski i Litwy będzie teraz walczył o Żmudź, a kto wie – z czasem pewnie i o Pomorze Gdańskie oraz inne utracone ziemie. Przede wszystkim zaś chrzest Litwy oznaczał, że z mapy Europy zniknie miejsce uzasadniające działanie tam zakonu. Krzyżaków pewnie czeka znowu poszukiwanie miejsca do osiedlenia. Właściwie chodziło o być albo nie być zakonu, bo dokąd miałby się przenieść? Dlatego wielki mistrz Konrad Zöllner von Rotenstein z miejsca rozpoczął zabiegi dyplomatyczne, aby zdyskredytować znaczenie unii. Przede wszystkim kazał rozgłaszać na Zachodzie, że Jagiełło i wszyscy Litwini przyjęli chrześcijaństwo tylko dla pozoru, że naprawdę pozostali poganami. I że to jedynie zakon ma prawo do wprowadzenia chrześcijaństwa na Litwie, a przy okazji – przyłączenia jej ziem do swojego państwa. Dwoili się i troili, żeby ten pogląd przeforsować, zwłaszcza w rzymskiej kurii. Polacy jednak też nie zasypiali gruszek w popiele i ich dyplomacja okazała się na tyle skuteczna, że w 1403 roku kuria zabroniła Krzyżakom prowadzenia dalszej walki zbrojnej z Litwinami. Krzyżacy niewiele sobie z tego zakazu robili i nadal urządzali wypady, dochodząc pod Wilno, pod pretekstem wspierania Witolda. Między stryjecznymi braćmi dochodziło bowiem do konfliktów na temat stopnia niezależności Litwy od Polski. Krzyżakom wydawało się, że osiągnęli sukces, bo dogadali się z Witoldem i w roku 1398 książę na mocy układu salińskiego oddał im Żmudź w zamian za pomoc przy podbijaniu ziem ruskich i przy uniezależnieniu kraju od Polski – rozbicie unii było przecież w jak najbardziej żywotnym interesie Krzyżaków. Już wydawało się zakonowi, że osiągnął swój cel – zdobył Żmudź łączącą rozbite terytoria ich państwa – ale kuzyni na tronach się dogadali (Witold dostał do rządzenia całą Litwę) i Krzyżacy stracili pretekst do ingerencji w wewnętrzne sprawy Litwy, a jeśli czasem jeszcze urządzali wypady w głąb niej, to dostawali po głowie. W dodatku za cichą zgodą i pomocą Witolda w 1401 roku wybuchło na Żmudzi antykrzyżackie powstanie.

Krzyżacy więc to, czego nie mogli osiągnąć militarnie, próbowali uzyskać innymi sposobami. Zdobyli ponownie ziemię dobrzyńską, biorąc ją w zastaw od księcia Władysława Opolczyka (Opolczyk był jej czasowym dzierżawcą). Tymczasem Zygmunt Luksemburski (elektor brandenburski i król Węgier, a później cesarz) planował dokonanie rozbioru Polski. Luksemburczyk obiecywał Krzyżakom Mazowsze, północną Wielkopolskę

i Kujawy. Można więc śmiało powiedzieć, że rozbiory Polski od wieków były *idée fixe* władców Brandenburgii, zrealizowaną ostatecznie w XVIII wieku (o tym w rozdziale *O opłakanych dla Rzeczypospolitej skutkach wstydliwej przypadłości Fryderyka II*). Ponieważ Witold ponownie zainteresował się kierunkiem wschodnim, kolejny raz zawarł pokój z zakonem, aby zabezpieczyć sobie tyły. W roku 1404 w Raciążku Jagiełło zawarł osobny pokój – Polska odzyskała ziemię dobrzyńską (ale musiała ją wykupić i potwierdzić postanowienia pokoju kaliskiego, a Litwa – ponownie zrzec się Żmudzi). Te ustępstwa ze strony Polski i Litwy były pozorne – Jagiełło zbierał siły do ostatecznej rozprawy z zakonem.

Tylko że zakon wydawał się niepokonany i ciągle żądny kolejnych zdobyczy. Właśnie kupił od Zygmunta Luksemburskiego Nową Marchię (obecnie jest to zachodnia część Lubuskiego oraz południowa Zachodniopomorskiego), co nie mogło się spodobać w Polsce, gdyż Wielkopolska zyskiwała tym sposobem bezpośrednie sąsiedztwo Krzyżaków na kolejnym odcinku granicy. Nowy wielki mistrz Ulryk von Jungingen dokupił do tego jeszcze Drezdenko od dawnych polskich lenników, rodziny von Osten, a polscy szpiedzy donosili z Malborka o przygotowaniach militarnych czynionych przez zakon. Jagiełło, wspierany przez rycerstwo wielkopolskie, które nie było zachwycone rosnącym pod nosem agresywnym sąsiadem, uznał, że nadszedł najlepszy czas na rozstrzygnięcie militarne, ale poprzedzone odpowiednimi działaniami dyplomatycznymi. Kiedy więc na Żmudzi w roku 1409 wybuchło kolejne powstanie popierane przez Witolda, Polska oświadczyła, że krzyżacki atak na Litwę zostanie w Krakowie uznany za *casus belli*. Skoro tak, to 6 sierpnia wielki mistrz wypowiedział wojnę Jagielle, dziesięć dni później zaatakował z terenu państwa zakonnego ziemię dobrzyńską, Kujawy z Bydgoszczą i Krajnę, a z terenu Nowej Marchii północno-zachodnią Wielkopolskę. Rozpoczęła się wielka wojna z zakonem, której punktem kulminacyjnym, decydującym o złamaniu krzyżackiej potęgi, była bitwa pod Grunwaldem.

Do Grunwaldu mamy jednak jeszcze ponad pół roku. Tymczasem na początku października 1409 roku armia Jagiełły odzyskała Bydgoszcz, ale król zdecydował o przerwaniu działań wojennych, ponieważ wojska litewskie nie dały rady dotrzeć do koronnych. Zawarto więc rozejm, a spór o Żmudź miał rozsądzić król Czech Wacław Luksemburski. Rozsądził tak,

jak należało się spodziewać: przyznał ją Krzyżakom, a w dodatku przypomniał wszystkie „prawa” Krzyżaków do Litwy. Jagiełło i Witold nie zamierzali się takim rozstrzygnięciem przejmować, tylko dalej prowadzili przygotowania do zbrojnego rozwiązania konfliktu. Krzyżacy dogadali się po cichu z królem Węgier Zygmuntem Luksemburskim, aby ten uderzył na Polskę od strony Słowacji. Nie miał tego zrobić bezinteresownie: Krzyżaków sporo kosztowała ta pomoc w gotówce i w obietnicach zdobyczy terytorialnych kosztem Polski. Bitwa nazywana przez Polaków „pod Grunwaldem” (zapewne na przekór Niemcom, którzy tę klęskę militarną ponieśli pod Tannenbergiem) zniweczyła te plany i wstrząsnęła posadami państwa zakonnego. Zrobiła też ogromne wrażenie w całym ówczesnym świecie: Jan Hus napisał do Jagiełły list „z radością, której ani piórem nie opisać, ani słowem nie wyrazić”.

Jagiełło po zwycięstwie i jednodniowym odpoczynku wojska pomaszerował niespiesznie na Malbork, a wszędzie po drodze miasta i załogi zamków poddawały się polskiej władzy. Wydawało się, że dni państwa zakonnego są policzone, a już z pewnością że utraci ono co najmniej Żmudź, Pomorze Gdańskie i ziemię chełmińską. Mężem opatrznościowym Krzyżaków okazał się jednak komtur ze Świecia Henryk von Plauen, który zorganizował skuteczną obronę stolicy. Współcześni i potomni zarzucali Jagielle, że zawinił tu opieszałością. „Ludzie biegli w sztuce wojennej za największy błąd poczytywali królowi, że nie posłał wojsk a do opanowania zamku Marienburga, co wówczas łatwą było rzeczą, gdy zamek ten bez obrony i niemal pusty stał dla zwycięzców otworem” – pisał kilkadziesiąt lat później dziejopis Jan Długosz, niezbyt życzliwy królowi Władysławowi. Oblężenie Malborka rozpoczęło się 25 lipca, ale nie przynosiło skutku, bo Polacy i Litwini nie mieli ani dział, ani machin oblężniczych niezbędnych do zdobycia gigantycznego zamku. Po dwudziestu dniach spod Malborka wycofał się, za zgodą Jagiełły, Witold z Litwinami. To jego wojska poniosły ogromne straty podczas bitwy, a w dodatku z Inflant ruszyły tamtejsze wojska zakonne (pod Grunwaldem walczyła tylko jedna inflancka chorągiew). Jagiełło trwał pod zamkiem bez sukcesów do 19 września. Po rezygnacji z oblężenia wojsko zostało rozproszone, a polskie załogi pozostały jedynie we wcześniej zajętych zamkach. Tymczasem von Plauen nie próżnował. Opłacił zaciężnych i ściągnął posiłki krzyżackie z Rzeszy oraz Inflant. Wybrany na wielkiego

mistrza, przywrócił panowanie krzyżackie na większości terytorium państwa zakonnego.

W październiku 1410 roku Jagiełło zebrał wojska na Kujawach i zagrodził drogę zaciężnym oddziałom prowadzonym przez wójta Nowej Marchii Michała Küchmeistera. Wójt chciał zająć Kujawy i dzięki temu wymusić na Jagielle zawarcie niekorzystnego pokoju. Wojska polskie i krzyżackie spotkały się 10 października koło Koronowa i Jagiełło ponownie rozgromił Krzyżaków, a Küchmeistera wziął do niewoli. Sytuacja jednak robiła się dla Polaków niewesoła – Zygmunt Luksemburski, w myśl zasady „lepiej późno niż wcale", przypomniał sobie o umowie zawartej z Krzyżakami, ruszył na Polskę od południa i dotarł pod Stary Sącz. Polsce, mimo zwycięstwa pod Koronowem, stale groziła więc wojna na dwa fronty, a tego nawet połączone siły polsko-litewskie by nie zniosły, o ile w ogóle Jagielle udałoby się Witolda do walki (przecież nie w bezpośrednim interesie Litwy) namówić. Dlatego pokój zawarty w Toruniu 1 lutego 1411 roku król Władysław traktował raczej jako rozejm niż stałe rozstrzygnięcie, zwłaszcza że traktat miał obowiązywać do końca życia Jagiełły i Witolda. Porozumienia zawarte w Toruniu dawały Polsce niewielkie zdobycze terytorialne (do Polski wracała ziemia dobrzyńska, a zakon miał zapłacić jeszcze sto tysięcy kop groszy czeskich), ale za to Litwa odzyskała Żmudź.

Mimo że niezwyciężony dotychczas zakon dostał ostro po nosie, von Plauen się nie poddawał: zemścił się na członkach Towarzystwa Jaszczurczego, tajnej organizacji rycerstwa ziemi chełmińskiej, założonego w celu obrony przed krzyżackim uciskiem, i złamał opór Głównego Miasta Gdańska. Wszystko to tradycyjnym krzyżackim sposobem – skazując „winnych przewinienia" wobec zakonu na śmierć. Nie udała mu się za to próba wyłączenia Pomorza Gdańskiego z diecezji włocławskiej, czyli uniezależnienia go od polskiej administracji kościelnej. Dyplomacja polska zadziałała sprawnie, już rok po zawarciu pokoju podnosząc na forum międzynarodowym sprawę przynależności Pomorza Gdańskiego i ziemi chełmińskiej. Polska ujęła się również za kupcami, którym zakon utrudniał kontakty handlowe *via* Bałtyk. Spór rozsądzić miał Zygmunt Luksemburski. Rozsądził w ten sposób, że podtrzymał postanowienia pokoju toruńskiego, zapowiedział zbadanie zastrzeżeń obu stron co do przebiegu granicy ze Żmudzią, zasądził wolność dróg dla poddanych obu

stron, a dobra biskupstwa włocławskiego na Pomorzu nakazał zwrócić. Jakim zaskoczeniem i jak nie w smak zakonowi była decyzja niedawnego sprzymierzeńca, świadczy to, że Krzyżacy usilnie sabotowali działania komisarza przysłanego przez Zygmunta. Polacy postawili więc żądania maksymalne: zwrot Polsce Pomorza Gdańskiego, ziemi chełmińskiej i michałowskiej, zakonnych posiadłości na Kujawach oraz Drezdenka i Santoka, a Litwie – Żmudzi i Sudowii. Nowy wielki mistrz, znany skądinąd Michał Küchmeister (von Plauen tak dał się poddanym we znaki, że został zmuszony do rezygnacji), ani myślał się tym żądaniom podporządkować. Odrzucenie przez niego polsko-litewskich żądań było pretekstem do wkroczenia wojska do państwa zakonnego w lipcu 1414 roku.

Podobnie jak cztery lata wcześniej, polsko-litewskie wojska powędrowały w stronę Grunwaldu i ostatecznie dotarły do Elbląga. W tej sytuacji Küchmeister zmiękł i zaproponował oddanie Polsce południowej części Pomorza Gdańskiego i ziemi chełmińskiej, a Litwie – spornej Żmudzi. Jednocześnie unikał walki w polu (jak widać, lekcja Grunwaldu nie poszła na marne), przetrzymując w zamkach przemarsze Polaków. I tutaj Polacy sami sobie strzelili gola, bo maszerując w tę i z powrotem, a przy okazji pustosząc kraj, tak skutecznie zniechęcili do siebie mieszkańców Prus, że ci opowiadali się po stronie jakże do niedawna niepopularnych Krzyżaków. W tej sytuacji konieczny był rozejm. 8 października 1414 roku pod Brodnicą strony dogadały się, że spór rozstrzygnie Zygmunt Luksemburski bądź właśnie zwołany w Konstancji sobór. Oj, nie spodziewali się Krzyżacy, jaki numer im strona polska wywinie…

Sobór w Konstancji, który rozpoczął obrady 16 listopada 1414 roku, miał za zadanie zakończyć wielką schizmę w Kościele zachodnim, wybrać jednego papieża i przyjąć zasady walki z szerzącą się herezją, czyli naukami Johna Wycliffe’a i Jana Husa. Delegacji polskiej przewodniczył Paweł Włodkowic, rektor Akademii Krakowskiej. Grunt pod swoje wystąpienia przygotował, pisząc traktat *O władzy cesarza i papieża nad niewiernymi*. Kwestionował w nim zasadność prawa tych władców do dysponowania ziemiami pogan, a co za tym idzie – ważność nadań, które ustanowili na rzecz Krzyżaków. Tym samym podważał prawo istnienia państwa zakonnego. Na Krzyżaków podziałało to jak święcona woda na

diabła: oficjalnie przygotowali polemiki z tezami Włodkowica, a mniej oficjalnie rozpowszechniali przygotowany już dwa lata wcześniej paszkwil na Polskę i Jagiełłę autorstwa dominikanina Jana Falkenberga. W Konstancji Krzyżacy zlecili mu napisanie kolejnego paszkwilu – nazywał w nim Jagiełłę „fałszywym chrześcijaninem" i żądał dla niego ni mniej, ni więcej, tylko kary śmierci. Sroga kara powinna spotkać również, zdaniem Falkenberga, cały naród polski za posługiwanie się poganami, czyli Litwinami, w walce z obrońcami wiary. Zdaniem Krzyżaków powinnością chrześcijan jest nawracanie pogan, na polecenie papieża i cesarza. Skoro zaś poganie są pozbawieni praw, a ich postępowanie trudno nazwać „pokojowym", toteż nawracać ich powinno się raczej ogniem i mieczem niż słowem bożym. Dlatego chrześcijanom – wedle teorii Krzyżaków – nie wolno posługiwać się poganami w walce, *ergo* Polacy zasłużyli na srogą karę. Na takie słowa Włodkowic zareagował ostro: nazwał zakon „sektą heretycką", którą należy zniszczyć, a jeszcze lepiej przenieść tam, gdzie są prawdziwi poganie – czyli na granicę turecko-tatarską. Na tak dalece idące zmiany *status quo* sobór się nie zgodził, ale przyznał polskiej stronie rację co do postępowania Jagiełły i Witolda na Litwie. Uznanie przez sobór tego, że Litwa i Polska są państwami chrześcijańskimi, było dla zakonu ogromnym ciosem.

Przy takim poparciu ideowym Polska i Litwa dążyły do kolejnej – tym razem już, jak liczyły, ostatecznej – konfrontacji z zakonem. W drugiej połowie lipca 1419 roku armia znowu ruszyła sprawdzonym szlakiem – z Czerwińska. Ale w Europie Środkowej wrzało – w Czechach bardzo silny był ruch husycki, a Husyci nawet proponowali Jagielle, aby objął tron czeski. Zarówno kuria rzymska, jak i Zygmunt Luksemburski, który sam miał chrapkę na rządzenie z praskiego hradu, nie chcieli dopuścić do takiego wzmocnienia husytów. Dlatego Luksemburczyk, jako rozjemca, potwierdził w styczniu 1420 roku we Wrocławiu postanowienia pokoju toruńskiego. Polacy i Litwini jego wyrok odrzucili i złożyli apelację do papieża, przypominając na postanowienia procesu warszawskiego. Papież Marcin V powołał więc ponownie sąd, tym razem w Rzymie. Ze strony polskiej czuwał nad nim Włodkowic. Kolejny proces był Krzyżakom bardzo nie w smak, zwłaszcza że zeznania świadków składane przed papieskim legatem wypadały jednoznacznie na niekorzyść zakonu, a sami Krzyżacy nie ułatwiali legatowi działania. W dodatku sprawa wplątała się

w wielką politykę europejską, ponieważ Witold mocno wkurzył Zygmunta Luksemburczyka, ingerując w sprawy czeskie. Luksemburczyk doprowadził więc do zawieszenia procesu, a po cichu sugerował Krzyżakom, aby zaatakowali Polskę. Polacy i Litwini w tej rozgrywce nie byli osamotnieni – Jagiełło zawarł w 1421 roku przymierze z elektorem brandenburskim Fryderykiem I Hohenzollernem, skierowane przeciw zakonowi. Elektor miał chrapkę na Nową Marchię. Cena, którą zapłacił Jagiełło za sojusz, to ręka Jadwigi, jego jedynej córki i dziedziczki tronu, dla elektorskiego syna. Zabezpieczywszy w ten sposób tyły, Jagiełło ruszył kolejny raz na Krzyżaków. Wkroczył na ziemię chełmińską i tradycyjnie już zastał Krzyżaków pozamykanych w zamkach. Udało mu się zdobyć jedynie nadgraniczny Golub. Na całej linii nawalił brandenburski sojusznik, który nie ruszył się ze swojego kraju. Mimo to Krzyżacy poczuli się na tyle zagrożeni niebezpieczeństwem ataku z dwóch stron, że przystąpili do rokowań. Pokój zawarto 27 września 1422 roku nad jeziorem Mełno. Zdecydowanie zwycięsko wyszła tutaj Litwa. Odzyskała wreszcie Żmudź bez ograniczeń czasowych i ziemie pojaćwieskie, a także dostęp do Bałtyku w okolicy Połągi. Dla Krzyżaków oznaczało to ostateczne rozbicie ich państwa i odcięcie części inflanckiej od Prus. Litwa miała teraz zapewniony spokój na zachodnich granicach i mogła zwiększyć aktywność na wschodzie. Natomiast Polska zadowoliła się niewielkimi nabytkami terytorialnymi: dostała kujawskie posiadłości zakonu (z kontrolującą Toruń Nieszawą na przeciwległym brzegu Wisły), potwierdziła jednak rezygnację z ziemi chełmińskiej i Pomorza Gdańskiego. Na ostateczną rozprawę z zakonem Polska musiała poczekać jeszcze kilka dekad.

Krzyżacy respektowali zapisy pokoju tylko przez dziewięć lat. Wykorzystując zaabsorbowanie Jagiełły w walce z bratankiem Świdrygiełłą, który jako następca zmarłego Witolda chciał osiągnąć większą niezależność Litwy, najpierw zawarli sojusz z niesfornym bratankiem polskiego króla, a następnie tradycyjnie najechali ziemię dobrzyńską, Kujawy, Krajnę i zniszczyli Nieszawę. Łupnia dostali od chłopów i rycerstwa wielkopolskiego pod Dąbkami – kilkunastu krzyżackich dostojników zostało skutecznie wysłanych w zaświaty bądź trafiło do niewoli. Polacy, czyli Litwin Jagiełło na polskim tronie, postanowili po takim pogwałceniu postanowień pokoju dać zakonowi nauczkę. Idealnymi wykonawcami byli czescy husyci, z którymi w 1432

roku w Pabianicach Polska zawarła przymierze. Co ciekawe, zawarte zostało przeciw „narodowi niemieckiemu”, a nie konkretnemu władcy czy państwu. W 1433 roku wojska husyckie zajęły Nową Marchię i pod Gorzowem połączyły się z oddziałami rycerstwa wielkopolskiego oraz księcia słupskiego Bogusława IX. Pod Chojnicami, już na terenie Pomorza Gdańskiego, dotarły do nich pozostałe wojska polskie. Oblężenie Chojnic skończyło się niczym, bo Polacy przez prawie trzydzieści lat nie potrafili wyciągnąć wniosków z niepowodzenia pod Malborkiem w roku 1410 i znowu nie zadbali o artylerię. Pomaszerowali więc w dół Wisły, po drodze paląc klasztor cysterski w Pelplinie i zajmując Tczew.

Czesi przy okazji zrobili to, o czym od zawsze marzyli: wybrali się nad morze. Bałtyk zobaczyli w okolicach Oliwy, przezornie rezygnując z próby zdobycia doskonale ufortyfikowanego Gdańska. Awantura wojenna zakończyła się 15 grudnia 1433 roku rozejmem w Łęczycy zawartym na dwanaście lat. Ostatecznie wojnę miał zakończyć pokój, ale jeszcze zanim doszło do jego zawarcia, Polacy zrobili wreszcie porządek z niesfornym Świdrygiełłą pod Wiłkomierzem nad rzeką Świętą. A ponieważ litewskiego księcia wspomagały oddziały z Inflant, to i Krzyżacy dostali mocno po głowie – na polu bitwy pozostał między innymi mistrz krajowy Kerskorf. Po takiej lekcji pokory zakonowi nie pozostawało nic innego, jak zgodzić się na twarde warunki pokoju zawartego w Brześciu Kujawskim 31 grudnia 1435 roku. Polska strona zmusiła Krzyżaków do zaprzestania popierania Świdrygiełły, a tym samym do wycofania się z planów rozbicia polsko-litewskiego związku. Co ważne, traktat stanowił, że nie ma możliwości, aby w sprawę tę ingerował papież lub cesarz. Jeśli chodzi o terytorium, Polska odzyskała Nieszawę, ale kolejny raz rezygnowała z Pomorza Gdańskiego i ziemi chełmińskiej. Pokój regulował ponadto kwestie handlu i przesiedlania się ludności między państwem zakonnym a Polską.

W polsko-niemieckich kontaktach politycznych Jagiełło szczególną rolę przeznaczył dwóm dziewczętom – siostrzenicy i córce. Pierwsza z nich to Cymbarka, druga – Jadwiga. Cymbarka (zwana jednak przez bliskich Cecylią, bo widać trudno im przez gardło przechodziło nazywanie dziewczynki „Cynowym Zamkiem”, a tak można przetłumaczyć to staroangielskie słowo) była córką Siemowita IV, księcia mazowieckiego, i mało brakowało, a urodziłaby się w rodzinie nie książęcej, lecz królewskiej. Jej ojciec był bowiem kandydatem na króla polskiego

popieranym przez szlachtę wielkopolską, która po śmierci regentki Elżbiety Łokietkówny w roku 1375 zbuntowała się przeciw rządom syna Elżbiety – Ludwika Andegaweńskiego. Później był też kandydatem do ręki młodej królowej – Jadwigi. Zamiast mężem został jednak wiernym stronnikiem królowej. Złożył nawet hołd Jagielle, od 1385 roku mężowi Jadwigi i królowi Polski, a ten umocnił jeszcze związek Mazowsza z Polską, wydając za lennika siostrę – Aleksandrę. Cymbarka, jedno z trzynaściorga dzieci książęcej pary, urodziła się między 1393 a 1395 rokiem. Jak już była mowa, to Jagiełło wydał ze względów politycznych swoją siostrę za Siemowita, w roku 1412 wydał też (z tych samych powodów) swoją siostrzenicę za Ernesta Habsburga. Jagiełło szukał bowiem sojusznika w walce przeciwko Krzyżakom i sprzyjającemu im Zygmuntowi Luksemburskiemu, wtedy już margrabiemu brandenburskiemu, królowi Czech, Węgier i Niemiec, a za czas jakiś – cesarzowi rzymskiemu. Luksemburczyk był po matce prawnukiem Kazimierza Wielkiego, więc akcentował prawo do polskiego tronu, a Jagiełło zaledwie „wżenił się" w ten tron. W roku małżeństwa Cymbarki upływało już trzynaście lat od śmierci Andegawenki, a Jagiełło nadal nie miał syna, mimo poślubienia po śmierci Jadwigi Anny Cylejskiej, zresztą również wnuczki Kazimierza Wielkiego. Anna urodziła mu tylko w roku 1408 córkę – Jadwigę.

Cymbarka, hoże dziewczę, potrafiła zgniatać orzechy palcami, a i łamanie podków było dla niej podobno drobnostką. Wróżyło to dobrze jej zdrowiu i przedłużeniu dynastii. I budziło niepokój nieprzyjaciół Jagiełły, przede wszystkim Luksemburczyka i Krzyżaków. Toruński komtur szybko poinformował więc swojego zwierzchnika, wielkiego mistrza, o ślubie Ernesta i Cymbarki oraz o tym, że polski król miał obiecać panu młodemu następstwo w Krakowie, gdyby nie doczekał się dziedzica. Ale rok później nie tylko Krzyżakom i Zygmuntowi Luksemburskiemu nie było już do śmiechu. W 1413 roku pięcioletnia Jadwiga została oficjalnie ogłoszona dziedziczką tronu w Polsce. Sześć lat później dziewczynka osiągnęła wiek, w którym należało myśleć już o zamążpójściu. I rozpoczęły się negocjacje co do potencjalnych małżonków, czyli perspektywicznie rzecz ujmując – przyszłych władców Polski. W starciu Gryfici (czyli Bogusław, syn księcia stargardzkiego Bogusława VIII) kontra Hohenzollernowie (Fryderyk, syn elektora Brandenburgii Fryderyka I) zwyciężyli ci ostatni. Głównie dlatego, że książę stargardzki sprzyjał

Luksemburgowi. Wydawało się, że Hohenzollernowie zdobędą tą drogą polską koronę. W roku 1421 zawarto stosowne układy. Ponieważ potencjalny oblubieniec był o pięć lat młodszy od przyszłej małżonki, postanowiono, że ze ślubem odczeka się do odpowiedniego wieku, ale młody Fryderyk przybędzie do Krakowa i zamieszka na Wawelu, aby posiąść znajomość języka, obyczajów i innych rzeczy niezbędnych do rządzenia w Polsce.

Nie dane jednak było Hohenzollernom zasiąść na krakowskim tronie. Jagiełło bowiem w roku 1422 ożenił się po raz czwarty. Wybranką została siedemnastoletnia Zofia Holszańska. Dwa lata po ślubie na świat przyszedł tak oczekiwany syn Władysław – następca tronu. Perspektywa panowania w Polsce zaczęła więc niknąć we mgle. Ostatecznie kres tym planom położyła w roku 1431 śmierć Jadwigi, młodszej od macochy zaledwie o trzy lata. Plotkowano, że to królowa Sonka użyła trucizny, aby pozbyć się rywalki jej syna do tronu, ale czego to „życzliwi" nie wymyślą. Fryderyk popadł w depresję – nie tylko z powodu tego, że panowanie nad Polską przeszło mu koło nosa. Wydaje się, że był szczerze przywiązany do swojej niedoszłej małżonki, a nawet, wychowywany wspólnie z nią przez lata, może darzył ją uczuciem?

Wróćmy do Cymbarki. Ona i jej mąż fiasko marzeń o przejęciu tronu po Jagielle rekompensowali sobie szczęśliwym pożyciem małżeńskim i powiększaniem rodziny. Dziewięcioro dzieci, w tym pierworodny – Fryderyk, który zostanie w przyszłości cesarzem, radowało Ernesta i Cymbarkę. Mniej radował ich pewien defekt urody, który ujawnił się u potomstwa, a u kolejnych pokoleń Habsburgów doszedł do niemal monstrualnych rozmiarów. Chodzi o słynną „habsburską wargę", której rozpowszechnienie w rodzinie przypisywane jest właśnie Cymbarce. Dzięki tej anomalii genetycznej pamięć o mazowieckiej przodkini mogli pielęgnować, codziennie patrząc w lustro. Cymbarka zmarła w roku 1429, przeżywszy męża o lat pięć.

Nawiązując do Szekspira, można stwierdzić, że źle się działo w państwie zakonnym. Trzydzieści lat prawie nieustających wojen, przemarsze wojsk polskich, ucieczka ludności do bezpieczniejszych miast i zamków doprowadziły do tego, że nie miał kto uprawiać ziemi w krzyżackich wsiach. Spadła wartość krzyżackich monet, rosły opłaty: podatki i cła,

zakon narzucał liczne monopole. Miejscowe rycerstwo i mieszczaństwo popadało w coraz większe konflikty z Krzyżakami właśnie na tle ekonomicznym (w myśl zasady jeszcze niesformułowanej tymi słowami, ale funkcjonującej w praktyce: „Gospodarka, głupcze!”), choć spory wynikały także z przyczyn polityczno-prestiżowych. Lokalni rycerze byli odsunięci od wszelkich funkcji, nie mieli prawa wstępowania do zakonu, podczas gdy rycerze-zakonnicy, wywodzący się coraz częściej z poślednich rodów z Rzeszy, patrzyli z wyższością na miejscowy stan rycerski. Rycerstwo i miasta traktowane w taki sposób przez Krzyżaków uznały, że w jedności siła, i na zjeździe w Kwidzynie 14 marca 1440 roku założyły Związek Pruski – coś pomiędzy samoobroną i zjednoczoną opozycją. Początkowo, o dziwo, najwyższe władze zakonu znalazły w Związku nawet wsparcie, ale, oczywiście, jak to z kupcami bywa, nie za darmo. Wielki mistrz Paul Bellitzer von Russdorff zrezygnował z poboru cła funtowego w zamian za poparcie go w konflikcie z krajowym mistrzem niemieckim. Później jednak drogi Krzyżaków i Związku rozeszły się tak daleko, że wielki mistrz Ludwig von Erlichshausen zagroził rozwiązaniem pruskiej konfederacji. Przedstawiciele Związku złożyli na Krzyżaków skargę do cesarza Fryderyka III, a ten wyznaczył termin rozprawy na 24 czerwca 1453 roku. Do tego czasu Tajna Rada związku kierowana przez Jana Bażyńskiego miała zebrać materiał dowodowy. Jednak sytuacja była już tak napięta, że w miastach dochodziło do antykrzyżackich rozruchów, a Krzyżacy szykowali się do ostatecznego rozwiązania kwestii Związku Pruskiego i myśleli nawet o konfiskacie majątków i wypędzeniu przywódców konfederacji oraz o likwidacji wszelkich przywilejów, z prawem chełmińskim na czele. Tuż przed wyznaczonym terminem rozprawy, która miała odbyć się przed cesarskim obliczem, na Morawach napadnięto przedstawicieli Związku podróżujących do Wiednia. Oczywiście Krzyżacy nie mieli absolutnie nic wspólnego z tym napadem. Rozpatrzenie sprawy odroczono, a kiedy cesarz znalazł czas, to nie uznał za potrzebne wysłuchania nawet delegacji Związku i pod wpływem odpowiednio przez Krzyżaków poinstruowanych doradców wydał 5 grudnia 1453 roku wyrok nakazujący rozwiązanie stowarzyszenia. Oporni mieli zaś zostać ukarani. Związek Pruski oczywiście odmówił uznania takiego wyroku i bez rozgłosu zaczął się szykować do militarnego rozstrzygnięcia sporu. Tak samo zresztą zakon. Zwycięstwo mogło więc

przypaść temu, kto zaskoczy przeciwnika i kto zapewni sobie lepszych sojuszników.

Polska, stale żywo zainteresowana odzyskaniem Pomorza Gdańskiego i ziemi chełmińskiej, miała w tym czasie nowego władcę. Od sześciu lat na królewskim tronie w Krakowie (a od trzynastu lat na tronie wielkoksiążęcym w Wilnie) zasiadał młodszy syn Władysława Jagiełły – Kazimierz. Gdy wybuchł spór zakonu z poddanymi zrzeszonymi w Związku Pruskim, jego przedstawiciele zaproponowali, by zgodnie z ustaleniami pokoju z Brześcia właśnie król Polski był mediatorem. Wielki mistrz propozycję odrzucił (oficjalnie ze względu rozstrzygnięcie cesarza, na które czekano, powód prawdziwy był oczywisty), ale ferment w kraju dostał nowy impuls. Kiedy cesarz wydał wyrok, przedstawiciele mieszkańców Prus z początkiem 1454 roku wysłali delegację do Kazimierza Jagiellończyka z propozycją poddania mu Prus. Król – doskonale wiedząc, jakie znaczenie propagandowe w osiągnięciu celu ma odpowiednia oprawa – oświadczył, że oczekuje, iż z tą propozycją pojawi się w Krakowie poselstwo odpowiednie rangą i wielkością do sprawy, którą chce przedstawić. Warunek został spełniony, a 4 lutego konfederaci wysłali do wielkiego mistrza formalne wypowiedzenie posłuszeństwa.

Dwa dni później nastąpiły skoordynowane ataki na zamki na terenie państwa zakonnego. Mimo wiszącego w powietrzu konfliktu Krzyżacy nie przygotowali warowni do obrony, więc konfederaci zajęli prawie wszystkie w ciągu miesiąca. W krzyżackich rękach pozostał stołeczny Malbork. Choć wielki mistrz zapraszał do negocjacji, przedstawiciele Związku Pruskiego ruszyli do Krakowa. Sprawa przejęcia państwa zakonnego przez państwo polsko-litewskie wydawała się przesądzona, ale w Krakowie okazało się, że różne frakcje wokół króla mają własne interesy polityczne, niekoniecznie zgodne z interesem całego królestwa. Podobnie konfederaci – przy okazji zmiany zwierzchnictwa chcieli uzyskać kolejne przywileje od nowej władzy, której przynosili praktycznie na tacy najbogatszy region kraju.

Po kolei partykularne interesy wyglądały tak: kardynał Zbigniew Oleśnicki związany z opcją małopolską obawiał się, że zaangażowanie kraju na północy wstrzyma ekspansję polską w kierunku południowo-wschodnim. Poza tym kalkulował, że przyłączenie tych ziem wzmocni pozycję króla i dynastii, a ksiądz kardynał za Jagiellonami nie przepadał. Wtórował mu, o dziwo, biskup włocławski Jan Gruszczyński. O dziwo,

ponieważ można by się spodziewać, że biskup powinien popierać przyłączenie ziem, które administracyjnie należały do jego diecezji. Sprawa stanie się jednak jasna, gdy weźmiemy pod uwagę ustępstwa poczynione wcześniej na rzecz biskupa na Pomorzu Gdańskim przez wielkiego mistrza. Krzyżacy nie wahali się nawet przed podejmowaniem próby przekupstwa na miejscu w Krakowie wśród członków rady królewskiej. Skuteczny odpór próbom odrzucenia oferty Związku Pruskiego dali Wielkopolanie – ci doskonale wiedzieli, co to znaczy mieć za bezpośrednich sąsiadów Krzyżaków. Co do poselstwa Związku Pruskiego, to jego reprezentanci chcieli uzyskać dla stanów pruskich szereg przywilejów, których odmawiali im Krzyżacy, a miasta, silniejsze w Prusach niż w innych regionach Polski i Litwy, chciały mieć pozycję jeszcze silniejszą, dzięki zgodzie na kupno posiadłości ziemskich i większe swobody w wewnętrznej organizacji życia w nich. Królowi takie wymagania były nie w smak. Nie po to zaangażuje się w konflikt z ciągle potężnym zakonem, żeby na nowo pozyskanych ziemiach ograniczać swoją władzę. 6 marca 1454 roku w akcie inkorporacyjnym znalazły się więc zapisy kompromisowe. Przede wszystkim Związek Pruski stwierdził, że całe Prusy poddają się polskiemu królowi, jako dziedzicowi ziem niegdyś od korony polskiej oderwanych. Jednocześnie król wystawił akt potwierdzający przejęcie pod swoją władzę Prus na prośbę ich mieszkańców, czyli likwidację państwa zakonnego. Prusy zostały zrównane z uprawnieniami z innymi ziemiami Korony, przywileje potwierdzone, a obciążenia takie jak znienawidzone cło funtowe i prawo do zabierania towarów z rozbitych statków – zniesione. Te i inne uprawnienia (na przykład bicie odrębnej monety przez Gdańsk i Toruń) dawały stanom pruskim współudział w rządzeniu kraju, czyli to, czego odmawiali im Krzyżacy. Król nie zgodził się za to na żądania poszczególnych miast (wyjątkiem był Toruń, któremu obiecał zburzenie w ciągu trzech lat konkurencyjnej Nieszawy położonej na „polskim” brzegu Wisły), przestrzegając sprawdzonej zasady, że aby otrzymać jakiś przywilej, miasto musi się o to postarać indywidualnie.

15 kwietnia w Toruniu przedstawiciele stanów złożyli stosowną przysięgę wobec przedstawicieli króla, a do Malborka posłano akt wypowiedzenia wojny z powodu łamania postanowień traktatu brzeskiego, ograniczania swobód polskich kupców w Prusach oraz pobierania przez Krzyżaków cła funtowego. W maju król Kazimierz Jagiellończyk osobiście

przybył do Prus, aby przyjąć w Toruniu i Elblągu przysięgę wierności. W Królewcu taką przysięgę w imieniu królewskiego majestatu odbierał kanclerz Jan Koniecpolski.

Kazimierz Jagiellończyk nie zapomniał także o innej części państwa zakonnego – Nowej Marchii, na którą zakusy mieli Brandenburczycy. Zakon zresztą w lutym zastawił im te ziemie, gdyż w obliczu zbliżającego się konfliktu w Polską liczył się każdy fenig w krzyżackiej kasie. Król wysłał tam swoich przedstawicieli, którzy zapewnili poszanowanie przywilejów w przypadku poddania się Marchii Polsce. Hohenzollernowie, kiedy się już zagnieździli w Marchii, nie zamierzali z niej rezygnować, a i Krzyżacy woleli tam widzieć elektora niż króla. 19 września 1455 roku, kiedy już trwały działania wojenne między Polską a państwem zakonnym, Hohenzollernowie zawarli układ z Krzyżakami. Nowa Marchia przechodziła w dziedziczne władanie Hohenzollernów w zamian za „życzliwą neutralność" Brandenburgii podczas konfliktu polsko-krzyżackiego i zgodę na przemarsz do Prus posiłków z Rzeszy. To właśnie tam (i w Inflantach) pomocy szukał wielki mistrz. Rozpoczął się więc okres w dziejach krzyżacko-polskich, który do historii przeszedł pod nazwą wojny trzynastoletniej. Ciągnęła się latami, ponieważ obu stronom brakowało funduszy na jej zakończenie. Krzyżacy podnieśli też krzyk na dworze cesarskim i w kurii rzymskiej. Wskutek ich zabiegów cesarz obłożył Związek Pruski banicją, a papież rzucił klątwę nie tylko na Związek, ale i na tych, którzy z nim współpracowali, czyli również na Polskę.

Tymczasem walka trwała na lądzie i morzu. Z początku Kazimierz Jagiellończyk stawiał na pospolite ruszenie, ale zmienił taktykę, gdy kolejny raz okazało się ono nieprzydatne zwłaszcza przy zdobywaniu zamków. Zwiększał więc znaczenie wojsk zaciężnych, podobnie jak Krzyżacy, którzy również oddziałami zaciężnymi łatali swoje braki militarne. Zamki przechodziły z rąk do rąk, szala zwycięstwa w bitwach przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. Na morzu zaś gdańska flotylla walczyła z płynącymi do Królewca posiłkami. Oblężenie Malborka na początku wojny okazało się niewypałem. Nie został zdobyty. Dopiero po dwóch latach negocjacji z czeskimi i (tak, tak!) niemieckimi zaciężnymi za 190 tysięcy florenów (większość Jagiellończykowi pożyczył Gdańsk) Polacy bezkrwawo przejęli Malbork, Tczew i Iławę. Punktem zwrotnym

była jednak wielka bitwa morska na Zalewie Wiślanym 25 września 1463 roku. Dwadzieścia pięć statków gdańskich i elbląskich pokonało flotyllę czterdziestu czterech statków krzyżackich płynących w stronę Żuław, aby się tam spotkać z armią krzyżacką. Ta bitwa zaważyła na losach całej wojny. Po niej pierwszy położył uszy po sobie Bernard Szumborski, postrach Pomorza. To ten sam krzyżacki najemca z Moraw, który dowodził krzyżackimi oddziałami i pobił polskie liczniejsze siły w bitwie pod Chojnicami, zajął Chełmno i zaprowadził w nim drakońskie rządy. Teraz, kiedy górą byli Polacy, szybko przystał na polskie propozycje. Podobnie biskup warmiński Paweł Legendorf zerwał przymierze z Krzyżakami zawarte zaledwie rok wcześniej.

Następne lata przyniosły Polsce dalsze sukcesy: zajęcie Gniewu, Pucka oraz Nowego, co gwarantowało nie tylko przerwanie ciągu komunikacyjnego, którym ściągano posiłki z Rzeszy do państwa zakonnego, lecz także możliwość spokojnej żeglugi wiślanej. Przyszłość państwa zakonnego rysowała się w ciemnych barwach. Wzbudziło to niepokój Rzymu, sprzyjającego Krzyżakom. Papież wysłał w celu mediacji legata, ale był on tak stronniczy, że Polsce nie pozostawało nic innego, jak odmówić rozmów pokojowych. Potem do negocjacji wzięli się mieszczanie z Lubeki oraz przedstawiciele innych miast Hanzy. Krzyżacy dali tu popis buty: domagali się bowiem zwrotu Malborka oraz korytarza przez Pomorze łączącego Prusy z Rzeszą. Jak widać, zamiłowanie Niemców do wytyczania korytarzy w terenie, a zwłaszcza w tym, który do nich nie należy, to nie wymysł dwudziestowieczny. Polacy w tym czasie szli za ciosem – obsadzili miasta Warmii oraz Chojnice, Lębork i Bytów na zachodzie. Praktycznie całe Pomorze Gdańskie było już polskie.

Wydawało się, że dni państwa zakonnego są ostatecznie policzone, ale znowu Krzyżaków uratowało to, że upomniała się o nich wielka polityka tudzież brak środków Polski i miast pruskich na dalsze prowadzenie wojny. Papież Paweł II uważał, że państwo zakonne powinno istnieć i należy je ratować, a ponadto Kazimierza Jagiellończyka widziałby raczej zaangażowanego w rozprawę z husyckim królem Czech Jerzym z Podiebradów. Jagiellończyk był żywo zainteresowany Czechami, wszak miał gromadkę dzieci, którym powinien zapewnić odpowiednie trony do obsadzenia. Ale wolał pozyskać Jerzego z Podiebradów i dopiero po jego śmierci obsadzić czeski tron, niż sięgać po władzę w Czechach drogą

militarną. Krzyżackie sprawy wziął w swoje ręce kolejny wysłannik papieski, a był nim zręczny dyplomata Rudolf von Rüdesheim. To on pośredniczył między stronami w rozmowach w Toruniu, których efektem było zawarcie pokoju ogłoszonego 19 października 1466 roku.

Traktat pokojowy powtarzał postanowienia aktu inkorporacyjnego z 1454 roku, ale, właśnie dzięki zabiegom legata, jednocześnie zatwierdzał terytorialny *status quo* stron. Pomorze Gdańskie, ujście Wisły, Powiśle, Żuławy, Malbork i Elbląg oraz ziemia chełmińska przypadły Polsce. Lębork i Bytów też, ale władał nimi książę pomorski Eryk II. Warmia pozostała dominium biskupim, ale opiekę nad nim sprawowała Polska. Natomiast wschodnie ziemie państwa zakonnego pozostały w rękach Krzyżaków, aczkolwiek na zasadzie lenna – każdy kolejny wielki mistrz był zobowiązany do składania królowi polskiemu hołdu i w razie potrzeby dostarczania posiłków wojskowych (punkt odroczony na dwadzieścia lat), zasiadał za to jako senator w radzie królewskiej. Zakon, mimo zachowania w nazwie słowa „niemiecki", musiał zmienić skład narodowościowy: połowa rycerzy miała pochodzić z Polski. Krzyżacy zdawali sobie sprawę, że z czasem zacznie to oznaczać całkowite spolonizowanie zakonu do ostatecznego przejęcia go przez Polaków, zwłaszcza że atrakcyjność Krzyżaków mocno spadła, więc z Rzeszy napływało niewielu kandydatów i w dodatku pochodzących z mniej znacznych rodów. Traktat na ponad trzysta lat regulował przynależność terytorialną terenów zajmowanych przez państwo zakonne, które w niespełna sto lat po podpisaniu pokoju zniknie.

Zawarty w Toruniu układ pokojowy wywołał szok, wkurzenie i zgrzytanie zębami nie tylko wśród Krzyżaków w Prusach (tracili połowę państwa, a wielki mistrz zostawał lennikiem Polski) – jego postanowień formalnie nie uznały ani inflancka, ani niemiecka gałąź zakonu, które drobnymi krokami zaczęły się uniezależniać od zwierzchnictwa wielkiego mistrza rezydującego już w Królewcu. Najbardziej urażał krzyżacką dumę ów obowiązek składania hołdu polskiemu królowi przez każdego wielkiego mistrza, i to nie później niż pół roku po jego wyborze. Co prawda oficjalnie wielki mistrz składał przysięgę wierności na ręce duchownego stojącego wysoko w hierarchii (wielki mistrz był przełożonym zgromadzenia o charakterze, bądź co bądź, duchownym), ale w obecności króla. Co ważne – wielki mistrz składał hołd w imieniu nie tylko własnym, lecz także

wszystkich urzędników krzyżackich i ziem pruskich. Wielcy mistrzowie wykręcali się od tych hołdów, jak mogli. W XV wieku odbyło się takich uroczystości pięć.

Jedno z postanowień traktatu dawało Krzyżakom sposobność do wykazania się w walce z niewiernymi: mieli obowiązek wystawić wojsko na żądanie strony polskiej. Taka okazja trafiła się w latach 1485 oraz 1497, kiedy to Polska zaangażowała się w sprawy tureckie. Krzyżacy szukali jednak jakiejkolwiek okazji, żeby zmienić na drodze militarnej ten stan prawny. Pretekstem była sprawa wyboru nowego biskupa warmińskiego. Krzyżacy poparli Mikołaja Tungena, kandydata papieskiego. Nie odpowiadał on Kazimierzowi Jagiellończykowi, który wolałby mieć na Warmii swojego człowieka, Wincentego Kiełbasę. Ale Jagiellończyk akurat był zaangażowany w sprawę osadzenia na czeskim tronie najstarszego syna – Władysława. Na tron na Hradczanach chrapkę miał też król Węgier Maciej Korwin. I to właśnie pod jego opiekę oddał się Tungen, a wielki mistrz Henryk von Richtenberg odmówił królowi Polski wsparcia militarnego w walce z Tungenem, mimo obowiązującego w traktacie zapisu na ten temat. Wreszcie, wykorzystując niepowodzenia Polski w walkach na Dolnym Śląsku, wielki mistrz zawarł w roku 1470 przymierze z Tungenem. A siedem lat później, za namową i przy współpracy papieskiego legata (kuria rzymska sprzyjała Węgrowi), zakon oddał się pod opiekę Korwinowi, który zawarł z nim oraz biskupem Tungenem sojusz. Wspólnie zaczęli prowadzić jawne przygotowania do wojny. Król Kazimierz nie mógł zrobić nic innego, jak tylko ściągnąć posiłki do Prus Królewskich. Pierwsi ruszyli Krzyżacy i zajęli Brodnicę, Starogród Chełmiński i Chełmno. Polskie kontruderzenie ominęło tereny państwa zakonnego, koncentrując się na ziemiach biskupstw warmińskiego i pomezańskiego. Wielki mistrz chciał ruszyć biskupowi Tungenowi z pomocą, ale napotkał silny opór ze strony miast, zwłaszcza Królewca, które były zainteresowane utrzymaniem *status quo* wyznaczonego przez pokój toruński. W tej sytuacji Krzyżacy nie ruszyli z pomocą biskupowi Tungenowi, a w dodatku zawiodły spodziewane posiłki z Rzeszy. Krzyżacy ponieśli klęskę na całej linii.

A był to dopiero początek upokorzeń. Samo zakończenie wojny odbyło się ponad głowami Krzyżaków. Polska nie podpisała bowiem rozejmu z rzeczywistą stroną konfliktu na Warmii, czyli z Krzyżakami, tylko z królem Węgier Maciejem Korwinem – wówczas sojusznikiem zakonu

i rozjemcą. I przez następne osiemnaście lat Krzyżacy siedzieli cicho, przykładnie wypełniając obowiązki, które nakładał na nich pokój toruński. Ale po cichu knuli dalej. Zyskali nieoficjalnego sojusznika w osobie Maksymiliana Habsburga, cesarza rzymskiego. Pomagając Krzyżakom, Maksymilian odciągał Jagiellonów od spraw czeskich i węgierskich, a przecież polscy władcy byli żywo zainteresowani tamtymi krajami. Król Jan Olbracht, syn Kazimierza Jagiellończyka, miał nawet plan, dla którego znalazł poplecznika w osobie właśnie Maksymiliana Habsburga. Otóż plan ów zakładał przeniesienie Krzyżaków na Podole, aby tam walczyli z niewiernymi, czyli Turkami. Opustoszałe w ten sposób państwo zakonne przejąłby, jako lenno, najmłodszy z synów Jagiellończyka, Zygmunt. Wielki mistrz Jan von Tieffen był wręcz przerażony – opuszczać spokojne Prusy i iść na poniewierkę. Nie po to jego poprzednicy budowali własne państwo na tych krańcach Europy, żeby je, ot tak, zostawić.

Von Tieffen wymyślił więc fortel: dyskretnie porozumiał się z księciem Fryderykiem Wettynem, którego starszego brata niedawno ożeniono z Barbarą, siostrą Jana Olbrachta. W zamian za pomoc w storpedowaniu pomysłu wyeksmitowania Krzyżaków na europejskie rubieże obiecywał księciu odstąpienie mu godności wielkiego mistrza. Zanim jednak te sprawy przyjęły jakikolwiek obrót, von Tieffen zmarł podczas przygotowań do wyprawy na Mołdawię (Polacy i wspomagający ich Krzyżacy ponieśli sromotną klęskę), więc działanie nowego wielkiego mistrza, którym w roku 1498 został książę Fryderyk, przebiegało w zupełnie innych okolicznościach. Fryderyk odmówił złożenia hołdu, powołując się na decyzję skonfliktowanego z Jagiellonami cesarza Maksymiliana. Otóż Maksymilian ogłosił ni mniej, ni więcej, tylko: traktat toruński jest nieważny i on, cesarz, zabrania wielkiemu mistrzowi złożenia hołdu polskiemu królowi. Bo Fryderyk, jako książę Rzeszy, podlega cesarzowi.

Jan Olbracht nie zamierzał tolerować takiej niesubordynacji – kazał szykować się pospolitemu ruszeniu z Polski i Prus Królewskich do wojny z państwem zakonnym. Fryderyk położył uszy po sobie i zaproponował negocjacje – chodziło mu o złagodzenie trzech postanowień traktatu: zwierzchnictwa Polski nad państwem zakonnym, udzielania pomocy militarnej na żądanie polskiego króla oraz przyjmowania Polaków do zakonu. Jan Olbracht powiedział twardo: nie! Do króla ruszyło więc poselstwo, na czele z bratem Fryderyka, księciem Jerzym. Niemcy

zaproponowali ustępstwo – Fryderyk, owszem, złoży hołd, ale nie jako wielki mistrz, lecz jako doradca króla. Jan Olbracht konsekwentnie stał na stanowisku, że zakon musi wypełniać postanowienia pokoju toruńskiego. Jednak los sprzyjał w tym momencie Krzyżakom – król, który przybył do Torunia, aby przygotować akcję zbrojną, niespodziewanie zmarł. Jego brat i następca – Aleksander – zajęty był przede wszystkim Litwą i Rosją. Nie było więc mowy o podjęciu interwencji militarnej przeciw zakonowi, ale z żądań brata nowy król się nie wycofał. Zaczął też szukać sojuszników w sporze na arenie międzynarodowej i udało się – Polacy odnieśli sukces dyplomatyczny. Papież Juliusz II wezwał bowiem wielkiego mistrza do złożenia hołdu polskiemu królowi i chociaż nie potwierdził postanowień pokoju toruńskiego i nie zgodził się na przeniesienie zakonu, to wielki mistrz dostał bolesnego prztyczka w nos. Książę Fryderyk natychmiast poprosił o interwencję cesarza Maksymiliana, a ten uderzył do kurii rzymskiej i posunął się do tego, że domagał się oddania województwa malborskiego, a także reszty Prus Królewskich – w charakterze lenna! I te rokowania przerwała królewska śmierć – tym razem Aleksandra, 19 sierpnia 1506 roku.

Tron objął Zygmunt, przedostatni z synów Kazimierza Jagiellończyka. Kontynuował on twardą politykę braci wobec Krzyżaków z takim skutkiem, że wielki mistrz Fryderyk nie widział innej możliwości działania niż osobiste kołatanie do rzymskiej kurii i cesarza. Miało to niekorzystne następstwa dla Polski – kuria wycofała się z poprzedniej decyzji i tym razem zabroniła wielkiemu mistrzowi składania hołdu i oddania sporu polsko-krzyżackiego pod sąd papieski. Fryderyk nie poprzestał na tym – uderzył po wsparcie do króla Czech i Węgier, Władysława Jagiellończyka, najstarszego brata Zygmunta. Władysław zaś zdecydował się wystąpić przeciw bratu i wsparcia udzielił – był bowiem wówczas sprzymierzeńcem cesarza Maksymiliana, a wielka polityka stała wyżej od zobowiązań wobec rodziny i ojczyzny. Swoje *tournée* Fryderyk zakończył w roku 1509 na sejmie Rzeszy w Wormacji, gdzie również prosił o pomoc. I pomoc w postaci poselstwa na polski dwór ruszyła. Niestety i król, i sejm wykazali się krótkowzrocznością, wyrażając zgodę na rozpatrzenie sporu podczas zjazdu w Poznaniu w czerwcu 1510 roku. W zjeździe uczestniczyli przedstawiciele stron, ale także posłowie papiescy, cesarscy, stanów Rzeszy

oraz króla Władysława Jagiellończyka. Jednym słowem – kto żyw, zjawił się w Poznaniu.

Przez cztery tygodnie obrad trwała polemika co do legalności warunków pokoju toruńskiego. Delegaci cesarscy wręcz ostentacyjnie trzymali stronę krzyżacką i robili wszystko, aby sprawa lennej zależności wielkiego mistrza od króla Polski została zniesiona. Zygmunt Stary mógł zareagować tylko w jeden sposób – rozkazał zerwać obrady. Warto dodać, że papieski legat jakimś trafem na zjazd nie dotarł na czas. I to nieprzypadkowo, jak szeptano w Poznaniu. Kolejny raz impas w rokowaniach przełamała śmierć, tym razem po stronie krzyżackiej – w grudniu 1510 roku zmarł wielki mistrz Fryderyk Wettyn. Jego następcą i, jak się później okaże, także ostatnim wielkim mistrzem zakonu krzyżackiego w pruskim państwie zakonnym został Albrecht Hohenzollern. Książę z bocznej (ansbachskiej) linii tego rodu był też, co jest nie bez znaczenia w tej historii, siostrzeńcem króla Zygmunta Starego. Już sam wybór Albrechta był nie po myśli Zygmunta – miał bowiem pomóc w kontynuacji akcji przeciwko ustaleniom pokoju toruńskiego w terenie Rzeszy, bo w samych Prusach, i Królewskich, i Zakonnych, stany (czyli przedstawiciele ludności) były jak najbardziej za jego ustaleniami. Polacy zaproponowali rozwiązanie na wzór hiszpański – na czele zakonu stanąłby król Polski, a ziemie zakonu zostałyby wcielone do Polski. Jednak następcy króla nie mogliby wstępować w związki małżeńskie. Albrechtowi zaś wypłacono by odszkodowanie. Ale ani Albrecht nie kwapił się do utraty stołka wielkiego mistrza, ani Zygmunt nie zamierzał doprowadzić do wymarcia własnej dynastii. W 1512 roku kolejne rokowania, tym razem z udziałem przedstawicieli pozostałych gałęzi zakonu (i inflanckiej, i niemieckiej), przyniosły już konkretne propozycje: Polacy rezygnowali z prawa wstępowania do zakonu (gasnąca gwiazda Krzyżaków i tak nie przyciągała kandydatów z Polski), a Krzyżacy mieliby udzielać pomocy zbrojnej jedynie w walce z Tatarami i Turkami. Zakon miałby też otrzymać na Rusi uposażenie w postaci miasta Sokal z okręgiem i tam pełnić straż. W ten sposób wypełniałby swoje statutowe obowiązki, czyli walkę z niewiernymi. Ale i to nie odpowiadało Albrechtowi – czuł się mocny, gdyż miał potężnego sprzymierzeńca – cesarza Maksymiliana, dla którego Jagiellonowie byli przede wszystkim rywalami do tronów Czech i Węgier. Albrecht trzymał więc wysoko głowę, licząc też na włączenie do habsbursko-moskiewsko-duńskiej koalicji.

Królowi Zygmuntowi nie pozostawało więc nic innego, jak podjąć działania w celu rozmontowania tej koalicji, jeszcze zanim powstanie. W roku 1515 podczas zjazdu w Wiedniu uznał habsburskie roszczenia do Czech i Węgier, a w zamian cesarz uznał formalnie traktat toruński z roku 1466 za obowiązujący (wymusił tylko rezygnację z punktu i tak martwego, czyli przyjmowania Polaków do zakonu). Ale Polska miała przez pięć kolejnych lat prowadzić rokowania z Albrechtem, przy udziale cesarza i Węgier. Wielki mistrz zaczął więc wysuwać żądania bez ograniczeń – w pewnym momencie domagał się nawet przyłączenia nie tylko Prus Królewskich, ale i Litwy ze Żmudzią, jeśliby jednak z Prus miał zrezygnować. A po cichu dogadywał się z Moskwą i szykował do wojny. Albrecht odrzucał najróżniejsze propozycje strony polskiej, dążąc do militarnej konfrontacji. Stosował przy tym różnego rodzaju szykany, na przykład zakazał jakichkolwiek kontaktów handlowych z Warmią. Polską retorsją był zakaz handlu Prus Królewskich z państwem zakonnym. Nad Gdańskiem zawisła groźba przerwania handlu wiślanego. Kiedy Albrecht zaczął prowadzić przygotowania wojenne także na terenie Rzeszy, Polska nie mogła dłużej czekać: Sejm koronny i zjazd stanów pruskich zwołanych do Torunia w grudniu 1519 roku zadecydował o wypowiedzeniu wojny.

Tylko że Polska do wojny gotowa nie była. Zaczęto pośpiesznie gromadzić fundusze niezbędne, by opłacić zaciężnych żołnierzy. Albrecht był w trudniejszej sytuacji finansowej, kazał więc obsadzić zamki i miasta, dobrze przygotowane do obrony, pospolitym ruszeniem. Początkowo inicjatywa wojenna leżała po polskiej stronie i Stany Prus Krzyżackich, czyli przedstawiciele mieszkańców tej dzielnicy, wywierały na Albrechcie wielką presję, aby ten wojnę zakończył. Albrecht udał się więc na rokowania z królem Zygmuntem do Torunia. Władca Polski stał na stanowisku respektowania postanowień pokoju toruńskiego z 1466 roku. Albrecht wił się i zwodził, aby zyskać na czasie, bo liczył na pomoc posiłków z Danii. Kiedy więc 29 czerwca 1520 roku dowiedział się o wylądowaniu wojsk zaciężnych przybyłych z tego kraju, złamał ustalenia i zwiał do Królewca. Wznowiono działania wojenne, które Albrecht skoncentrował na Warmii. Chciał dotrzeć do linii Wisły i tam połączyć się z oddziałami zaciężnymi zwerbowanymi w Rzeszy. Wobec braku środków na szybką profesjonalną reakcję, czyli skorzystanie z wojsk zaciężnych, król musiał powołać pospolite ruszenie.

Wielki mistrz tymczasem ruszył na Warmię – oblegał bezskutecznie Lidzbark, siedzibę biskupów (wcześniej tamtejszy biskup Fabian Luzjański po długich wahaniach zawarł sojusz z Polską), i Olsztyn (obroną tamtejszego zamku kapituły warmińskiej skutecznie kierował niejaki Mikołaj Kopernik). Albrecht liczył na posiłki przesłane przez współbraci z Rzeszy. A tutaj nic z tego – borykał się z chroniczną chorobą większości władców: brakiem gotówki na opłacenie wojsk zaciężnych, dzięki którym mógłby dojść do Wisły i połączyć się z posiłkami. Były one zresztą potężne: osiem tysięcy piechurów oraz tysiąc dziewięćset jezdnych. Zdobyły na Pomorzu Gdańskim Chojnice, Starogard i Tczew, ale nie zdołały przebić się na prawy brzeg Wisły i po tygodniowym, nieudanym oblężeniu Gdańska ruszyły w stronę Pucka. Tam duch bojowy opuścił armię krzyżacką całkowicie. Kto mógł, uciekał do Prus Krzyżackich. Nie mógł zaś ten, kto wpadł w ręce kaszubskich chłopów albo polskich oddziałów i raczej się z nich już nie wydostał żywy.

Jesienią 1520 roku szczęście sprzyjało więc Polsce, ale nie zostało to w pełni wykorzystane. Ponieważ gdzie dwóch Polaków, tam co najmniej trzy pomysły, nie opracowano jasnej strategii. Dało znać o sobie szlacheckie warcholstwo – ponieważ zgromadzonemu pod Bydgoszczą pospolitemu ruszeniu nie podobało się dowództwo, zbrojni po prostu rozeszli się do domów. Królowi udało się uzyskać tyle, że szlachta uchwaliła przeznaczenie środków na wyposażenie kilkutysięcznej jazdy, która odbiła zajęte wcześniej przez Albrechta Chojnice i – siłą rozpędu – Starogard i Tczew. To tyle, jeśli chodzi o inicjatywę Zygmunta. Przyszła sroga zima, pomysł przeniesienia działań wojennych na teren Prus Zakonnych nie wypalił i król rozpuścił wojsko. Miał bowiem nadzieję, że ciężko doświadczony Albrecht podejmie rokowania pokojowe. Zygmunt nie pamiętał widać o zasadzie, aby wyzyskać zwycięstwo maksymalnie. Nie wyciągnął lekcji z błędu swojego dziadka Władysława Jagiełły, który nie poszedł za ciosem po malborskim zwycięstwie i nie zdławił zakonu ostatecznie. Albrecht zaś skwapliwie wykorzystał ugodowość wuja i zamiast do rokowań zabrał się do wojowania. Jego wojska wkroczyły na ziemię chełmińską i zapuściły się aż w okolice Płocka.

Pospiesznie zebrane wojska polskie zmusiły wielkiego mistrza do odwrotu, ale nie do przyjęcia rozstrzygającej bitwy, do czego z kolei dążyli Polacy. Krzyżacy jeszcze bezskutecznie próbowali opanować Elbląg. Król

Zygmunt kolejny raz okazał się zwolennikiem układów i zgodził się, aby pośredniczyli w nich cesarz Karol V i król Węgier Ludwik. I tutaj Albrecht wykazał się lepszym zmysłem dyplomatycznym i lojalnymi doradcami. Nie chciał bowiem zgodzić się na inne warunki niż rozstrzygnięcie konfliktu przez sąd tych władców, licząc, nie bez podstaw, na ich życzliwość. Król Polski, pod wpływem doradców (co tu kryć, potajemnie, acz sowicie opłacanych przez cesarza), przystał na to rozwiązanie. 5 kwietnia 1521 roku zawarto w Toruniu czteroletnie zawieszenie broni, na zasadzie utrzymania terytorialnego *status quo*, ale do czasu ostatecznego zakończenia sporu. W ciągu tych czterech lat cesarz i król Węgier mieli znaleźć sposób zakończenia konfliktu.

Jednak tymczasem sytuacja wewnętrzna Państwa Krzyżackiego zmieniła się tak radykalnie, że sojusze uległy odwróceniu. Otóż w Europie od roku 1517 coraz większe postępy czyniła reformacja. Nauki Lutra zyskiwały sobie poklask w najbliższym otoczeniu wielkiego mistrza – na religijne nowinki chętnie nadstawiali ucha dwaj biskupi: sambijski Georg von Polentz oraz pomezański – Erhard von Queiss. Sam Albrecht zetknął się z reformacją podczas pobytu w Niemczech w roku 1522 i odniósł się do niej życzliwie. Marcin Luter opublikował na początku roku 1523 list otwarty do Krzyżaków, nakłaniając ich do porzucenia, wzorem zakonników, którzy przyjęli jego nauki, celibatu i odrzucenia reguł zakonnych. Praktycznie zatem nawoływał do likwidacji zakonu krzyżackiego. Albrecht zwrócił się zaś potajemnie do Lutra z prośbą o radę, w jaki sposób zreformować zakon, którego statuty i styl działania nie zmieniły się od czasu wypraw krzyżowych. To były takie wstępne podchody z obu stron. Konkrety pojawiły się podczas spotkania Albrechta Hohenzollerna z Lutrem. Były mnich udzielił księciu rad, które zadecydowały o dziejach tych rejonów Europy na kolejne setki lat – zakon sekularyzować, ożenić się, założyć dynastię i uczynić z Prus Krzyżackich państwo świeckie. Albrecht, wysyłając do Królewca umiarkowanych protestanckich kaznodziejów, „urabiał” poddanych do zaakceptowania nowej religii, a następnie dalszych jego planów. Część opozycji, przeciwnej przekształceniu państwa zakonnego w państwo świeckie, szukała poparcia w niemieckiej bądź w inflanckiej gałęzi zakonu. W rezultacie obaj mistrzowie krajowi się usamodzielnili.

Albrecht miał jednak twardszy orzech do zgryzienia. Jeśli zdecydowałby się na rozwiązania podsuwane przez Lutra, straciłby najpotężniejszych sojuszników – papieża i cesarza. Co więcej, Polska, zaniepokojona tymi wydarzeniami, zmieniła kierunki polityki zagranicznej: zaczęła szukać nowych sprzymierzeńców, ponieważ cesarz postawił na sojusz z Moskwą – odwiecznym wrogiem państwa polsko-litewskiego. Polacy szybko zawarli więc sojusz z Francją, tradycyjnym wrogiem Habsburgów, a faworyzowanie Hohenzollernów na Śląsku przez króla Ludwika skłoniło króla Zygmunta do przyjęcia bardziej zdecydowanej postawy wobec siostrzeńca w płaszczu z czarnym krzyżem. Polski król z niepokojem patrzył też na koalicję zmontowaną przez Albrechta w roku 1523, w skład której weszli kuzyn wielkiego mistrza elektor brandenburski Joachim I i wypędzony ze Szwecji i Danii król Chrystian II. Polska szybko nawiązała więc kontakty z nowym królem Danii Fryderykiem Holsztyńskim i pozyskała do wspólnego sojuszu dwóch książąt pomorskich: Jerzego i Barnima oraz księcia meklemburskiego Henryka. Do zawarcie sojuszu doprowadził 11 marca 1524 roku prymas Jan Łaski, który zastąpił jako sternik polityki zagranicznej kanclerza Szydłowieckiego opłacanego przez Habsburgów. Wzmocniona tym sojuszem Polska odmówiła podporządkowania się sądowi rozjemczemu oraz przedłużenia wygasającego właśnie rozejmu z zakonem. Nawet sejm obradujący w Piotrkowie poszedł na całość, podejmując uchwałę o całkowitym usunięciu zakonu z Prus oraz uchwalając podatki, z których wpływy miałyby zostać przeznaczone na wojnę z Albrechtem.

Kres krzyżackiego panowania wisiał w powietrzu… Albrecht, przebywający akurat na Śląsku, przysłał do Krakowa pełnomocników. Przekazali oni królowi stanowisko wielkiego mistrza – optował on za utworzeniem państwa dziedziczonego przez potomków Albrechta (których oczywiście jeszcze nie posiadał) będącego lennem korony – w jego skład miałyby wchodzić ziemie państwa zakonnego oraz zajęta część Warmii i Prus Królewskich. Pomysł sekularyzacji państwa zakonnego i nadania go jako lenna przypadł do gustu królowi Zygmuntowi. Jako protestant Albrecht tracił bowiem poparcie papieża i cesarza, a tym samym wpadał w polityczną próżnię. Jedynym jego oparciem stawała się Polska, co tym bardziej podkreślało zależność lenna od Korony. Król Zygmunt miał obawy, że przedłużająca się wojna spowoduje niezadowolenie zarówno

szlachty (panowie bracia nigdy nie przepadali za odrywaniem się od gospodarstwa), jak i miast pruskich z Gdańskiem na czele, w których przewagę zyskiwał żywioł protestancki. Istniało więc niebezpieczeństwo, że porozumieją się z Albrechtem i opowiedzą po stronie państwa, ciągle jeszcze, krzyżackiego.

Tymczasem wielki mistrz czuł, że jego pozycja słabnie, i to zarówno na arenie międzynarodowej (papież i cesarz przestali patrzeć przez palce na jego poczynania), jak i w kraju (Albrecht wojnami z Polską doprowadził Państwo Krzyżackie do potężnego kryzysu gospodarczego). Dlatego wreszcie, w marcu 1525 roku, zdecydował się wysłać przedstawicieli do Krakowa. Brat Albrechta margrabia Jerzy i szwagier – książę legnicki Fryderyk stanęli przed obliczem króla Zygmunta i senatorów. Posłowie przedstawili pomysł sekularyzacji Prus Zakonnych i utworzenia z nich dziedzicznego państwa pod berłem Albrechta, ale jako polskiego lenna. Spowodowało to ujawnienie się dwóch opcji wśród dostojników. Grupa pierwsza, której przewodził prymas Łaski, była przeciwna takiemu rozwiązaniu. Prymas uważał, że należy państwo krzyżackie włączyć bezpośrednio do Polski, co byłoby niemożliwe, jeśli król odda te tereny w lenno Hohenzollernom. No i obawiał się, czy likwidacja pruskiej gałęzi zakonu krzyżackiego nie spowoduje interwencji papieskiej i cesarskiej. Z kolei zwolennikami rozwiązania zgłoszonego przez Albrechta byli kanclerz Szydłowiecki (może liczył na subsydia od Hohenzollernów, skoro habsburskie się skończyły?) i przede wszystkim sam król. Widział on w tym szansę osłabienia Habsburgów, a zgoda na dziedziczenie tronu książęcego przez potomków Albrechta oraz jedynie jego trzech braci, a nie całej frankońskiej linii, ograniczała liczbę potencjalnych następców. Ciężko było Albrechtowi zrezygnować z postulatu zatrzymania części Warmii zajętej podczas wojny, ale w obliczu postulatów polskich, żeby odebrać mu nie tylko Warmię, lecz także okolice Pasłęka, powstrzymał terytorialne zapędy.

Tak więc 8 kwietnia 1525 roku zawarto traktat krakowski, który ustalał nowy status Prus Krzyżackich, od tego momentu już Prus Książęcych, oraz dotychczasowego wielkiego mistrza Albrechta, od tego momentu dziedzicznego władcy tego kraju. Traktat kończył wojnę między Polską i państwem Albrechta na zasadzie wzajemnego zwrotu zajętych terenów. Od tej pory wszystkie prawa Albrechta do władania Prusami Książęcymi

wynikały z nadania polskiego władcy, a wszelkie nadania papieskie czy cesarskie traciły ważność. Albrecht był odtąd księciem w Prusach. Forma „w Prusach” była ważna, bo komunikowała, że książę nie ma żadnej zwierzchności nad tym terytorium, wcielonym teraz bezpośrednio do Korony. Tron po Albrechcie miał dziedziczyć jego najstarszy syn (z legalnego łoża), a w razie braku męskiego potomstwa – męscy potomkowie braci Albrechta: Jerzego, Kazimierza i Jana. Kiedy i te linie dynastii by wygasły, Prusy miały zostać wcielone do Polski, a kierować nimi miał namiestnik znający język niemiecki. Na Albrechta traktat nakładał również liczne powinności. Szczególnie dotkliwy dla byłego wielkiego mistrza był punkt mówiący o obowiązku dostarczania polskiemu władcy pomocy wojskowej w nieograniczonej wysokości w razie zagrożenia wojną o utrzymanie postanowień traktatu, czyli praktycznie… z samym Albrechtem, bo któż inny miałby interes w łamaniu tego układu? Oczywiście i król gwarantował księciu w takiej sytuacji pomoc wojskową. W innych działaniach wojennych, ale tylko z udziałem pospolitego ruszenia, prowadzonych przez polskiego władcę Albrecht miał wystawiać stu rycerzy. Jeśli działania przeniosłyby się poza granice Polski, to koszty utrzymania ich spadały na polskiego władcę. Książę miał również obowiązek, który był jednocześnie wielkim zaszczytem – doradzał królowi jako senator, zasiadając podczas obrad senatu i sejmu najbliżej króla. Kolejnym działaniem ograniczającym niezależność niedawnego wielkiego mistrza było powołanie sądu składającego się z przedstawicieli Polski oraz książęcych (każdy wskazywał sześciu), który miał rozstrzygać ewentualne skargi składane na Albrechta przez hierarchów kościelnych. Ale i zwykli obywatele nowego państwa mieli prawo składania apelacji od wyroków książęcych do polskiego króla. Albrecht nie mógł ponadto, bez zgody polskiego władcy, któremu przysługiwało prawo pierwokupu, sprzedawać ziemi ani zamków. Nawet po sprzedaży te ziemie miały być nadal polskim lennem. Co do zastawiania ziem, to mogły one być oddawane tylko w ręce poddanych i wasali Albrechta, a to wykluczało książąt Rzeszy, którzy jak wiadomo, chętnie wchodzili na jakieś terytorium, ale się już z niego nie wycofywali. Książę tracił ponadto jedną z najważniejszych prerogatyw władcy – prawo bicia monety. Co prawda tylko czasowo, do chwili uregulowania spraw monetarnych na terenie Prus Królewskich i Książęcych, ale i tak oznaczało to duże uszczuplenie książęcych

dochodów. Wszystkie te postanowienia zostały przypieczętowane przysięgą podczas uroczystości na krakowskim rynku 10 kwietnia 1525 roku. Oprawa była wyjątkowo okazała, bo i uroczystość niezwykła – oto po trzystu latach zmagań znikał bliski sąsiad, a zarazem wróg Polski – zakon krzyżacki, którego sprowadzili do Prus sami Polacy, nieświadomi skutków tego czynu.

Owego dnia w Krakowie, stolicy jednego z największych Państw w Europie, odbyła się uroczystość, której następstwa przez kilkaset kolejnych lat decydowały o losach nie tylko regionu, lecz także całego kontynentu. Kiedy zegary wybiły godzinę jedenastą, na podwyższenie przed Sukiennicami na Rynku Głównym wszedł odziany w szaty koronacyjne król Zygmunt I i zasiadł na tronie. Towarzyszyli mu najwyżsi rangą dygnitarze królestwa, a wojewoda sieradzki Hieronim Łaski trzymał na rękach czteroletniego następcę tronu, Zygmunta Augusta. Do zasiadającego w majestacie króla podeszli przedstawiciele Albrechta i poprosili o zgodę na nadanie mu w dziedziczne lenno księstwa w Prusach. W imieniu króla łaskawie zgodę wyraził podkanclerzy Piotr Tomicki. Wtedy do polskiego władcy podszedł zakuty w zbroję książę Albrecht, padł na kolana i podziękował za oddanie mu lenna. Król dokonał symbolicznego przekazania władzy nowemu lennikowi. Wręczył mu proporzec z czarnym orłem (dawny symbol Krzyżaków), królewską koroną na szyi i literą S (jak Sigismund, czyli Zygmunt) na piersi – od tego czasu miał to być herb Albrechta i jego prawych potomków. Nadal na klęczkach, świecki już władca Prus wygłosił przysięgę wierności: „Ja, Albrecht, margrabia brandenburski, a także w Prusach, szczeciński, pomorski, słowiański, kaszubski książę, pan Rugii, burgrabia norymberski, przyrzekam i ślubuję, że najjaśniejszemu władcy i panu Zygmuntowi, królowi Polski, wielkiemu księciu Litwy, Rusi i wszystkich ziem pruskich panu i dziedzicowi, jako mojemu przyrodzonemu dziedzicznemu panu i jego majestatu potomkom i następcom, Królom i koronie Polskiej będę wierny i posłuszny i będę się starał o dobro jego majestatu, potomków i Korony Polskiej, a bronił od zła i wszystko czynić będę, co jest obowiązkiem wiernego wasala. Tak mi dopomóż, Boże i święta Jego Ewangelio”. Po tych słowach towarzyszący Albrechtowi Krzyżacy zerwali krzyże naszyte na płaszcze. Koniec zakonu krzyżackiego w Prusach stał się faktem.

Kronikarz Marcin Bielski odnotował to wiekopomne wydarzenie bardziej lapidarnie, ale jakże cenny to przekaz z epoki:

> Albrycht Pruski Mistrz ostatni, iuż bez ubioru krzyżackiego do Krola do Krakowa na końcu miesiąca Marca przyiechał, gdzie dnia 10 miesiąca Kwietnia Krolowi na Maiestacie w rynku nagotowanym siedzącemu, gdy się ze wszystkiem Albrycht oddał, Krol onego Książęciem Krolewieckim w Prusiech uczynił i Proporzec iemu z Herbem Orła czarnego na szyi Koronę, a S na piersiach maiącemu oddał: gdzie Albrycht nowe Xiążę Krolowi y potomkom iego i Koronie poddaństwo y wiarę swą przysięgą na wieczne czasy oddał.

Hołd nie oznaczał końca zakonu krzyżackiego, ale z sąsiednich Prus znikał odwieczny wróg Polski. Nadal istniały gałęzie zakonu w Inflantach oraz w Niemczech. Ta pierwsza przetrwała do roku 1561, kiedy to tamtejszy mistrz Gotthard Kettler poszedł w ślady Albrechta Hohenzollerna i również dokonał sekularyzacji zakonu, a odtąd jako dziedziczny książę władał Kurlandią i Semigalią. W Rzeszy natomiast zakon działa do dziś, mimo różnych perturbacji (na przykład hitlerowcy, którzy chętnie odwoływali się do krzyżackiej symboliki, samych Krzyżaków szykanowali), wielki mistrz zaś odwiedza Malbork w celach jak najbardziej pokojowych. Widać nauka spod Grunwaldu nie poszła w las.

Traktat krakowski i hołd Albrechta oceniane są przez historyków jako wydarzenia niekorzystne dla Polski. Oczywiście historycy są tacy mądrzy w osądach, ponieważ znają wszystkie następstwa tych wydarzeń. A przecież wcale nie musiało dojść do połączenia władzy w Brandenburgii i Prusach w rękach jednej osoby. Gdyby strona polska trzymała się ściśle zapisów, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Z Albrechtem, jako innowiercą, zerwali najważniejsi możni tego świata: papież i cesarz. Nawet kuzyni z Brandenburgii odcięli się (co prawda czasowo) od eksmistrza. Jedynym oparciem stawał się polski władca.

Rok po traktacie krakowskim inne polskie lenno, Mazowsze, zostało bezpośrednio włączone do Polski po bezpotomnej śmierci jego ostatnich władców. Taki sam los mógł być udziałem Prus Książęcych – dziedziczenie godności książęcej traktat krakowski dopuszczał tylko wśród potomków Albrechta z prawego łoża. A w tej kwestii los Albrechtowi nie sprzyjał – dwóch synów z pierwszego małżeństwa zmarło w dzieciństwie. Co prawda z drugiego narodził się kolejny syn i dziedzic Albrecht Fryderyk, ale szybko zaczął on zdradzać objawy choroby psychicznej. Pilną sprawą dla Hohenzollernów stało się więc ustanowienie prawnego opiekuna dla

młodego księcia. Z kolei dla Polski w obliczu szykującej się wojny z Moskwą, Danią i Szwecją o Inflanty palącą potrzebą było zapewnienie sobie pomocy ze strony Brandenburgii. I dlatego król Zygmunt August, syn i następca Zygmunta Starego, jako pierwszy dokonał wyłomu w postanowieniach traktatu krakowskiego i 4 marca 1563 roku obiecał elektorowi brandenburskiemu Joachimowi III, że w przypadku wygaśnięcia linii ansbachskiej tron w Prusach Książęcych przejmą Hohenzollernowie z głównej linii, reprezentowanej właśnie przez Joachima. Ta jedna decyzja pogrzebała możliwość „rozwiązania mazowieckiego" kwestii pruskiej. W dodatku została potwierdzona przez sejm w roku 1569, czyli rok po śmierci księcia Albrechta.

Zmiana władcy na polskim tronie (w roku 1571 zmarł ostatni Jagiellon, a na tronie zasiadł – po krótkim epizodzie Henryka Walezjusza – w roku 1576 Stefan Batory z Siedmiogrodu) nie spowodowała zmiany w polityce stawiającej na pierwszym planie cele doraźne. W przypadku Batorego była to wojna z Gdańskiem, który nie chciał uznać go jako króla, oraz nieuchronna wojna z Moskwą starającą się o dostęp do Bałtyku kosztem ziem należących do Polski. Rokowania w sprawie kurateli trwały rok i 22 września 1577 roku Stefan Batory wydał dekret zezwalający na to, żeby Albrechta Fryderyka objął opieką jego najbliższy krewny – księcia kaniowski i margrabia Ansbach, Jerzy Fryderyk. Dodatkowo Batory nadał Jerzemu Fryderykowi tytuł księcia Prus. Takie posunięcie króla wzbudziło niepokój i protesty stanów pruskich, a także wywołało wzburzenie w samej Polsce. Król im jednak nie uległ i w lutym 1578, tym razem w Warszawie, odbyła się uroczystość złożenia hołdu przez nowego księcia pruskiego. Od tego czasu można odnieść wrażenie, że to strona niemiecka pomału zaczynała coraz silniej dyktować warunki.

Kolejna okazja do ograniczenia roli Hohenzollernów trafiła się po wyborze następcy Batorego – Zygmunta III Wazy. Otóż Jerzy Fryderyk podczas elekcji postawił na niewłaściwego kandydata, jednak Zygmunt nie myślał o wyciągnięciu konsekwencji wobec niego i odnowił w 1589 roku akt nadania kurateli. Znów zwyciężyły cele bieżące, czyli tym razem utrzymanie tronu w Szwecji i konflikt z Rosją. Co gorsza, polski król uznał prawo do sukcesji elektorów brandenburskich w Prusach Książęcych. A kiedy Jerzy Fryderyk zmarł, kuratelę Zygmunt III przekazywał kolejnym elektorom brandenburskim – Joachimowi Fryderykowi w roku 1605,

a później jego synowi Janowi Zygmuntowi w roku 1608. Ten ostatni był żonaty z Anną, córką ostatniego księcia z linii ansbachskiej. Za decyzjami króla stały znaczne kwoty pieniędzy, które Zygmunt ładował w studnię bez dna, czyli próbę utrzymania się na szwedzkim tronie i zdobycie moskiewskiego. Jesienią 1611 roku doszło do tego, że sejm uznał nie tylko za opiekuna, lecz także za sukcesora obłąkanego księcia właśnie Jana Zygmunta oraz jego następców, a w dodatku jego trzech braci i ich męskich potomków. Szansa na wcielenie Prus Książęcych do Rzeczypospolitej została praktycznie całkowicie zaprzepaszczona. Na pocieszenie Warszawa 16 listopada 1611 roku oglądała uroczystość, podczas której naprzeciw kościoła świętej Anny przed królem Zygmuntem III Wazą padł na kolana elektor Jan Zygmunt i przysiągł wierność Rzeczypospolitej oraz jej władcy. Siedem lat później faktem stało się przejęcie pruskiego dziedzictwa przez linię elektorską – zmarł ostatni przedstawiciel linii Ansbach – Albrecht Fryderyk. Od tego momentu Rzeczpospolita od zachodu i północnego wschodu znalazła się w niezbyt przyjaznym uścisku brandenburskich elektorów. Pocieszeniem w tej sytuacji było zmuszenie dumnych elektorów brandenburskich, czyli tych kilku władców państw Rzeszy, którzy wybierali niemieckiego króla, do roli wasala i oglądanie ich padających na kolana przed polskim władcą. Ale i ten widok był coraz rzadszy. Kolejny król, Władysław IV, też poszedł na ustępstwo: pozwolił władcom Brandenburgii na przejmowanie władzy w Prusach nie w momencie złożenia hołdu, ale już wcześniej – wystarczyło tylko, że nowy władca zgłosi gotowość złożenia hołdu. Dlatego 21 kwietnia 1641 roku, czyli w dniu przekazania mu królewskiej zgody, mógł objąć rządy w Prusach Książęcych Fryderyk Wilhelm, zwany przez potomnych Wielkim Elektorem, mimo że sam hołd złożył dopiero 7 października. Wtedy to ostatni raz Brandenburczyk ukorzył się przed majestatem Rzeczypospolitej. Opłaciły się widać elektorowi lekcje polskiego, które brał od siódmego roku życia, aby kontakty z suwerenem, czyli polskim królem, były jak najlepsze, bo był to ostatni w dziejach hołd złożony polskiemu monarsze. Władysław w zamian za poluzowanie zasad zależności Prus Książęcych od Rzeczypospolitej chciał pomocy przy zabiegach o uzyskanie szwedzkiej korony po śmierci króla Gustawa Adolfa.

Po tylu ustępstwach na rzecz Niemców nowemu królowi Janowi Kazimierzowi nie pozostało nic innego, jak zwolnić Fryderyka Wilhelma ze

złożenia osobistego hołdu – była to danina, którą Jan Kazimierz zapłacił za poparcie w czasie elekcji w roku 1648. Gdy jednak kilka lat później Szwedzi najechali Polskę w takiej liczbie i sile, że wojna ta otrzymała od potomnych nazwę potopu szwedzkiego, próżno było liczyć na wdzięczność elektora. Na przełomie roku 1655 i 1656 król Szwecji Karol Gustaw nie zdobył Gdańska i w związku z tym obawiał się o bezpieczeństwo tyłów swojej armii. Namówił więc księcia pruskiego i elektora w jednej osobie, czyli Fryderyka Wilhelma, aby ten uznał szwedzkie zwierzchnictwo i oddał Warmię, co też się stało w Królewcu 17 stycznia 1656 roku. W lipcu tego roku wojska elektorskie wspierały Szwedów w bitwie pod Warszawą. W roku 1657 zapadła między sojusznikami decyzja o podziale Polski i Litwy między Szwecję, Brandenburgię, Siedmiogród i Ukrainę oraz utworzenie sprzymierzonego ze Szwecją państwa Bogusława Radziwiłła. Mimo zajęcia niemal całego terenu Rzeczypospolitej przez najeźdźców ten flirt prusko-brandenbursko-szwedzki nie uszedł stronie niemieckiej całkiem na sucho – polskie oddziały, wspomagane przez Tatarów, przeniosły działania wojenne na teren Prus Książęcych. Pierwszą bitwę (pod Prostkami) Polacy wygrali, drugą (pod Filipowem) przegrali. Najbardziej pokrzywdzeni byli jednak mieszkańcy Prus Książęcych, gdyż Tatarzy, ale i Polacy mordowali, gwałcili i palili bez pardonu. Całe połacie terenu Prus Książęcych pozostawały wyludnione. Szwedzi zaś zaczynali odczuwać brak zaplecza. Fryderyk Wilhelm wykorzystał ten stan sojusznika i na mocy układu w Labawie z 20 listopada 1656 roku zdjęto z niego szwedzkie dominowanie – odtąd w Prusach był władcą niezależnym i, co ważne, absolutnym. Wielki elektor miał więc już z głowy Szwedów, teraz trzeba było uzyskać podobne porozumienie z Rzecząpospolitą. Tutaj również elektor odniósł sukces – za cenę odstąpienia od Szwedów król Jan Kazimierz zniósł zależność lenną – porozumienia zawarto w traktacie podpisanym w Welawie 19 września 1657, potwierdzonym w Bydgoszczy 6 listopada 1657 roku. W dodatku Fryderyk Wilhelm zapewnił sobie oddanie w lenno graniczących z Brandenburgią miast Lęborka i Bytowa. Jedyną szansą na przyłączenie Prus Książęcych do Polski był zapis, że nastąpi to w momencie wygaśnięcia rodu Hohenzollernów. Cóż, gdyby owe traktaty obowiązywały do dzisiaj, Prusy Książęce nadal powinny się znajdować pod panowaniem tej prusko-brandenburskiej dynastii.

Dziesięć lat później w testamencie skierowanym do następcy Wielki Elektor pisał jednak tak:

> Utrzymujcie zawsze dobrosąsiedzkie stosunki z królem Polski i Rzeczpospolitą jako najbliższym sąsiadem. Przede wszystkim ze względu na Brandenburgię, ale i z powodu Prus. Zabiegajcie o przychylność Rzeczypospolitej, nie szczędząc przy tym żadnych kosztów, ponieważ jeśli zapewnicie sobie jej przyjaźń, tym pewniejsza będzie wasza uzyskana obecnie suwerenność w Prusach, którą będziecie się mogli cieszyć z większym spokojem.

A dalej dał wyraz frustracji nie tylko własnej, ale wszystkich poprzedników:

> Nie sposób opisać, jak nieznośny był ongiś dla mnie i dla moich przodków stan zależności lennej od Korony Polskiej i jak wszystko musieliśmy tam okupować pieniędzmi. Pewne świadectwo tego dadzą archiwum i rachunki.

Gdyby takiego zapisu dokonał ktoś stojący współcześnie u szczytów władzy, można by uznać to za kiepską próbę wytłumaczenia, na co idą pieniądze podatników. Dalej Wielki Elektor snuł dywagacje polityczne, które okazały się prorocze, a które jego następcy, działając w imię egoistycznie rozumianej racji stanu, zlekceważyli. Ku ostatecznej zgubie swojego państwa. Zalecał bowiem w razie zaatakowania Rzeczypospolitej przez wrogów, aby ją:

> wiernie wspierać i wspomagać, gdyż od jej utrzymania i zachowania zależy powodzenie wasze i waszych krajów. Prócz tego musicie jej zawsze pomagać w utrzymaniu dawnych swobód. W żadnym razie nie pozwólcie też, by jakieś obietnice czy korzyści odłączyły was albo odwiodły od Rzeczypospolitej, która nigdy nie zginie. Dzięki temu król zawsze będzie się musiał szczególnie z wami liczyć.

Fryderyk Wilhelm tak mocno zaangażował się w podziw dla Rzeczypospolitej (mimo kombinowania do spółki ze Szwedami, jak by tu ją zgrabnie podzielić, a co najmniej połączyć Prusy z Brandenburgią), że dwukrotnie ubiegał się o polską koronę podczas wolnej elekcji: raz po abdykacji Jana Kazimierza w roku 1668, a drugi raz po śmierci Michała Korybuta Wiśniowieckiego w roku 1673. Pozornie był bez szans, bo jako protestant wybrany na polskiego króla być nie mógł, ale późniejszy przykład elektora saskiego Fryderyka Augusta pokazuje, że nie było to takie zupełnie nieprawdopodobne.

Tymczasem, chociaż zakon krzyżacki po traktacie krakowskim z roku 1525 nie miał już bezpośredniego wpływu na Polskę, jego duch „unosił się” nad polsko-niemieckimi kontaktami do XX wieku. Chociaż Krzyżaków czasem korciło, aby zaangażować się bezpośrednio – subsydiowali na przykład wyprawę wojenną Maksymiliana Habsburga, kandydata do polskiego tronu, który przegrał elekcję ze Stefanem Batorym. Zakonnicy liczyli, że Habsburg jako polski monarcha pomoże im odzyskać Inflanty i Prusy Książęce. Skończyło się na poważnych kłopotach finansowych z powodu nieudanej wyprawy, natomiast Maksymilian i tak został wybrany, jako pierwszy Habsburg, na wielkiego mistrza. I Habsburgowie pełnili tę funkcję, niemal bez przerwy, do roku 1923. Rycerze z krzyżem na białych płaszczach nie rezygnowali jednak z tych nierealnych planów, licząc na poparcie Habsburgów, co jednak nie leżało w planach politycznych tej dynastii. Protestowali więc przeciw nadaniu tytułu książąt w Prusach elektorom brandenburskim, a następnie przeciw przyjęciu przez nich tytułu króla w Prusach w roku 1701.

Krzyżacy doznali upokorzenia również podczas pierwszego rozbioru Polski w roku 1772, kiedy to kołatali do europejskich władców o przyznanie im Żmudzi. Oczywiście żaden z zaborców nie brał tego pomysłu na serio. Okres napoleoński miał przynieść ostateczny kres istnienia Krzyżaków (wszelkie ich dobra Napoleon przekazał rodzinie drugiej żony, czyli właśnie Habsburgom), ale jak to w wojennym czasie, nie wszystko udało się doprowadzić do końca. Włości na terenie Związku Reńskiego przejęły Bawaria i Wirtembergia, ale w Austrii pozostały we władaniu Krzyżaków. Do Wiednia więc przeniósł się wielki mistrz. Miał tam też bliżej do swoich cesarskich kuzynów. Z czasem braciom powierzono prowadzenie służby sanitarnej w armii austriackiej.

Pokłosie zakonu przybierało najróżniejsze formy. W czasie gdy w Austro-Węgrzech zakon jako tako zipał, w Prusach uznano, że sami Krzyżacy potrzebni nie są, za to ich legenda może być nader przydatna Hohenzollernom do przekonywania, że pełnią „misję cywilizacyjną” we wschodniej Europie. To dlatego zamek w Malborku, który od czasów Fryderyka Wielkiego był systematycznie dewastowany i eksploatowany w sposób gwarantujący szybkie unicestwienie tej największej w Europie ceglanej rezydencji, doczekał się za kajzera Wilhelma odbudowy. Polacy tej

apoteozie krzyżactwa przeciwstawili pierwszorzędne pióro Henryka Sienkiewicza, bądź co bądź noblisty. A także pierwszorzędny pędzel pierwszorzędnego malarza historycznego Jana Matejki, któremu mniej utalentowani koledzy po fachu zarzucali brak oddechu na zatłoczonych płótnach i nieznajomość zasad perspektywy. Najbardziej jednak liczyło się lekkie podrasowywanie historii. Obaj artyści swoją twórczość traktowali jak oręż w czasie Kulturkampfu, opisanego w rozdziale *O nader specyficznym pojmowaniu kultury przez kulturalnych (ponoć) Niemców*.

Krzyżaków Sienkiewicz najpierw publikował w prasie w odcinkach w latach 1897–1900, a później wydał drukiem. Melodramatyczną opowieść o tragicznej miłości pięknej Danusi Jurandówny i dzielnego Zbyszka z Bogdańca osadził na starannie przygotowanym tle historycznym. Okrutni, podstępni i występni Krzyżacy, prawi, nieugięci i szlachetni Polacy… ich drogi musiały się oczywiście skrzyżować pod Grunwaldem, gdzie zwycięzca mógł być tylko jeden (no, w imię poprawnych stosunków polsko-litewskich – dwóch: Jagiełło i Witold). Co do przegranych – nie było wątpliwości. Prusaków musiały boleć zęby od zgrzytania ze złości, o ile udało im się przechytrzyć państwową cenzurę i zdobyć egzemplarz książki. Zgrzytali tym bardziej, że Sienkiewiczowska powieść z XV wieku tak naprawdę była opowieścią o współczesnych Niemcach. Pisarz stawiał znak równości między występkami Krzyżaków a poczynaniami współczesnych mu Prusaków.

Do napisania *Krzyżaków* zainspirował Sienkiewicza między innymi obraz *Bitwa pod Grunwaldem*, czyli największy, jeśli chodzi o rozmiary (426 × 987 cm), obraz Jana Matejki. Wspomnimy o nim jeszcze w rozdziale *O nieustającej walce na miecze, armaty i słowa*, ale teraz pora zatrzymać się nad innym obrazem mistrza, który na zawsze zawładnął wyobraźnią historyczną Polaków. Namalowanie *Hołdu pruskiego* zajęło Matejce trzy lata, ukończył je w 1882 roku i podarował polskiemu narodowi. Dalsze trzy lata płótno podróżowało po europejskich stolicach. Matejko nieco zmodyfikował oprawę wydarzenia: krakowskie Sukiennice, które są tłem dla uroczystości, przedstawił w szacie jemu współczesnej, a wśród wielu postaci pojawiają się te, które już wtedy nie żyły: między innymi Anna Mazowiecka, Jan Boner i Andrzej Kościelecki, a królowa Bona przygląda się wydarzeniu nie z podium, lecz z okna nieodległej

kamienicy. Wszystko to miało wyraz symboliczny, mniej lub bardziej czytelny dla oglądających. Takim gestem, który drażnił Niemców oglądających obraz, jest owinięcie miecza wielkiego mistrza przez komtura na znak, że owa broń użyta przeciw Polsce już nie będzie – ot, taki przytyk Matejki do krótkiej pamięci zachodnich sąsiadów. Z kolei od postaci towarzyszących Albrechtowi, czyli margrabiego Jerzego i księcia legnickiego Fryderyka, bije nieukrywana buta.

W czasie II wojny światowej ten obraz, pokazujący jedno z największych upokorzeń niemieckich, w dodatku bardzo dobry obraz, był obiektem pożądania niemieckich łowców dzieł sztuki, bynajmniej nie w celu wyeksponowania go w ukochanym muzeum Führera w austriackim Linzu. Polacy postanowili więc za wszelką cenę wkurzyć Niemców, nie pozwalając, by *Hołd* Matejki wpadł w ich łapy. Niemcy bowiem od lat trzydziestych XX wieku (wcześniej jakoś tak nie mieli) nabrali zwyczaju palenia wartościowych książek, a nieodpowiadające im z różnych powodów dzieła uznawali za przejawy zwyrodnienia sztuki. Znienawidzony *Hołd pruski*, gdyby wpadł w ich ręce, podzieliłby los jedenastu tysięcy obrazów polskich malarzy, które Niemcy zrabowali w czasie II wojny światowej. Trzeba dodać, że specjalne „oko” na arcydzieło Matejki miał sam marszałek Hermann Göring. Kiedy gościł z oficjalną wizytą w Polsce przed wybuchem II wojny, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie Feliks Kopera bardzo dokładnie objaśniał mu treść i symbolikę obrazu. Dla premiera Prus, a taki tytuł Göring też nosił, musiało to być upokarzające.

W pierwszych dniach września 1939 roku dziesięciometrowa, ważąca pół tony metalowa tuba ze zwiniętym płótnem trafiła z Krakowa do Zamościa, do kościoła Świętej Katarzyny. Obarczony zadaniem jej ukrycia rektor kościoła ksiądz Wacław Staniszewski w towarzystwie zaufanych osób przeniósł nocą obraz do podziemi. Ale z powodu konieczności wybicia otworów w ścianie świątyni nie udało się utrzymać w tajemnicy miejsca przechowywania obrazu. Zresztą urzędujące w Krakowie Gestapo wiedziało o tym, że *Hołd pruski* trafił do Zamościa. Niemiecka tajna policja wysłała tam swoich przedstawicieli, ale natrafili oni na ścianę, czyli żołnierzy Armii Czerwonej, którzy chociaż zajęli miasto jako sojusznicy III Rzeszy, to wcale nie mieli ochoty Niemcom ułatwiać życia. Zresztą czerwonoarmiści sami zeszli do podziemi kościoła, aby sprawdzić, czy nie

ma tam ukrytych skarbów. Przy okazji rozpruli metalową tubę i uszkodzili obraz Matejki – ale go nie ukradli, uważając za bezwartościowy.

To typowo sowieckie podejście do dzieł sztuki okazało się dla obrazu zbawienne. Kiedy po miesiącu, w październiku 1939 roku, miejsce sowieckich okupantów zajęli niemieccy, ksiądz Staniszewski zgłosił niemieckiej komendanturze włamanie do kościoła. Słusznie założył bowiem, że niemieckie przesadne zamiłowanie do porządku i wszelkich zaświadczeń może okazać się przydatne. Ksiądz skupił uwagę wizytującego kościół żołnierza na wyłamanych drzwiach i poprzewracanych na ołtarzu sprzętach liturgicznych. Niemiec wystawił odpowiednie zaświadczenie. W roku 1940 ksiądz został przewieziony na Gestapo, gdzie podczas brutalnego przesłuchania oprawcy domagali się wskazania miejsca ukrycia arcydzieła Matejki. Ksiądz odpowiedział, że nie ma pojęcia, a na stwierdzenie, że obraz został przewieziony z Krakowa do jego kościoła, odpowiedział, iż owszem, jakaś paka była, ale do kościoła się włamano i wiele rzeczy zginęło, wśród nich i paka – a na dowód pokazał zaświadczenie. Prowadzący przesłuchanie gestapowiec dosłownie zaniemówił i po chwili w niewybrednych słowach oznajmił, że ksiądz Staniszewski jest wolny, podobnie jak kilka innych osób zatrzymanych w tej sprawie. Co ciekawe, ksiądz rzeczywiście nie miał pojęcia, gdzie jest *Hołd pruski*, bo obraz dużo wcześniej został z Zamościa wywieziony. W myśl zasady, że pod latarnią jest najciemniej, wrócił do Krakowa. Jazda odbyła się na rozkaz komendanta miasta pod pretekstem zaopatrzenia w zapas soli oraz papieru, a samochód był nawet konwojowany przez żandarmów siedzących na pace z obrazem. Dzieło trafiło szczęśliwie do Muzeum Czapskich w Krakowie. Zamojskie Gestapo, gdy dotarła do nich wieść o transporcie tajemniczej przesyłki, domagało się wyjaśnień co do jej zawartości. Niemiecki burmistrz Krakowa odpisał to, co powiedział mu dyrektor Kopera – był to obraz muzealny „o treści neutralnej”. Niemieckie zaufanie do urzędowych pism przeważyło nad zasadą skontrolowania sprawy na miejscu. *Hołd pruski* doczekał szczęśliwie końca wojny, by wrócić do muzeum w krakowskich Sukiennicach. Tak to Polacy hołdem pruskim w postaci dzieła sztuki kolejny raz doprowadzili Niemców do nerwowego wrzenia.

Państwo pruskie przestało oficjalnie istnieć 27 lutego 1947 roku. Zadecydowała o tym Sojusznicza Rada Kontroli Niemiec, czyli Wielka Brytania, Związek Radziecki, USA i Francja. Przestały istnieć Prusy, a raczej to, co z nich pozostało na zachodzie – bo matecznik państwa, czyli Prusy Książęce powiększone po rozbiorach o Warmię i Pomorze, już w 1945 został przejęty przez Polskę i w mniejszej części, aczkolwiek strategicznej, bo z Królewcem – przez ZSRR (akurat ta ostatnia decyzja do dzisiaj odbija się Europie czkawką). Do Polski trafiły też należące przez stulecia do Prus: Dolny Śląsk, Ziemia Lubuska, Pomorze Zachodnie. Sam zakon przetrwał dzieło tego, który chciał go zlikwidować, czyli państwo Albrechta Hohenzollerna i jego następców. Przetrwał Napoleona, przetrwał i innego wodza, którzy marzył o stworzeniu III Rzeszy od Atlantyku po Ural i tak jak Napoleon dostał łupnia pod Moskwą. Adolf Hitler po zajęciu Austrii i Czech zlikwidował zakon krzyżacki. Udało się przetrwać kilku „zapomnianym" domom zakonnym w północnych Włoszech i Jugosławii. Hitlerowi, tak jak wcześniej Wilhelmowi II, bardziej potrzebny był mit tego zgromadzenia niż ono samo. Po 1945 roku zakon się odrodził. Co prawda odcinał się od ideologii narodowego socjalizmu, ale chlubił się swoim wkładem w rozwój chrześcijaństwa i kultury w basenie Morza Śródziemnego i Bałtyku, nie eksponując mało chrześcijańskich metod działania. Po roku 1989 Krzyżacy z Wielkim Mistrzem na czele często zaglądają na stare śmieci, czyli do Malborka. I pewnie cieszą się, że nie muszą się już kłopotać utrzymaniem w dobrym stanie tej największej góry cegieł w Europie.

O OPŁAKANYCH DLA RZECZYPOSPOLITEJ SKUTKACH WSTYDLIWEJ PRZYPADŁOŚCI FRYDERYKA II

Z przydomkami władców jest ten kłopot, że nie zawsze znaczą to samo za granicą co w kraju, w którym ten czy inny władca panował. Pół biedy, jeśli chodzi o przydomek odnoszący się do cech fizycznych. Łysy, Stary czy Plątonogi będą rozpoznawalni w każdym języku i wszędzie przydomek będzie znaczył to samo. Gorzej, jeśli pochodził od czynów, bo na przykład taki Święty Świętemu nierówny. Cesarz Henryk, który nieraz dostawał łupnia od naszego Chrobrego, o czym była mowa w rozdziale *O Piastach, którzy cesarzom na nerwach czasem grali*, został świętym, chociaż z punktu widzenia Polski wcale na to nie zasłużył. Najtrudniej jest z, wydawałoby się, najprostszym przydomkiem – Wielki. Bo cóż oznacza bycie „wielkim" dla Polaków? Jedyny z polskich władców o tym przydomku, czyli król Kazimierz, prowadził raczej politykę pokojową, zrezygnował ze Śląska, nie odzyskał Pomorza (okej, przyłączył za to Ruś Czerwoną ze Lwowem), a mimo to został przez potomnych obdarzony tym mianem. Natomiast Prusacy nadali przydomek „Wielki" temu, który prowadził politykę agresywną, wywołał kilka wojen, zagarnął na podstawie mocno naciąganych racji historycznych część ziem sąsiedniego państwa, czyli Polski. W dodatku był ksenofobem niecierpiącym Polaków i Żydów, a w wyniku jego zaborczej polityki dołączono do Prus ziemie zamieszkane właśnie przez te nacje. Jak widać, przydomek „Wielki" dla każdego

oznacza co innego. Jedną ze składowych owej wielkości według pobratymców Fryderyka była inicjatywa i przeprowadzenie pierwszego rozbioru Polski. Skąd u niego taka niechęć do sąsiedniego, skądinąd sympatycznego, narodu? Czym Polacy doprowadzili go do takiej zajadłości i woli wymazania Rzeczypospolitej z mapy? Podczas zwiedzania ulubionej rezydencji Fryderyka, czyli Sanssouci w Poczdamie, zastanawiałem się nad tym, stojąc przy jego grobie. Król, filozof (przyjaciel Woltera, chociaż przyjaźń została zerwana z powodu złośliwości Francuza i skąpstwa Prusaka), doskonały muzyk, a przy tym i dowódca wojskowy, kazał się pochować w sąsiedztwie grobów swoich ukochanych chartów. Może to i bardzo ludzki rys jego postaci, miłość do zwierząt, ale jeśli przypomnieć sobie, że jego stosunek do małżonki był mniej czuły niż do owych psów, sprawa przestaje być taka prosta w ocenie. Diabeł tkwi w szczegółach. Kim był więc ów diabeł?

Żeby do tego dojść, trzeba cofnąć się w czasie do elekcji w roku 1697 po śmierci króla Jana III Sobieskiego. Zwycięzca spod Wiednia pozostawił trzech synów, z których najstarszy, Jakub, ostrzył sobie zęby na schedę po ojcu i miał na nią spore szanse, które wszakże sam pogrzebał. Jego matka, ciągle ponoć wówczas piękna Marysieńka, wolała widzieć na tronie młodszego z synów, Aleksandra. Jakub, aby wymusić na matce poparcie podczas zbliżającej się elekcji, odmówił wpuszczenia do Zamku Królewskiego konduktu pogrzebowego ze zwłokami ojca. W końcu ustąpił, ale zszarganej opinii już sobie nie poprawił. O zwycięstwie w najbliższych wyborach miały zdecydować głosy szlacheckich szaraczków, siedzących w kieszeni możnowładców. Ci zaś siedzieli w kieszeniach obcych dworów. Wydawało się, że wobec wyczynów Jakuba Sobieskiego popierające go stronnictwo proaustriackie nie ma szans i królem zostanie kandydat Francji, książę Franciszek Conti. Zwłaszcza że i Ludwik XIV nie żałował złota na przekonanie Polaków do swego kandydata. Ale gdzie dwóch się bije, korzysta trzeci – zwłaszcza jeśli ten trzeci jest blisko, złota też nie żałuje i ma jeszcze asa w rękawie. Mowa o elektorze saskim z dynastii Wettynów Fryderyku Auguście, którego kandydaturę początkowo mało kto traktował poważnie. Nie dość, że luteranin, to jeszcze elektor trochę z przypadku. Fryderyk August był bowiem młodszym synem księcia Jana Jerzego i nie miał żadnych widoków na objęcie tronu w rodzinnej Saksonii. Takim osobnikom od wieków pozostawały do wyboru dwie drogi – albo kariera

duchowna na odpowiednio wysokim stanowisku (poczucie powołania nie było konieczne), albo kariera wojskowa (tutaj też umiejętności dowódcze odgrywały rolę drugorzędną). Przed Fryderykiem Augustem, jako luteraninem, ta pierwsza była zamknięta. Pozostawała druga i tutaj radził sobie całkiem nieźle. Nie tylko bowiem ćwiczył głowę w pijaństwie, a resztę ciała w miłostkach (i z pijaństwa, i z utrzymywania stada kochanek oraz metres był później słynny w Europie), lecz także specjalizował się w inżynierii wojskowej. Wiadomość o śmierci króla Jana Sobieskiego dotarła do niego, gdy jako głównodowodzący wojsk cesarskich prowadził wojnę z Turcją. Był już wtedy od trzech lat saskim elektorem, bo jego starszy brat Jan Jerzy IV zmarł niespodziewanie na ospę, którą zaraził się od kochanki, którą pielęgnował.

Fryderyk August, jako się rzekło, za poważnego kandydata do polskiego tronu nie uchodził, ale gdzieś tam w tyłach głów głosujących szlachciurów jego imię kołatało. Saskie złoto, które dotarło w beczkach do Warszawy, zaczęło trafiać do różnych kieszeni. Podczas pierwszej tury elekcji 26 kwietnia 1697 głosów nie zdążono policzyć w ciągu dnia, ale przewaga Contiego była wyraźna. W nocy przed drugą turą, gdy czujność stronnictwa profrancuskiego (już niemal świętującego sukces) została uśpiona, poplecznicy saskiego kandydata wyciągnęli asa z rękawa – Fryderyk August przeszedł na katolicyzm. Nie wiadomo, czy podczas tej uroczystości nawiązał do słynnych słów króla Francji Henryka IV i powiedział „Warszawa warta jest mszy”, ale kiedy saskie beczki pokazały dno, bo polskie kieszenie okazały się bezdenne, to jezuici pożyczyli złoto reprezentującemu elektora ministrowi Jakubowi Henrykowi Flemingowi. Udało mu się też namówić stronników pozostałych kandydatów do poparcia kandydatury Fryderyka Augusta. No i się zaczęło: rano prymas Polski Michał Radziejowski ogłosił Contiego królem Polski. Ale kilkanaście województw (głosowanie odbywało się województwami) ogłosiło królem Fryderyka Augusta. A kiedy prymas odjechał, oficjalnie, aczkolwiek nie do końca zgodnie z prawem, ogłosił wybór Sasa na polskiego króla biskup kujawski Stanisław Dąbski. W kolegiacie świętego Jana dwukrotnie zabrzmiało więc tego dnia *Te Deum laudamus*, a Fleming zaprzysiągł w imieniu Fryderyka Augusta *pacta conventa*, czyli obietnicę wprowadzenia w życie uchwał sejmu elekcyjnego.

Teraz Polska miała dwóch królów elektów i obaj byli poza jej granicami. Rozpoczął się wyścig, kto dotrze pierwszy, z tym że Francuz wybierał się jak sójka za morze. Dosłownie, ponieważ do Polski w końcu wybrał się drogą morską. Być może obawę budziły w nim wspomnienia innego Francuza na polskim tronie. Henryk Walezy, bo o nim mowa, był co prawda królem Polski nader krótko, i to dobre sto lat wcześniej, ale to przeżycie z pewnością okazało się dla niego traumatyczne. Sasa nie miał kto ostrzec przed Polakami, bo żaden Niemiec do jego czasu na polskim tronie, mimo wielokrotnych zakusów przede wszystkim Habsburgów, nie zasiadał. Dlatego być może z tego życiowego błędu August zdał sobie sprawę dopiero na łożu śmierci – kiedy króla zapytano, czy chce polecić sejmowi kandydaturę swojego syna na następcę, umierający August odmówił i stwierdził, że młody Fryderyk August sam musi zdecydować, czy zechce przyjąć tę koronę, która dla niego była „koroną cierniową". Jeśliby syn się zdecydował, to ojciec życzy mu więcej szczęścia, niż miał on sam. No, ale to wydarzyło się dopiero w roku 1733, po trzydziestu sześciu latach użerania się z Polakami.

Wróćmy do momentu, gdy nie wiadomo jeszcze, który z dwóch elektów zostanie *de facto* królem. August ruszył z Drezna co koń wyskoczy, zabierając ze sobą, na wszelki wypadek, sześć tysięcy saskich żołnierzy. Zdążył jeszcze uspokoić Sasów, nieco wystraszonych decyzją o zmianie wyznania (obiecał im solennie, że w żaden sposób nie naruszy obowiązujących praw luterańskich ani nadanych do tej pory przywilejów), i wkroczył do Polski. W sanktuarium w Piekarach Śląskich ogłosił publicznie akt konwersji i ruszył do Krakowa. Tymczasem Conti załadował się na okręt i płynął, płynął i płynął, aż dopłynął do Gdańska i stanął na redzie. Próżno jednak wyglądał uroczystego poselstwa – wszyscy w Gdańsku byli zmęczeni uroczystościami, które odbyły się dzień wcześniej – świętowano uznanie królem elektora saskiego. Conti postał jeszcze trochę na redzie, po czym, gdy pogoniły go saskie wojska, odpłynął i tyle go widzieli.

Koronację i sejm koronacyjny zaplanowano na 15 września. Był jeden problem: do koronacji potrzebna jest korona. Królewskie insygnia zaś spoczywały zamknięte na cztery spusty w skarbcu na Wawelu, a jeden z czterech kluczy do skomplikowanego zamku był w posiadaniu prymasa Radziejowskiego. Aby więc nie wyważać drzwi (co byłoby łamaniem

prawa), wybito otwór w ścianie i tym sposobem wyniesiono precjoza ze skarbca. Nie był to zresztą jedyny raz, kiedy Niemcy tak postąpili. Sto lat później, podczas rozbiorowego zamieszania, Prusacy na krótko zajęli Kraków. Na krótko, ale nie omieszkali skraść polskich klejnotów koronnych, wywieźć ich do Królewca i tam złoto przetopić na monety, a szlachetne kamienie sprzedać. Polakom pozostało wtedy grać na nerwach Prusakom rozpuszczaniem pogłosek, że klejnoty koronacyjne jednak potajemnie ocalały i w ukryciu czekają na odzyskanie niepodległości. Podobnie denerwowali francuscy rojaliści swoich rodaków rewolucjonistów. Snuli opowieści o tym, że madame du Barry, ostatnia kochanka króla Ludwika XV, wywiozła francuskie regalia z rewolucyjnego Paryża do Londynu i tam je ukryła.

Koronacja przebiegła bez przeszkód i król, jako August II, zabrał się do rządzenia. Miał ambitny plan przekształcenia Polski w nowoczesny kraj; dzięki rządzeniu nią sascy elektorzy mieli osiągnąć w Rzeszy pozycję równą cesarskiej. Król rozpoczął rządy od ogłoszenia swych zamiarów w memoriale *Jak Polskę przekształcić w kraj kwitnący i cieszący się szacunkiem u sąsiadów*. Czego to miało nie być w tej Polsce! I zreformowany system prawny, i stała służba dyplomatyczna utrzymywana ze stałych podatków podobnie jak zreformowana armia. I cztery nowe uniwersytety, żeby polska młodzież mogła się kształcić w kraju. A Polacy mieli się bogacić na rozwijaniu handlu między wschodem a zachodem. Wszystko pięknie. August nie przewidział tylko jednego: że Polacy wcale nie chcieli zreformowania ich kraju. Woleli siedzieć w ciasnym, brudnym i lekceważonym przez sąsiadów, ale znanym dobrze grajdołku. W dodatku, o czym August nie wiedział, obejmując tron, kraj już od schyłku panowania króla Sobieskiego był rozbity wewnętrznie przez zwalczające się frakcje magnackie, a to rozbicie pogłębiło się w okresie bezkrólewia. I cały czas trwało. Poza tym stronnictwo profrancuskie z prymasem Radziejowskim wcale nie składało broni. August doprowadził do porozumienia z nim, ale za wysoką cenę – prymas uzyskał uprawnienia kontrolowania postępowania króla i reprezentowania wobec niego Rzeczypospolitej. *De facto* więc unia między Polską i Saksonią pozostała unią personalną – oba kraje łączyła osoba władcy i niewiele więcej.

Oj, nie tak wyobrażał sobie rządy w Polsce król August, nie tak. Skoro Polacy bruździli mu w sprawach krajowych, postanowił osiągnąć sukces na

drodze dyplomatyczno-militarnej i ruszyć na odwiecznego wroga Polski oraz całej chrześcijańskiej Europy, z którym zresztą już wcześniej wojował, czyli Turcję. Planował odzyskanie Podola, utraconego jeszcze za Michała Korybuta Wiśniowieckiego, oraz zdobycie, ale już dla własnej dynastii Wettynów, Mołdawii i Wołoszczyzny (podobnie kombinował Sobieski, ale bez powodzenia). Nic z tego nie wyszło, a właściwie wyszło sporo, ale inaczej, niż August sobie życzył – wojska saskie i polskie bowiem, zanim dotarły na miejsce, zaczęły tłuc się między sobą pod Lwowem, a na Litwie wybuchła znowu wojna domowa między Sapiehami a Radziwiłłami, Wiśniowieckimi, Pacami i Ogińskimi. Na dodatek elektor brandenburski Fryderyk III zajął Elbląg jako zastaw za niespłacone długi Rzeczypospolitej. August co prawda wiedział o tych planach kolegi na elektorskim stołku (bo władca Prus obiecał za Elbląg polskiemu królowi wsparcie, na wypadek gdyby jednak Conti się namyślił i powrócił), ale znowu nie trafił w polski sposób myślenia. W Rzeczypospolitej zawrzało i podniosły się głosy, aby to portowe miasto odebrać. No dobrze – akcja militarna zakończona sukcesem byłaby Augustowi bardzo na rękę (rokował jeszcze ze Szwedami wspólną akcję przeciw Brandenburczykom) i już, już August miał poprowadzić wojska ku zwycięstwu, gdy polski sejm zabrał głos i powiedział: Elbląg odebrać, ale na drodze rokowań. Żadnych działań zbrojnych. A wojska saskie odesłać do Saksonii – w Rzeczypospolitej może zostać jedynie tysiąc dwustu gwardzistów dla ochrony Króla Jegomości. Aha! I jeszcze sascy ministrowie mają zajmować się swoją Saksonią, a nie mieszać się do naszych, polskich spraw. I sascy urzędnicy mają siedzieć w Saksonii, nie w Polsce. August wyszedł na próbie wzmocnienia swojej władzy i polskiego państwa jak Zabłocki na mydle.

I wtedy cudownym zrządzeniem losu zakończyły się rokowania pokojowe z Turcją w Karłowicach. Polska bez jednego wystrzału odzyskała to, o co bezskutecznie walczył Sobieski – Kamieniec Podolski i te ziemie, które zostawały dotąd przy Turcji mocą traktatu w Buczaczu. Niewątpliwie sukces dyplomatyczny spowodował jednak wzrost i tak silnych tendencji pacyfistycznych wśród polskiej szlachty. Z nadziei na zdobycie wojennej sławy – nici.

Tymczasem Augustowi nadarzała się okazja do osadzenia dynastii na kolejnym tronie, tym razem dziedzicznym, a nie tak niepewnym jak elekcyjny w Rzeczypospolitej. Mieszkańcy tej części Inflant, która

znajdowała się pod zwierzchnictwem Szwecji, mieli już dosyć ciężkiej ręki Sztokholmu. Po cichu zaproponowali Sasowi, aby ich wybawił z tego zwierzchnictwa i sam, jako dziedziczny władca, im panował. Augustowi, jako że poznał już w Polsce „uroki" tronu elekcyjnego, ten pomysł przypadł do gustu. Ale na polską szlachtę, jako się rzekło, nie miał co liczyć. Przedstawiciele elektora prowadzili więc tajne rokowania w Kopenhadze i Moskwie – stolicach państw żywo zainteresowanych, z różnych powodów, pokonaniem Szwedów. Rozpoczęła się więc wojna, którą August prowadził jako elektor saski, a nie król polski – na wmieszanie w nią Polski sejm zgody nie dał. Wojna miała być taktycznym blitzkriegiem, tak lubianym przez Niemców, jak dowiodły wcześniejsze i późniejsze postępowania tej nacji. Niestety, jak to barwnie opisał Franciszek Bohomolec w kontynuacji *Kroniki* Marcina Bielskiego:

> W miesiącu Lutym Flemming Generał Saski około ośmiu tysięcy maiący, nagabiony od Szwedów, w Inflanty wtargnął, Rigę obległ: Kobereński szańc blisko miasta opanował y drugi na Dzwiną Dynamud nazwany do poddania się przymusił, gdy po iednym szturmie do drugiego się przybierał. Potym Flemming do Warszawy powrocił, woysko pod Rygą zostawiwszy, ktore za przyściem Szwedow na odsiecz, za Dzwinę się przeprawiło i tam się oszańcowawszy posiłkow czekało.

Z blitzkriegu nic nie wyszło. Mieszkańcy Rygi bramy zawarli, chłopom było wszystko jedno, komu służą, a szlachta, wbrew zapewnieniom opozycji, nie paliła się do poparcia Sasów. W dodatku młody król Szwecji Karol XII pokonał Duńczyków, czego się po tym żółtodziobie na tronie nikt nie spodziewał, a następnie dał łupnia carowi Piotrowi I pod Narwą. August czym prędzej przystąpił do rokowań, ale wtedy znać o sobie dali Polacy – na Litwie świeżo doszło do bitwy między Sapiehami a ich przeciwnikami pod Olkienikami. Sapiehowie zostali niemal rozsiekani żywcem, a te resztki, którym udało się przeżyć, ruszyły pod skrzydła Karola. Ten tylko na to czekał – miał teraz pretekst do wkroczenia na Litwę.

Chociaż wojna zaczęła się toczyć na terenie Rzeczypospolitej i Sas liczył, że teraz Polacy zerwą z postawą pacyfistyczną, to się przeliczył. Oficjalnie Rzeczpospolita nadal pozostawała neutralna, chociaż po jej terenie zaczynały w tę i z powrotem maszerować wszelkie wojska biorące udział w wojnie północnej, bo pod taką nazwą przeszedł do historii ten dwudziestoletni konflikt. Karol twierdził zaś, że Rzeczpospolita jest stroną

konfliktu, gdyż zerwany został pokój oliwski podpisany po potopie szwedzkim w 1660 roku. August ponowił próby negocjacji ze Szwedami – wysłał nawet jako swoją przedstawicielkę piękną byłą kochankę, pochodzącą ze Szwecji Aurorę von Königsmarck. Wszystko na nic. Król Karol okazał się nieczuły na wdzięki eksmetresy Augusta, a do szwedzkiego obozu zaczęli przybywać wszyscy ci Polacy, którzy z rządów Augusta byli niezadowoleni – między innymi przedstawiciele opozycji, których król obdarzył tytułami i urzędami, ale którzy czuli się zawiedzeni ich rangą bądź też złapali za dużo wiatru w żagle. Liczba Polaków w otoczeniu Karola stale rosła, aż August zadecydował o wydaniu rozstrzygającej bitwy. 19 lipca 1702 roku pod Kliszowem starły się siły szwedzkie z saskimi. Obecne były też oddziały polskie pod wodzą hetmana wielkiego koronnego Hieronima Lubomirskiego, które nagle wykonały przedziwny manewr umożliwiający zwycięstwo wojskom szwedzkim. Po prostu zeszły z pola bitwy, odsłaniając prawe skrzydło wojsk saskich i umożliwiając Szwedom zaatakowanie. Ta nowatorska taktyka wojenna całkowicie zaskoczyła Augusta i klęska Sasów była całkowita. Szwedzi zajęli, podobnie jak w 1655 roku, cały kraj i ich król zażądał detronizacji Augusta. Jako kandydata do tronu Karol XII wystawił Jakuba Sobieskiego.

Małopolska szlachta, mocno już poirytowana tym, że co chwila jacyś żołdacy rabują jej dobytek, zebrała się pod Sandomierzem. I, o dziwo, walnie poparła Augusta – dostał co prawda po głowie za to, że wmieszał Rzeczpospolitą w prywatną, bądź co bądź, wojnę, ale przecież nie będzie Szwed polskiej szlachcie dyktować, kto ma być jej królem! (O tym, że to właśnie obce dwory dyktują kandydatów podczas wolnej elekcji, jakoś nie pamiętali…) August zostaje i basta, a my jakoś obronimy Najjaśniejszą Rzeczpospolitą i naszego władcę przed Szwedami! Na fali tego entuzjazmu August zwołał sejm do Lublina na czerwiec 1703 roku i tam też uzyskał poparcie. Podczas tego samego sejmu zreformowano wstępnie system skarbowy i zwiększono liczebność armii. August nie mógł uwierzyć w to, co widział i słyszał – wreszcie szlachta chce coś w Polsce zmienić, chce walczyć ze Szwedami! A i osobisty tryumf odniósł król August – sejm zmusił prymasa Radziejowskiego do przysięgi, iż nie prowadził rozmów ze Szwedami. Prymas popełnił krzywoprzysięstwo. Posłowie wielkopolscy, których nie dopuszczono do obrad sejmu, zawiązali w Środzie konfederację (czyli lokalny związek szlachty stworzony dla osiągnięcia konkretnego

celu), niby dla paktowania ze Szwedami w sprawie pokoju, a *de facto*, by obalić Augusta. Dołączyli do niej i upokorzony Radziejowski, i Stanisław Leszczyński, wojewoda poznański. Prymas zwołał obrady konfederacji na początek nowego roku do Warszawy, ale nic nie wskazywało na to, że wybuchnie na nich polityczna bomba, która nieomal wysadzi saskiego elektora z królewskiego siodła. Ujawniono bowiem listy Augusta II, które Karolowi XII przekazała piękna emisariuszka Aurora. Zawrzało w szlacheckich głowach tak mocno, że ogłoszono detronizację Augusta. Nadszedł czas na przeciwuderzenie Sasa – znowu zwołał delegatów województw pod Sandomierz i tam 30 maja 1704 roku zawiązała się konfederacja, tym razem w obronie króla. Trzeba przyznać, że sam Sas nie ułatwiał działania swoim zwolennikom, bo często podejmował działania co najmniej pochopnie – tak jak w przypadku rozkazu porwania i uwięzienia w Saksonii Jakuba Sobieskiego – kandydata Karola XII do polskiego tronu – i jego brata Konstantego. PR-owo był to strzał w stopę – Europa oburzyła się na takie potraktowanie syna zwycięzcy spod Wiednia. Ale Karol został bez kandydata na miejsce Augusta. Postanowił więc, że polskim królem uczyni Stanisława Leszczyńskiego. I tak też szlachta zebrana na polu elekcyjnym 12 lipca 1704 roku uchwaliła. Nie w smak było to jednak polskim magnatom, którzy byli zdania, że równie dobrze każdy z nich, a nie Leszczyński, mógłby nosić koronę. Wśród nich był i hetman Hieronim Lubomirski – tak, ten sam, który pod Kliszowem wniósł niezapomniany wkład w strategię wojenną.

Po elekcji Leszczyńskiego (jego władza ograniczała się do tych obszarów, na których w danym momencie działały wojska szwedzkie) Augustowi potrzebny był sojusznik, który owych Szwedów usunie z Rzeczypospolitej. 30 sierpnia pod Narwą zawarto układ polsko-rosyjski, co oznaczało oficjalne przystąpienie Rzeczypospolitej do wojny ze Szwecją. Car Piotr I zobowiązywał się wspomóc Polskę wojskowo, ale również zwrócić Inflanty, jeśli Rosjanie odbiją je Szwedom. Uskrzydlony tym porozumieniem August ruszył ku Warszawie i odbił ją z rąk Szwedów, a następnie wyjechał do Saksonii, aby przygotować rodzinny kraj na wypadek szwedzkiego ataku i zebrać środki na dalsze prowadzenie wojny. Tymczasem Szwedzi zajęli Warszawę ponownie. August zbierał pieniądze na dalsze prowadzenie wojny, chociaż dziwnym trafem lwią ich część pochłaniały dworskie uroczystości, bale, polowania i maskarady urządzane

ku czci najnowszej metresy – Anny Hoym, znanej szerzej jako hrabina Cosel.

Rozrzutność miała się na Auguście niebawem zemścić. Karol bowiem po doprowadzeniu do koronacji Stanisława Leszczyńskiego (złamano tradycję i uroczystość odbyła się w Warszawie) 5 października 1705 roku miał z kim negocjować warunki pokoju. Pokoju, który *de facto* czynił z Rzeczypospolitej, jeśli nie szwedzką kolonię na południowym brzegu Bałtyku, to co najmniej państwo wasalne. Nawet najbliżsi sojusznicy Karola XII nie mogli przełknąć tej gorzkiej pigułki. Z tych nastrojów skorzystać chciał August II – w listopadzie 1705 roku spotkał się w Tykocinie z carem Piotrem I. Oprócz tego, że tęgo popijali, a król August chwalił się łamaniem podków w rękach i ustanowił Order Orła Białego, by mieć czym nagradzać, skoro talarów często brakowało, to ustalili plany militarnych działań na przyszły rok. Władcy założyli, że Szwedzi nie wytrzymają ataku z dwóch kierunków, dlatego Rosjanie uderzą na nich od strony Litwy, a Saksończycy na Szwedów siedzących w Wielkopolsce. Plan był może i dobry, ale zawiodło wykonanie. Szwedzi potrzebowali zaledwie pół godziny, aby 13 lutego 1706 pod Wschową dosłownie zmieść saskie wojska. Teraz bez przeszkód mogli uderzyć na Rosjan, którzy jednak przezornie wycofali się z terytorium Rzeczypospolitej.

Karol postanowił ostatecznie wyeliminować saskiego elektora z gry o polski tron i ruszył do jego matecznika – Saksonii. August, jak już była mowa, przygotowaniami do obrony kraju zajmował się tylko w chwilach wolnych od zdobywania serca hrabiny Cosel, więc ostatecznie państwo było całkowicie bezbronne. Polski król, w momencie zajmowania jego kraju przez dalekich potomków wikingów, których obyczaje jednak były wśród agresorów wciąż żywe, wysłał przedstawicieli na rokowania pokojowe. Pokój zawarto 24 września 1706 pod Lipskiem we wsi Altranstädt. Szwedzkie warunki były drakońskie: August tracił tytuł króla Polski (ale dożywotnio miał być tytułowany królem, bez wskazywania – królem czego), Saksonia miała zapłacić gigantyczną kontrybucję i utrzymywać na swoim terytorium wojska okupacyjne. Jakub Sobieski został zwolniony z twierdzy, gdzie go więziono, ale Leszczyński, wbrew wcześniejszym zobowiązaniom, nie przekazał mu korony (argumentując, że już został uznany za króla Polski przez większość europejskich władców). Najgorzej jednak wyszedł na pokoju w Altranstädt Inflantczyk Jan

Reinhold Patkul, przywódca tamtejszej antyszwedzkiej opozycji. To on namówił Augusta do zawarcia porozumienia z Rosją przeciw Szwedom, ale w czasie gdy toczyły się rokowania, był w elektorskiej niełasce i tkwił w więzieniu. Ponieważ Karol XII nie zapominał i nie wybaczał, jednym z punktów pokoju było wydanie Szwedom Patkula. Zginął, z rozkazu królewskiego, połamany kołem.

Król August II miał w tej wojnie fart – jeden jedyny raz. Rokowania już się zakończyły, warunki pokoju zostały ustalone, a tutaj, proszę, August zwycięża Szwedów pod Kaliszem 29 X 1706 roku. Tyle tylko, że swojego zwycięstwa wykorzystać nie potrafił – pokój z Altranstädt stał się faktem. Szwedzi rozsiedli się w Saksonii, rozsiedli się w Polsce. Łupili wszystkich bezlitośnie podatkami, bo Karol gromadził środki na kolejną wojnę – teraz przyszła kolej na Rosję. August, kiedy wreszcie w roku 1707 Szwedzi opuścili Saksonię, zajął się porządkowaniem gospodarki państwa – wprowadził akcyzę, popierał targi lipskie i bawił się jak niegdyś. Ale bolało go to, że car Piotr I przestał go w ogóle poważać (to za zawarcie ze Szwedami separatystycznego pokoju), że Europa uznała Leszczyńskiego królem Polski (tylko papież tego nie zrobił). Odbudowywał armię saską i sam jako ochotnik walczył w wojskach cesarskich w Niderlandach. Ale dyskretnie nadstawiał ucha, co się dzieje w Polsce. Nadal w kraju miał bowiem zwolenników, członków konfederacji sandomierskiej. To z nimi po cichu paktował Piotr I, a oni, nie bacząc, że car się obraził na saskiego elektora, widzieli na tronie tylko Augusta.

I nagle – zwrot akcji. Bitwa pod Połtawą 8 lipca 1709 roku i całkowita klęska Szwedów pokonanych przez Rosjan. August II wraca do Polski jako król. I zaczyna rządzić, wykorzystując panujący bałagan i niechęć do hetmanów, którzy w czasie wojny wyrośli do rangi niemal „królewiąt”. Poza tym niespodziewanie przeciw Polsce przygotowania wojenne zaczęła prowadzić Turcja. August wprowadził więc do Polski saskie wojska i zaczął przemyśliwać o czymś więcej niż tylko o trwaniu w zastanej sytuacji. Postawił sobie kolejny raz poważne zadania: znieść liberum veto, zreformować rząd, by wreszcie rządził krajem, i doprowadzić do wyboru na króla Polski syna jeszcze za życia panującego króla. Precedens istniał – w XVI wieku Zygmunt August został koronowany na króla Polski w wieku dziesięciu lat, jeszcze za życia ojca. Ale kolejny raz król August okazał się marnym znawcą psychologii polskiej szlachty. Jej wojenny entuzjazm,

jakże nikły, już wygasł: chciała handlować zbożem, siedzieć w swoich dworkach i zagrodach i niczego nie zmieniać. Kiedy więc w wyniszczonym kraju pojawiły się saskie wojska, które trzeba było wykarmić, padały ofiarą spontanicznych napadów szlachty i chłopów.

Wreszcie w roku 1715 w Tarnogrodzie zawiązano kolejną konfederację – z zamiarem zdetronizowania Sasa. Konfederaci raz po raz odnosili w walce z Sasami sukces, co było o tyle bolesne dla króla, że siłami konfederackimi często dowodzili Polacy kształceni w Dreźnie w tamtejszym korpusie kadetów z polecenia samego Augusta. Ten zaproponował bezpośrednie rozmowy i ugodę, ale konfederaci domagali się mediatora i wskazali na cara Piotra I. Król się zgodził i tym sposobem do Polski weszły wojska rosyjskie. Rosjanie stanęli wzdłuż Wisły i pod ich czujnym okiem rozpoczęły się rozmowy. W 1716 roku zawarto kompromis, który potwierdzono rok później na sejmie, nazwanym „niemym", gdyż nie przewidziano na nim żadnej dyskusji. Kompromis był obustronny: konfederaci zrezygnowali z postulatu detronizacji Augusta (który to już raz musiał on się liczyć z utratą władzy w Polsce?), a król zobowiązał się, że nie wprowadzi więcej wojsk saskich do Polski i sascy ministrowie nie będą mieszać się do spraw polskich. Wprowadzono też pewne reformy, jak ograniczenie roli hetmanów, zwiększono liczbę wojska na stopie pokojowej do 24 tysięcy i uchwalono stałe podatki na jego utrzymanie. Król August z uporem maniaka, a raczej z przeświadczeniem o powinności dobrego władcy, usiłował na różne sposoby zreformować Polskę, wyciągnąć kraj z głębokiej zapaści politycznej i gospodarczej. Wydawał więc uniwersały, w których wzywał do opiekowania się poddanymi. Naprawę zaczął od siebie: zreformował zarządzanie dobrami królewskimi, które zaczęły dzięki temu przynosić większe dochody, ale polska szlachta nie chciała brać z władcy przykładu. Panowie bracia wiedzieli przecież lepiej, jak się gospodaruje.

Kolejny raz plany ściślejszego zespolenia Polski i Saksonii wzięły w łeb – unia nadal pozostawała tylko personalna, a następstwo tronu nad Wisłą nie było zagwarantowane. Gwarantem uchwał sejmu „niemego" chciał być Piotr I, który liczył, że w ten sposób zagwarantuje sobie możliwość ingerowania w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Na to jednak nie zgodziła się ani szlachta, ani polski król. Nie podobało to się również Habsburgom – wzrost wpływów Rosji w Europie nie leżał w ich interesie.

W 1719 roku August, co prawda jako elektor saski, ale z możliwością poszerzenia „zasięgu” na Rzeczpospolitą, przystąpił do układu zawartego w Wiedniu przez cesarza Karola II i króla Anglii Jerzego, który to traktat miał storpedować plany cara. Koniec końców jednak polski sejm owego traktatu nie ratyfikował (w ruch poszło rosyjskie złoto), czym wprawił w niemałą złość króla. Zależało mu bowiem bardzo na zbliżeniu z cesarstwem niemieckim wobec zbliżenia Francji (po śmierci Ludwika XIV w 1715 roku) do Rosji. Znamiennym elementem owej prohabsburskiej orientacji Augusta był ślub następcy saskiego tronu Fryderyka Augusta z Marią Józefą Habsburżanką, córką poprzedniego cesarza – Józefa I. Za to Rosja zawarła układ z Turcją gwarantujący niezmienność ustroju Rzeczypospolitej. Rok później taki traktat Rosja zawarła też z Prusami, a w 1724 przystąpiły do niego Austria i Szwecja. Piotr I „zapomniał” więc podczas rokowań pokojowych kończących wojnę północną o swoim zobowiązaniu wobec Augusta o przekazaniu mu Inflant po odebraniu ich Szwedom.

Doszliśmy do momentu, gdy w życiu Augusta II, a i jego syna – przyszłego Augusta III – pojawia się ten, o którym była mowa na początku. Ten, którego (słusznie bądź nie) potomni obdarzą przydomkiem „Wielki”, czyli Fryderyk, przyszły władca Prus. Jest rok 1718 i z wizytą do Drezna wybiera się król Prus Fryderyk Wilhelm I, zwany powszechnie z racji upodobań i zachowania królem sierżantem. O tym, aby pojechał z nim szesnastoletni syn, następca tronu, król nie chce nawet słyszeć. Stosunki między ojcem a synem, delikatnie mówiąc, nie układały się najlepiej. Ojciec uważał bowiem syna za „mięczaka”, niezdolnego do objęcia w przyszłości rządów w kraju. Polecił, aby kształcić go w duchu pruskiego drylu – zabraniał synowi tego wszystkiego, co sprawiałoby chłopcu radość, a co zdaniem ojca osłabiało jego charakter: gry na flecie, czytania filozofów. Siostra Fryderyka, Wilhelmina, tak opisała to w swoich pamiętnikach: „Ten nieszczęsny książę nie miał najmniejszego wytchnienia, muzyka, lektura, nauka i sztuki piękne stanowiły karygodne występki surowo mu zabronione. […] Mimo zakazów króla przykładał się do nauk ścisłych i robił w nich duże postępy”. W późniejszym czasie Fryderyk Wilhelm I każe nawet uwięzić syna w twierdzy w Kostrzynie, oskarżywszy go o zdradę stanu. Kazał też dokonać na oczach Fryderyka egzekucji jego

najbliższego przyjaciela. Trudno więc się dziwić, że Fryderyk marzył o wyrwaniu się z dusznej atmosfery berlińskiego dworu.

Taką okazją była wizyta w Dreźnie. Chłopak użył wszelkich zakulisowych sztuczek oraz kontaktów – i osiągnął sukces: saski elektor wyraził życzenie, aby i następca pruskiego tronu przyjechał do stolicy Saksonii. Tam dopiero Fryderyk zobaczył, co to znaczy żyć po królewsku: wystawne uczty, bale, pokazy fajerwerków, polowania, a przede wszystkim dwór, bo jak wiadomo, to dwór czyni króla. Dwór pełen przepychu, gdzie króla otaczali modnie odziani dworacy, polscy magnaci w egzotycznych strojach i przede wszystkim piękne kobiety, bo August znany był szeroko z temperamentu i bujnego życia erotycznego. Najprawdopodobniej wówczas, w tych nader swobodnych obyczajowo okolicznościach, doszło do inicjacji młodzieńca. Już samo to wystarczyłoby, żeby Fryderyk zapamiętał na długo pobyt w Dreźnie. Lecz nawet gdyby pamięć okazała się zawodna, to zapomnieć nie dawała tajemnicza choroba, wymagająca wręcz interwencji chirurgicznej. Wilhelmina kwituje to w pamiętnikach jednym, ale za to jakim, zdaniem: „Odgadnięto w końcu, że źródłem zła jest miłość”. Istnieje więc podejrzenie, że późniejsza, chorobliwa wręcz niechęć Fryderyka do kobiet wiąże się z tą przypadłością.

Jeśliby przy tym założyć, że owa piękność, która obdarzyła pruskiego następcę tronu przykrą dolegliwością, pochodziła znad Wisły, a nie znad Łaby, wówczas wszystko ułoży się w nieco naciąganą, ale logiczną całość. Historia zna przecież przypadki osobistych uraz, które rzutowały później na dzieje świata. Wisienką na owym torcie spekulacji historycznych może być rozkaz bezlitosnego bombardowania Drezna wydany w czasie wojny siedmioletniej przez Fryderyka II i równie bezlitosne traktowanie jego mieszkańców przez pruskich okupantów.

Wizyta w Dreźnie, a i późniejsza rewizyta sasko-polskiego dworu w Berlinie (Wilhelmina nie bez złośliwości zanotowała o królu-ojcu: „dopóki cudzoziemcy byli w Berlinie, dopóty kazał podawać czternaście dań, co było niemałym wysiłkiem jak na tego władcę”) to pierwsze kontakty Fryderyka z Polakami. Kolejne kontakty nawiązał pięć lat później. W Królewcu w latach 1733–1735 przebywał, licząc na ponowne objęcie tronu po Auguście II, Stanisław Leszczyński. O ile sam Leszczyński wywarł na następcy pruskiego tronu dobre wrażenie (nie bez znaczenia był fakt, że Leszczyński od kilku lat był teściem króla Francji Ludwika XV

i Fryderyk zastanawiał się, czy poparcie starań Leszczyńskiego o powrót na tron leży w interesie Prus), o tyle w jego polskim otoczeniu Fryderyk dopatrzył się samych negatywnych cech. Denerwowali go: tępe szlachciury, butni magnaci wiszący u klamek obcych dworów, skłonni do bitki (zwłaszcza po wypitce). Ich zachowanie drażniło młodego kronprinza tym bardziej, iż mocno kontrastowało z erudycją i obyciem tego, któremu towarzyszyli.

Fryderyk do Królewca przyjeżdżał często, by na polecenie ojca dokonywać inspekcji kraju, i snuł z polskim królem dyskusje filozoficzne. Leszczyński w oczach Fryderyka był jednak wyjątkiem. Po doświadczeniach drezdeńsko-królewieckich (pamiętajmy, że te drezdeńskie, miłe z początku, miały jednak traumatyczne skutki) oceniał Polaków jednoznacznie, jako „głupie społeczeństwo z nazwiskami na -ski". Obserwacje te, pogłębione przez lektury i oczywiście wysyłanych do Polski szpiegów, wystarczyły, aby przyszły król w roku 1738 w dziele na temat politycznej kondycji Europy „rozjechał" Polskę jako kraj. Otóż według Fryderyka Rzeczpospolita to państwo rządzone przez intrygantów i kobiety (szczególna zbrodnia, jeśli wziąć pod uwagę jego negatywny stosunek do płci piękniejszej), wywodzących się z beznadziejnie nierozumnej szlachty, z doszczętnie upadłą gospodarką, brakiem miast i mieszczan z prawdziwego zdarzenia. Wszystko to zipie jako tako tylko dlatego, że wszelkie braki potrafią załatać Żydzi (tych, jak już była mowa, Fryderyk nie znosił na równi z kobietami). I chociaż popełnił ów opis, jeszcze zanim został królem w roku 1740, to zdania nie zmienił do końca życia, czyli przez kolejnych czterdzieści sześć lat.

Wobec Polski, chociaż trzeba przyznać, że nie tylko wobec niej, przyjął postawę Machiavellego, aczkolwiek tylko połowicznie. Wobec fatalnego stanu państwa nie musiał bywać lwem – wystarczało być lisem. I znowu Rzeczpospolita, chociaż oficjalnie w wojnie siedmioletniej udziału nie wzięła, stała się miejscem przemarszów wojsk pruskich i rosyjskich. Celem wojennej awantury była co prawda Saksonia, ale ponieważ Polska pozostawała z nią w unii personalnej przez osobę króla Augusta III, syna Augusta II, to właśnie na Polskę spadły koszty prowadzenia wojny i wszelkie związane z tym koszmary. Król pruski traktował poslkie pogranicze jak własny folwark. Jego żołdacy porywali rekrutów do pruskiej armii z Wielkopolski, zmuszał tamtejszych protestantów, aby

„dobrowolnie” przenosili się do Brandenburgii i zajmowali odbudową zniszczonego podczas wojny regionu. Grabieże i gwałty były rzeczą normalną, nienormalną zaś to, że pruski król nałożył na część terytorium suwerennego państwa kontyngent, by wesprzeć własnych poddanych. Oczywiście, jako pruski władca, miłośnik prawa, płacił za obowiązkowe dostawy, tylko że… cenę blisko dziesięciokrotnie niższą od rynkowej. Kolejny rozbój w biały dzień!

Jeśli trafiały do Fryderyka skargi na niegodne postępowanie, takie jak złożył polski wysłannik Kasper Rogaliński, król wysłuchiwał ich z doskonale odgrywanym niedowierzaniem. Najpierw odpowiadał, że zarzuty są niesłuszne. Jeśli przedstawiano mu dowody, wówczas zapewniał, że jeśli rzeczywiście coś takiego się zdarzyło, to prawdopodobnie wskutek nadgorliwości lub niesubordynacji podwładnych. Że, oczywiście, sprawę poleci zbadać i wyjaśnić. I na tym się kończyło. Bo tak naprawdę pruski król zawsze kazał przestrzegać zasady: niczego nie wyjaśniać i za nic nie płacić. Wszystko to jednak błahostki w porównaniu z operacją, której Fryderyk II dokonał na polskim systemie płatniczym. Po zajęciu Drezna w roku 1756 w tamtejszych mennicach kazał przejąć stemple do bicia polskich monet i fałszował je na potęgę, bijąc monety we Wrocławiu. Pieniądze te zawierały stopniowo coraz mniej srebra, aż do zaledwie 1,5 grama, co oznaczało, że ich wartość zamiast 38 groszy, jak stanowił oficjalny kurs, wynosiła poniżej 15 groszy. Te sfałszowane monety płynęły szerokim strumieniem w każdy możliwy sposób do Polski, a Prusy miały tym sposobem za co prowadzić dalej wojnę. Historycy szacują straty poniesione z tego tytułu przez Rzeczpospolitą na gigantyczną kwotę 30–35 milionów talarów.

Jak to możliwe, że Fryderyk II, władca dość niewielkiego przecież kraju, mógł bezkarnie „doić” jedno z największych państw Europy? Jakim sposobem Fryderykowi udawało się z łatwością wprowadzać w życie credo dotyczące Polski, które brzmiało: „Interes mój wymaga zawsze, aby sprawy polskie pozostawały w stanie pewnego zamieszania i aby żaden sejm nie zdołał się utrzymać”? Przyczyn należy szukać w sytuacji wewnętrznej samej Rzeczypospolitej, ale i międzynarodowej. Kiedy Fryderyk został koronowany w roku 1740, od siedmiu lat polską koronę dzierżył August III, syn Augusta II. Saski elektor tron objął bezprawnie, bo w wyniku drugiej

elekcji zwołanej nielegalnie do wsi Kamień pod Warszawą, podczas gdy obrady właściwej elekcji trwały tradycyjnie na Woli. Kandydatem pewniakiem był Stanisław Leszczyński, raz już przecież koronowany, ale wówczas jego wybór narzuciły szwedzkie bagnety, a teraz sama brać szlachecka po Niemcu chciała mieć na tronie znowu „Piasta". Tylko że obecności akurat tego „Piasta" nie chciały państwa sąsiedzkie: Rosja, Prusy i Austria, gdyż wybór Leszczyńskiego, teścia króla Francji, naruszyłby równowagę między tymi mocarstwami.

Obecność Wettyna nie odpowiadała im z innego powodu. Związek Saksonii i Rzeczypospolitej za panowania Augusta II był tylko unią personalną – oba kraje łączyła osoba władcy i właściwie nic więcej. Król Sas widział jednak duży potencjał polityczny, gospodarczy i militarny, który chciał obudzić, dlatego usiłował tę unię zacieśnić. I właśnie to nie w smak było Austrii, Rosji i Prusom, które wolały, by Rzeczypospolita nadal pozostała państwem bardziej egzystującym niż funkcjonującym. Taką gwarancję dawał kandydat całkowicie oderwany i niezorientowany w polskiej rzeczywistości – portugalski infant Emanuel Bragança. Jego kandydatura była jednym z postanowień tajnego traktatu Loewenwolda (od nazwiska rosyjskiego posła w Berlinie). Król Prus początkowo wahał się, czy podpisać dokument, więc na zachętę Hohenzollernom obiecano przejęcie tronu w Kurlandii po śmierci ostatniego z przedstawicieli tamtejszej dynastii Kettlerów. Fryderyk Wilhelm owszem, porozumienie podpisał 13 grudnia 1732 roku, ale od razu postanowił ugrać też coś dla siebie i zwrócił się do Augusta II z propozycją wsparcia go w próbach zreformowania Rzeczypospolitej i zapewnienia następstwa synowi w zamian za dokonanie rozbioru Polski. August na taki plan odpowiedział kontrofertą – zamiast dzielić się Rzeczpospolitą, podzielmy się Austrią: niech Prusy i Saksonia zajmą te części cesarskiego dziedzictwa, do których roszczą pretensje.

Śmierć Augusta II przerwała te rozmowy prusko-saskie, ale i układ Loewenwolda nie wszedł w życie – obalił go polski sejm, decydując, że kandydat na polskiego króla musi być katolikiem i Polakiem. Emanuel katolikiem niewątpliwie był, gorzej z jego polskością. Niezbyt wyśrubowane, ale jasne kryteria królewskiego castingu w tych okolicznościach spełniał tylko Leszczyński. W świetle sejmowej uchwały postanowienia paktu „trzech czarnych orłów" (tak nazwano później traktat

Loewenwolda) nie miały więc sensu i całą dyplomatyczną robotę Austria, Rosja i Prusy mogły wyrzucić do kosza. Dało to pole do działania saskiej dyplomacji, która pozyskała poparcie Rosji w zamian za obietnicę przekazania książęcego tronu Kurlandii faworytowi carycy Elżbiety. Austria w tej sytuacji nie chciała zadzierać z Rosją, a ostatecznie przekonało ją uznanie przez saskiego elektora sankcji pragmatycznej z 1713 roku (tak nazywano każdy dekret cesarski, ale ten był szczególnie ważny) wyznaczającej w razie braku męskiego potomka Marię Teresę, córkę cesarza Karola VI, na jego następczynię. Do tej pory Fryderyk August się temu sprzeciwiał i rościł prawa do tronu dla swojej żony, Marii Józefy, córki Józefa I – poprzedniego cesarza i starszego brata Karola VI. Austria udzieliła więc polskiemu królewiczowi wsparcia.

Nadszedł czas elekcji. Złoto z obcych dworów, niestety już tradycyjnie, sypało się do wielu kieszeni. Ostatecznie za Leszczyńskim opowiedziało się trzynaście tysięcy „szabel”, natomiast za Sasem – kilkanaście razy mniej. Tylko że bardziej od głosów polskiej szlachty liczyły się rosyjskie bagnety wspierające Wettyna. Zwolennicy Leszczyńskiego usunęli się do Gdańska, licząc na wsparcie francuskiego zięcia – zięć wsparcie przysłał, ale nader mizerne, i po długiej obronie Gdańsk, pierwszy raz od czasów zajęcia go przez Krzyżaków na początku XIV wieku, skapitulował. Do miasta wkroczyli, też po raz pierwszy, ale nie ostatni, Rosjanie. Leszczyński z poplecznikami zbiegł do Królewca, gdzie, jak już była mowa, poznał przyszłego króla Prus.

W czasie gdy Gdańsk się bronił, na drugim końcu kraju, w Krakowie, trwały przygotowania do koronacji elektora saskiego Fryderyka Augusta i jego małżonki Marii Józefy, na króla i królową Rzeczypospolitej. Ale, pożal się Panie Boże, co to była za koronacja! Nie tak wyobrażał sobie objęcie schedy po ojcu nowy król August III, bo czego jak czego, ale splendoru we wszystkim, co robił poprzedni król Polski, nigdy nie brakowało. Tymczasem 17 stycznia 1734, w dniu koronacji, katedra wawelska była tylko jako tako udekorowana, pomniejsi biskupi (wobec opowiedzenia się prymasa Teodora Potockiego za Leszczyńskim) kłócili się o to, kto ma przewodniczyć uroczystości, a orszak królewski ledwo udało się skompletować. Senatorów pojawiło się jedynie tylu, aby każde z insygniów królewskiej pary niosły senatorskie dłonie. Co więcej – korony, berła i jabłka oraz miecz koronacyjny August musiał sprawić

własnym sumptem, bo te używane od wieków i przechowywane w krakowskim skarbcu zwolennicy Leszczyńskiego wywieźli po kryjomu do Warszawy. Po koronacji, jako prywatne precjoza, król zabrał „swoje" insygnia do Drezna, dzięki czemu przetrwały pruską grabież w roku 1795. Senatorskich żon na uroczystości pojawiło się jeszcze mniej niż samych senatorów, więc orszak królowej utworzono *ad hoc* ze szlachcianek. Nie było przedstawicieli wielu stanowisk dworskich, więc ich role na czas koronacji powierzono saskim oficerom. Po uroczystości nie odbył się tradycyjny sejm koronacyjny – obrady otwarto, ale szybko je przerwano – frekwencja była żenująco mała.

O, rację miał August II, gdy przestrzegał syna, iż korona polska równa jest koronie cierniowej. A przecież był to dopiero początek trzydziestoletnich rządów króla z niemieckiego kraju. Ledwo dopełniono uroczystości, August III musiał wracać do Drezna, aby zabezpieczyć Saksonię przed ewentualnym atakiem z jednej strony Francji, której król Ludwik XV domagał się zwrotu tronu swojemu teściowi, a z drugiej – powtórki wyczynu Karola XII, czyli zajęcia Saksonii przez zwolenników Leszczyńskiego. Na zachodzie Europy trwała już bowiem wojna wypowiedziana przez Francję Austrii. Konflikt ten przeszedł do historii jako wojna o sukcesję polską. Uczestniczyły w nim ponadto Hiszpania, Dania, Bawaria, Prusy i Rosja – w rzeczywistości chodziło o zdobycie dominacji w Europie bądź utrzymanie równowagi między mocarstwami.

Wojna zakończyła się po dwóch latach. Leszczyński zrzekł się tytułu króla Polski, ale otrzymał w zamian dożywotnio księstwo Lotaryngii zdobytej przez Francuzów (jak widać, kto ma zięcia na odpowiednim stanowisku, ten ostatecznie źle na tym nie wyjdzie), hiszpańska gałąź Burbonów zajęła Królestwo Neapolu, a Austria – Toskanię. Chciałoby się powiedzieć: gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Neapol, gdzie Polska? No właśnie – Polska w wyniku wojny toczącej się o jej tron nie zyskała niczego, musiała za to znosić kolejne przemarsze obcych wojsk, a na koniec pogodzić się z jeszcze silniejszymi wpływami Rosji.

Ruchawka wywołana przez konfederację dzikowską zawiązaną w obronie praw Stanisława Leszczyńskiego do polskiego tronu trwała przez trzy lata. August III dopiero zaczynał odczuwać na własnej skórze to, co ojciec miał na myśli, gdy mówił o koronie cierniowej. Nowy król, podobnie jak ojciec, zamierzał przeprowadzić reformy wewnętrzne. Co ciekawe,

o konieczności zmian ustrojowych, takich jak ograniczenie liberum veto i zreformowanie zasad obrad sejmu oraz sejmików, przeprowadzenie reform skarbowych i wojskowych, wprowadzenie cła generalnego (można właściwie powiedzieć, że niemal każdy z królów elekcyjnych zamierzał przeprowadzić te same reformy), mówiły też magnackie koterie skupione wokół potężnych rodów Czartoryskich i Potockich. Tyle że na mówieniu się kończyło, bo kiedy na sejmie przychodziło do konkretów, to zrywali go stronnicy bądź jednej, bądź drugiej grupy. Nad interesem państwa przeważały bowiem partykularne interesy magnatów i stronnictwo dworskie mogło liczyć w danej chwili na poparcie tych, którzy akurat w danym momencie mieli interes w utrzymaniu dobrych kontaktów z królem. Nigdy nie były to obydwa stronnictwa jednocześnie, więc August nie mógł wprowadzić w życie żadnego ze swoich szczytnych zamiarów. Co więcej – za jego panowania nie został zerwany tylko jeden sejm – pacyfikacyjny w roku 1736. I cóż z tego, że monarcha, wbrew rozpowszechnianym przez przeciwników paszkwilom zarzucającym mu gnuśność i lenistwo, był jednym z najbardziej pracowitych polskich władców? Wstawał o trzeciej w nocy, by po wypiciu filiżanki czekolady dokonać przeglądu depesz i dokumentów nadesłanych poprzedniego dnia. Między siódmą a ósmą rano robił przerwę w przeglądaniu dokumentów, ale nie przestawał pracować – wypijał filiżankę herbaty w towarzystwie któregoś z dworzan wysokiej rangi i wysłuchiwał najnowszych wieści oraz plotek dworskich. Od ósmej królewski czas należał do Henryka Brühla – wszechwładnego pierwszego ministra. Z tej pracowitości jednak niewiele wynikało, ponieważ Polacy, jak gdyby na złość działającemu z niemiecką skrupulatnością władcy, utrzymywali stan bezwładu państwa.

Punktualnie o godzinie jedenastej zaczynała się msza – moment, kiedy król szedł do kaplicy, był okazją do przekazywania mu próśb i skarg. Oczywiście przez tych szczęśliwców, którym udało się dostać na pałacowe pokoje. Dworacy i inne osoby przekazujące prośby przyklękali, by pocałować króla w rękę i w skrócie wyłuszczyć swoją sprawę. August albo podawał dokument paziowi idącemu z tyłu, albo chował do kieszeni i odczytywał po powrocie z mszy. Następnie przekazywał decyzję odpowiedniemu ministrowi bądź dworskiemu dostojnikowi do nadania biegu sprawie. Powrót po mszy był kolejną okazją do przedstawienia próśb. O pierwszej po południu król zasiadał do obiadu sam lub w towarzystwie

licznej rodziny. Potem czas na rozrywkę – ulubione polowania bądź przedstawienie w teatrze. August uwielbiał operę włoską, więc zarządził, że w dzień po premierze przedstawienie w Operalni w Ogrodzie Saskim będzie zawsze bezpłatne. Polacy nie okazywali monarsze wdzięczności za ten gest – ponoć bywało, że straż zganiała publiczność, aby zapełnić widownię. A przecież opera miała w Warszawie bogatą tradycję – Władysław IV był jej wielkim miłośnikiem. Jeśli nie zaplanowano żadnych uroczystości dworskich, August kładł się spać dosyć wcześnie. Jeśli jednak miała się odbyć jakaś dworska gala – bal czy uczta – król brał w niej udział. Nie były to już prowadzone z takim rozmachem pokazy fajerwerków, parady wojskowe czy wystawne bale. Nie pozwalał na to stan królewskiej szkatuły, zwłaszcza pod koniec panowania Augusta odciętego przez Prusaków od Saksonii. Ale nawet i ten król mógł się pochwalić czymś, co przeszło do światowych przysłów. Chociaż sam był potężnej tuszy, to uczty wydawane przez niego nie były masowym obżarstwem. Wręcz przeciwnie – powiedzenie „Jadłem jak u polskiego króla” oznacza wykwintną kuchnię. Niemcy muszą więc przełknąć tę gorzką pigułkę, że przysłowie nie brzmi „Jadłem jak u saskiego elektora”…

August III zmarł 5 października 1763 roku w Dreźnie, tam też został pochowany. Jak zapewniała strona polska – tymczasowo, do czasu, aż okoliczności nie pozwolą na sprowadzenie prochów władcy na Wawel i złożenia ich obok ciała ojca. Czekają do dzisiaj, jako że w Polsce nic nie jest tak stałe jak prowizorka. Fryderyk II skwitował zgon Augusta III w liście do brata Henryka dosyć cynicznie następującymi słowami: „I oto król Polski jak głupi pozwolił sobie umrzeć; muszę Ci wyznać, że nie lubię ludzi, którzy robią wszystko w niewłaściwym momencie”. Moment był istotnie niewłaściwy, bo śmierć polskiego króla oznaczała wolną elekcję i walkę o to, czyj kandydat zajmie wakujący tron i czyje interesy będzie reprezentował. Taka perspektywa była nie na rękę Fryderykowi. Państwa, które brały udział w zakończonej kilka miesięcy wcześniej wojnie siedmioletniej, w tym Prusy, wychodziły z konfliktu mocno osłabione, ale równowaga między mocarstwami została zachowana. W dodatku rysowało się zbliżenie prusko-rosyjskie, a Rosja uznawała Polskę za znajdującą się w jej strefie wpływów. Prusy nie byłyby w stanie wytrzymać ciężarów kolejnej wojny, a przypomnijmy, że wojnę siedmioletnią prowadziły za

pieniądze wydzierane różnymi niegodziwymi sposobami właśnie z Rzeczypospolitej.

Zgodnie z wolą pewnej rodaczki Fryderyka (która co prawda przyszła na świat w prowincjonalnym, niedawno odebranym Szwedom Szczecinie jako Zofia Fryderyka Augusta von Anhalt-Zerbst, ale zrobiła kolosalną karierę i świat usłyszał o niej jako o Katarzynie II, carycy Rosji) królem Polski został Stanisław Poniatowski, stolnik litewski, ale co ważniejsze – dawny kochanek owej damy. Poniatowski miał ambicję zreformowania kraju, tak zresztą jak i jego poprzednicy. Liczył w tym względzie na łaskawe przyzwolenie byłej kochanki w carskiej koronie, ale Fryderyk II nie zamierzał tolerować żadnych zmian na lepsze w Rzeczypospolitej. Już pierwsze nieśmiałe próby reform gospodarczych i ustrojowych nad Wisłą wywołały u niego spory niepokój. Poszło o cło generalne – wprowadzenie go dawało duże korzyści finansowe Skarbowi Państwa i kończyło całkowitą bezkarność Prus w dławieniu polskiej gospodarki. Złość Fryderyka była wielka i szybko znalazł rozwiązanie, aby tę sytuację zdławić – kazał ustawić w Kwidzynie komorę celną i gwałcąc swobodę żeglugi wiślanej, zebrał w ciągu trzech miesięcy 5,6 miliona złotych polskich. Rzeczpospolita się ugięła i cło generalne zostało zawieszone.

Fryderyk zrozumiał jednak, że czasy marazmu saskiego minęły i Polacy niebawem wyskoczą z kolejnym pomysłem. Pruski władca słał więc do Petersburga kolejne doniesienia szkodzące Polsce, sugerując rodzące się próby wyrwania Rzeczypospolitej spod rosyjskiej kurateli. Sytuację zaostrzyła jeszcze bardziej sprawa dysydentów, czyli wyznawców prawosławia, wyciągnięta przez Rosję dla uzasadnienia ingerencji w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. W rezultacie w 1768 roku w Barze na Podolu szlachta zawiązała konfederację w imię obrony swoich praw i religii katolickiej, skierowaną przeciw Poniatowskiemu i Rosji. W kraju zapanował ponownie chaos. Konfederaci szukali wsparcia na obcych dworach, nawet w Poczdamie. Fryderyk zachowywał się dwuznacznie – z jednej strony pozwalał konfederatom szukać schronienia na Śląsku, z drugiej po cichu negocjował z Rosją i Austrią zabór części ziem polskich pod pretekstem utrzymania pokoju europejskiego i równowagi między mocarstwami. Pod wpływem konfederatów Turcja wypowiedziała bowiem wojnę Rosji, ale to Rosja okazała się zwyciężczynią i zagarnęła Krym. Wobec tego Fryderyk wystąpił z propozycją zrównoważenia rosyjskich

nabytków, w imię zachowania europejskiej równowagi, poprzez zajęcie części ziem polskich. Również Rosja miała wziąć w tym udział, chociaż to właśnie ona naruszała równowagę. Ale Fryderyk doskonale wiedział, czym grozi drażnienie niedźwiedzia. Zaskakujące, że Rosja, do tej pory trzymająca w swojej sferze wpływów całą Rzeczpospolitą, decydowała się na dopuszczenie do łupu bądź co bądź konkurencyjnych państw. Katarzyna poszła na ten układ, ponieważ konfederacji barskiej wojska rosyjskie zdławić nie mogły – ciągle wybuchały nowe punkty zapalne.

Fryderyk paktował, a tymczasem Austria w 1769 roku zajęła polskie starostwa na Spiszu i część Podhala. Spisz należał do Polski od roku 1412 jako zastaw za pożyczkę udzieloną Zygmuntowi Luksemburskiemu przez Władysława Jagiełłę. Pożyczka nigdy nie została spłacona, chociaż przez wieki węgierskie sejmy domagały się od kolejnych władców wykupu tych ziem. Cesarzowa Maria Teresa też nie kwapiła się do wykupu, aż tu pretekstu, aby je zająć, dostarczyli sami Polacy. Otóż gromadzili się tam konfederaci barscy. Starosta spiski – starszy brat króla Polski Kazimierz Poniatowski – poprosił więc cesarzową o wprowadzenie wojsk austriackich i wyparcie konfederatów. W dodatku na pograniczu rozprzestrzeniała się zaraza. Był to wystarczający powód, aby na polski Spisz wkroczyły austriackie wojska i odcięły go kordonem sanitarnym. A następnie zaczęły wbijać słupy graniczne. Protest Warszawy skwitowano w Wiedniu milczeniem, Prusy i Rosja głosu nie zabrały. Słupy jeszcze dobrze nie osiadły, a już pojawiły się wątpliwości, czy aby nie za mały obszar zajęto. Wątpliwości trafiły do współrządzącego z matką, cesarzową Marią Teresą, Józefa II. Po spotkaniu w Preszowie na Węgrzech, gdzie schroniły się władze konfederacji, jeżeli wcześniej miał jakieś obiekcje, to się ich pozbył i granicę przesunięto za Tatry, zabierając ziemie rdzennie polskie. Na wszelki wypadek zarządził jednak kwerendę archiwalną, która miała wykazać austriackie prawa do zajętych właśnie części starostw: nowotarskiego, czorsztyńskiego i nowosądeckiego. Niestety nie znaleziono żadnego dobrego uzasadnienia. Warszawa ostro zaprotestowała, ale Maria Teresa nie spieszyła się z odpowiedzią. Wreszcie w styczniu 1771 roku odpowiedziała, że jeśli są wątpliwości, to oczywiście należy je rozwiać na drodze rozmów, kiedy sytuacja w kraju się uspokoi.

Konfederaci szukali pomocy wszędzie. Do Fryderyka wysłali emisariuszkę szczególną – słynną z urody i inteligencji Mariannę

generałową Skórzewską. Król, który za płcią piękną nie przepadał, a za Polakami tym bardziej, był bardzo zaskoczony erudycją Polki: „[…] jest to swojego rodzaju osobliwość. Ta kobieta ma wyraźne zamiłowanie do nauki. Benedyktyńska dusza zamieszkuje jej ciało; przytem ma dużo dowcipu, a wadzi jej tylko trudność wysławiania się w języku francuskim, którym nie włada jeszcze tak swobodnie jak swoją inteligencją […] Potrafi logicznie rozmawiać i wnioskować, a wolna jest od płochości kobiecej. […] Oto przez trzy zimy obcuje w Berlinie […] Podaję ją za wzór wszystkim naszym niewiastom, którym o wiele łatwiej byłoby kształcić się, niźli tej Polce” – pisał do Woltera. Polka wywarła więc, o dziwo, dobre wrażenie na Fryderyku, ale pomocy dla konfederatów nie wyprosiła. Wyprosiła za to taką zmianę granicy pierwszego rozbioru, aby wszystkie jej dobra w okolicy Bydgoszczy znalazły się pod berłem pruskim – wygodniej było bowiem pani generałowej być poddaną jednego monarchy. Bo po stłumieniu konfederacji barskiej trzy sąsiednie państwa: Rosja, Prusy i Austria przystąpiły do wydzierania z żywego organizmu Rzeczypospolitej co smakowitszych kąsków.

„Biednych tych Irokezów będę się starał oswoić z cywilizacją europejską” – pisał w liście do francuskiego filozofa i matematyka Jeana Le Rond d’Alemberta Fryderyk II po zagarnięciu w roku 1772 tego, na co od dawna miał ochotę: Prus Królewskich (co prawda bez Torunia i Gdańska – zajął za to port gdański i od razu nałożył mordercze dwunastoprocentowe cło na gdańskie towary), Warmii i Kujaw. Choć pod względem zagarniętej powierzchni i liczby ludności Prusy zadowoliły się najmniejszym kęsem Rzeczypospolitej (było to zaledwie 5 procent jej terytorium i 580 tysięcy „Irokezów”, podczas gdy Rosja zagarnęła 12,7 procent i 1,3 miliona mieszkańców, a Austria 11,8 procent z 2,13 miliona mieszkańców Polski), to jednak Fryderyk i tak mógł być zadowolony. Po pierwsze, osiągnął cel stawiany sobie przez kolejnych Hohenzollernów na pruskim tronie. Dwie części ich państwa: Prusy i Brandenburgia zostały połączone. Po drugie, były to ziemie stojące gospodarczo najwyżej w Rzeczypospolitej. Cesarzowa Maria Teresa miała największe obiekcje co do zasadności podziału Polski, ale cóż – skoro w ten sposób utrzymana zostanie równowaga między jej państwem a Rosją i Prusami, to z bólem serca, ale brała. Gdy zaś wojska austriackie ruszyły, aby obsadzić nową granicę, to

szły i szły przed siebie, bo okazało się, że jej przebieg nie został dokładnie ustalony. Armia ruszyła więc na wschód i północ, doszła pod Kraków, zajęła Zamość i dotarła do Lwowa. Tutaj spotkała się z siedzącymi w mieście od wybuchu konfederacji barskiej Rosjanami. Rosjanie wysuwali roszczenia do Lwowa jako miasta o metryce ruskiej, Austriacy zaś widzieli w nim miasto węgierskie. Rosjanie nie chcieli też oddać Austriakom kopalni soli w Wieliczce i Bochni, ale ostatecznie i te gospodarcze rarytasy Rzeczypospolitej trafiły pod berło Marii Teresy.

Cesarzowa „płakała, ale brała". W Wiedniu pamiętano bowiem, kto w roku 1683 uratował miasto przed turecką nawałą. W liście do syna cesarza Józefa II pisała więc, bardziej chyba po to, by uspokoić własne sumienie, niż wytłumaczyć współrządzącemu swą decyzję: „Chęć zaimponowania Rosji, uzyskania od Porty pieniędzy i innych korzyści doprowadziła nas do postawienia fałszywych kroków, niekonsekwentnych i niebezpiecznych oraz nieodpowiadających tej rzetelności i uczciwości, które stanowiły zawsze zasadę mojej działalności w czasie całego mego panowania". Słowa słowami, a czyny – czynami. Ku zaskoczeniu Rosji i Prus Austriacy nie znali umiaru. Ich wojska szły nadal na wschód, aby ustalić granicę na „rzece Podhorce". Sęk w tym, że taka rzeka nie istnieje – chodziło o Seret. Ale współrządzący państwem syn Marii Teresy cesarz Józef II kazał szukać „Podhorki" jeszcze dalej na wschodzie aż po Zbrucz. Skąd ta łapczywość Austriaków? Uzasadniali ją przed Europą (którą notabene niewiele rozbiór Polski interesował) koniecznością wprowadzenia spokoju w zanarchizowanej Polsce. Dlaczego Prusy nie protestowały stanowczo przeciw tej łapczywości? By później mogły się powoływać właśnie na przykład Austrii, gdy będą wysuwać kolejne żądania. A Austria na wszelki wypadek sfabrykowała *Wywód praw*, czyli wykaz historycznych zależności ziem zabranych Polsce od terenów wchodzących w skład państwa Habsburgów. Tym sposobem pojawiła się nazwa, którą od tej pory określano cały austriacki zabór: „Galicja" (od Halicza) i „Lodomeria" (od Włodzimierza). Austriacy zaznaczyli przy tym, że zajęli tylko „niewielki" fragment Lodomerii – był to wyraźny sygnał, że w przyszłości upomną się co najmniej o resztę. Austria miała też swój ukryty cel w tym zabieraniu jak największej części Rzeczypospolitej – Maria Teresa wciąż nie mogła pogodzić się z utratą Śląska – najbogatszej prowincji cesarstwa. Dyplomacja cesarska snuła więc plany zamiany z Prusami nowo

pozyskanych ziem właśnie na Śląsk bądź na Bawarię. Ale koniec końców na planach się skończyło.

Prusacy również poszukali historycznych odniesień. Ogłoszony po polsku *Wykład praw króla jegomości pruskiego do Księstwa Pomerelii i do innych wielu Krajów Królestwa Polskiego z dokumentami* przywoływał XIII i XIV wiek i to, co się wówczas na zabranych terenach działo, aby przekonać do słuszności niegodnego postępowania. Zaborcy byli na tyle cyniczni, że domagali się od polskiego sejmu zatwierdzenia owego wydarcia ziem i ludzi, co też sejm uczynił. Ale Fryderykowi i tego było mało – w rejonie nadnoteckim przez kolejne dwa lata zagarnął siedem miast i trzysta wsi. Polacy nie przyglądali się temu bezczynnie. Polska kawaleria starła się 29 czerwca 1774 z Prusakami pod Marzewem. Niestety, słabo wyszkolone polskie wojsko, chociaż walczyło zaciekle, niewiele mogło zdziałać. Ale Prusakom choć trochę skórę przetrzepało. Fryderyk II i tak był szczęśliwy – geograficznie stworzył właściwie nowe państwo pruskie i mógł wreszcie przyjąć wymarzony tytuł „króla pruskiego” zamiast stojącego niżej „króla w Prusach” (ten tytuł przyjął podczas koronacji w roku 1701 w Królewcu Fryderyk I). W Prusach, ponieważ Brandenburgia wchodziła w skład cesarstwa.

Król pruski dopuścił do bliższych kontaktów z dworem w Sanssouci tylko dwoje „Irokezów”. Jedną z tych dwóch osób była Marianna Skórzewska, która tak przypadła mu do gustu, że zgodził się nawet zostać ojcem chrzestnym jej syna. Oczywiście nie trzymał dziecka do chrztu osobiście. Nie, aż tak Polki nie cenił (a w dodatku jego stosunek do religii można określić jako co najwyżej obojętny). Zezwolił natomiast, aby młody Skórzewski miał na imię Fryderyk. Kiedy młody dziedzic dorósł, kazał w rodzinnych dobrach wybudować pałac, a w centralnej rotundzie umieścić na posadzce polskiego orła i litewską Pogoń, a na fryzie cztery płaskorzeźby przedstawiające: królową Jadwigę przyjmującą posłów krzyżackich w Inowrocławiu, zwycięstwo wojsk polskich nad Krzyżakami w bitwie pod Koronowem w 1410 roku, króla Władysława Łokietka znajdującego Floriana Szarego na polu bitwy pod Płowcami w 1331 roku oraz Fryderyka II oglądającego plany regulacji budowy nowych śluz w Bydgoszczy. Zestawienie króla Prus z klęską Krzyżaków pod Koronowem oraz królem Łokietkiem, który walczył z nimi pod Płowcami, było co najmniej złośliwe, ale Skórzewskiemu, polskiemu patriocie, wolno

było więcej: obecność Fryderyka II w tym zestawieniu zawsze mógł wytłumaczyć chęcią uczczenia ojca chrzestnego.

Drugą osobą z Polski dopuszczoną do podziwiania uroków Sanssouci był książę biskup warmiński Ignacy Krasicki. Bywalec królewskich dworów, satyryk i bajkopisarz, człowiek uroczy w obejściu i, jak to bywa, ciągle mocno zadłużony mimo dużych profitów ściąganych z warmińskiego biskupstwa. Krasicki zjechał do Poczdamu zaraz po pierwszym rozbiorze – przedstawić się nowemu władcy i zadbać o finansowe interesy, do których nie miał głowy. W każdym razie, mimo bardzo dobrego zdania, o Krasickim jako takim, jego rozrzutność umacniała w pruskim, skąpym władcy niskie przekonanie o wartości polskiej arystokracji.

To były wyjątki, bo Fryderyk, przeprowadzając inspekcję nowych ziem, na ogół „Irokezów" niemal nie zauważał, a urzędnikom kazał postępować w mało wyszukany sposób: „Z Polakami nie robić żadnych zachodów. Bo przez to się jeszcze bardziej psują, tylko należy surowo dbać o to, aby się stosowali do rozkazów, *praestanda* w swoim czasie wypełniali i nie pobłażać im w niczym, bo jeśli się zaraz nie przyjdzie z egzekucją, to nic nie pomoże". Podczas dwunastu podróży, które odbył na zabrane Polsce ziemie, rzucali mu się w oczy przede wszystkim zamieszkujący je Żydzi. Szczególnie baczną uwagę skupił na Inowrocławiu, ale mieszkańcy tego miasta nie będą mu z pewnością stawiać pomników wdzięczności. Określił je bowiem jako najnędzniejsze miasto, jakie w życiu widział. Inowrocławianie powinni być jednak wdzięczni za to, że zauważył nazwę miasta. Poza tym widział jedynie sosny i wrzosy na piaskach. Choć z drugiej strony – Prusy Zachodnie, jak nazwano zagarnięte tereny, to nie tylko piaski, lecz także dobre grunty rolne. Dlatego wprowadzono tam inne niż w pozostałych częściach kraju przepisy dotyczące kupowania ziemi – uprzywilejowani byli nabywcy narodowości niemieckiej. Król szacował, że powinno się tam osiedlić siedemdziesiąt tysięcy osób.

Jeśli chodzi o sprawy polskie, to teraz „starego Fryca", bo tak nazywali go już poddani, najbardziej interesowało zagarnięcie Gdańska i łupienie ekonomiczne pozostałej przy życiu części Rzeczypospolitej. Gdańsk, który wciąż należał do Polski, był solą w oku Fryderyka. Szykanami gospodarczymi chciał zmusić miasto do poddania się jego władzy. Gdańszczanie chcieli uniemożliwić Prusakom przewożenie towaru na terytorium miasta. Na to wojska pruskie usadowiły się na wyspie Ostrów

i zablokowały najpierw statki należące do miasta, a później samo miasto od strony lądu. Polski król Stanisław August Poniatowski usiłował notami dyplomatycznymi wymóc na „starym Frycu” rezygnację z tych szykan, ale pruski król zbywał je milczeniem – nie poważał ani tego króla, ani państwa, któremu Poniatowski przewodził. Dopiero interwencja Rosji (z nią Fryderyk się zawsze liczył) spowodowała przerwanie blokady i rozpoczęcie negocjacji. Ich wynik nie zachwycił Gdańszczan. Prusacy mieli odtąd wolny tranzyt towarów przez terytorium miasta, a Gdańsk zobowiązywał się wydawać pruskich dezerterów. Godził się też na prowadzenie na swoim terenie werbunku do pruskiej armii. Wszystkie te działania miały na celu odebranie Gdańska, Torunia, a może i innych terenów, lecz Fryderyk już tego nie doczekał. Zmarł 17 sierpnia 1786 roku.

Następcą na pruskim tronie został bratanek zmarłego cesarza Fryderyk Wilhelm II. Stryj nie darzył bratanka poważaniem – mówił, że pod takim monarchą „za trzydzieści lat nie będzie więcej mowy o imieniu Prus i domu brandenburskiego”. I niewiele się pomylił, bowiem na początku XIX wieku, podczas napoleońskiego marszu po Europie, Prusy były na krawędzi upadku. Nowy król rzeczywiście różnił się całkowicie od „Wielkiego” poprzednika. Stryj nie odmawiał mu inteligencji, ale niepokój budziły słabość jego charakteru i uleganie wpływom, zwłaszcza kobiet. Fryderyk Wilhelm II kontynuował jednak, przynajmniej w sprawie polskiej, politykę Fryderyka II – priorytetem było pozyskanie Gdańska i Torunia, a przy okazji może też innych ziem Rzeczypospolitej. Wszystko to nadal w imię zasady zachowania „równowagi europejskiej”, czyli jeśli któreś z mocarstw zyskałoby terytorialnie, Prusy również powinny zostać wynagrodzone adekwatnym terenem, najlepiej wykrojonym z Rzeczypospolitej.

Sejm zebrał się w 1788 roku – osłabiona wojnami Rosja zgodziła się na przeprowadzenie pewnych reform, głównie wojskowych, aby Rzeczpospolitą wykorzystać militarnie jako sojusznika. Postanowiono, że posłowie nie rozejdą się, dopóki nie podejmą ważnych decyzji. Aby uniknąć zerwania, sejm obradował jako skonfederowany (konfederacja nie dopuszczała możliwości użycia niesławnego liberum veto). Reformatorzy szukali poparcia, na wypadek gdyby Rosja jednak mocniej zacisnęła palce na szyi Rzeczypospolitej. W sukurs przyszły Prusy. Nie z miłości do Polaków, ale z politycznego wyrachowania, bo interesy prusko-rosyjskie ucierpiały wskutek zbliżenia rosyjsko-austriackiego na froncie tureckim.

Prusacy zaproponowali więc Polsce formalny traktat o przyjaźni: w razie ataku na Rzeczpospolitą (oczywiście chodziło przede wszystkim o Rosję) Fryderyk Wilhelm II zobowiązał się wystawić w obonie Polski i Litwy osiemnastotysięczne wojsko. W zamian – drobiazg: oddanie Prusakom Gdańska i Torunia, a do Polski miała za to powrócić odebrana Austrii Galicja. Pakt zawarto w marcu 1790 roku. W przeświadczeniu o bezpieczeństwie Polski wynikającym z pruskich gwarancji doprowadzono do uchwalenia Konstytucji 3 Maja – ustawy zasadniczej (drugiej na świecie po konstytucji Stanów Zjednoczonych) umożliwiającej przekształcenie Rzeczypospolitej z ustrojowego skansenu Europy w nowoczesne państwo. Rosja nie mogła na to pozwolić, gdyż straciłaby wpływy w całkiem jeszcze sporym kawałku Europy. Prusy i Austria przyjęły Konstytucję z oburzeniem; dopatrywały się w niej wpływu rewolucyjnego wiatru, który w Paryżu zmiótł monarchię. Zawarły więc przymierze skierowane przeciw wszelkim ruchom rewolucyjnym i zaangażowały się w walkę z nowym francuskim ładem. Rosja uznała to za danie jej wolnej ręki w kolejnym „uporządkowaniu" sytuacji w Polsce, zwłaszcza że miała już wolne siły militarne po podpisaniu pokoju z Turcją. Po kilkumiesięcznej wojnie w obronie Konstytucji król Stanisław August Poniatowski przystąpił do zmajstrowanej przez Rosję i zależnych od niej magnatów konfederacji targowickiej, mającej za cel obalenie postanowień sejmu czteroletniego. Czterdziestotysięczna armia polska, która dzielnie stawała przeciw ponad dwukrotnie większej liczbie Rosjan, poszła w rozsypkę, a dowódcy wyemigrowali. Fryderyk Wilhelm II nie tylko nie wprowadził wojska, jak stanowił polsko-pruski układ, ale szybko porozumiał się z Rosją i w zamian za obietnicę kolejnych nabytków terytorialnych kosztem Polski zerwał przymierze. Tak też się stało – pruska armia wkroczyła do Rzeczypospolitej, ale jako sprzymierzeniec Rosji, nie Polski. Zajęli Gdańsk, zajęli Toruń i przy okazji całą Wielkopolskę, a nawet kawałek Mazowsza – łącznie ok. 57 tysięcy kilometrów kwadratowych – zamieszkany przez milion osób. Rosja pochłonęła 250 tysięcy kilometrów kwadratowych Wielkiego Księstwa Litewskiego. Austria nie załapała się do dzielenia polskiego tortu, chociaż miała na to ochotę i domagała się wynagrodzenia kosztem Polski za zaangażowanie w tłumienie rewolucji francuskiej. Po zatwierdzeniu rozbiorów przez sejm grodzieński (zaborcy

nadal chcieli legitymizacji swoich bezprawnych działań) 23 września 1793 roku Rzeczpospolita podpisała traktat rozbiorowy z Prusami.

Ale to jeszcze nie był koniec Rzeczypospolitej – kadłubowe państwo nie zamierzało się poddawać bez walki. 24 marca 1794 roku generał Tadeusz Kościuszko, bohater Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, złożył na krakowskim rynku przysięgę. Insurekcja stała się faktem. Faktem też stała się wojna z Prusami, którymi dowodził sam Fryderyk Wilhelm II, i z Rosją. Prusacy szli od północy, zamierzając połączyć się z ciągnącymi od południa Rosjanami. Do bitwy doszło pod Maciejowicami 10 października. Naczelnik Kościuszko został kilkakrotnie zraniony i dostał się do niewoli. Zaborcy szybko się porozumieli i tym razem Austria uczestniczyła w rozdrapywaniu reszty Polski. Wydrapała dla siebie 47 tysięcy kilometrów kwadratowych ziemi należącej do Polski, Rosja 120 tysięcy, Prusy – 28 tysięcy kilometrów kwadratowych. Poniatowski abdykował. Polska została tylko nazwą na mapach historycznych.

W Warszawie, która straciła rangę stolicy kraju, a stała się prowincjonalnym miastem, siedzibą władz nowej prowincji Prusy Południowe, liczba mieszkańców spadła z mniej więcej 100 tysięcy do 69 tysięcy. Przygnębiające, opustoszałe miasto tonęło w ciemnościach i błocie (Niemcy widać mają coś we krwi, jeśli chodzi o zamiłowanie do zmniejszania populacji polskiej stolicy – w roku 1944 doprowadzili do jej całkowitego wyludnienia, no ale i metody zastosowali radykalne). Magnaci, których wystawne dwory nadawały miastu życie i koloryt, zaszyli się w swoich wiejskich posiadłościach bądź antyszambrowali u nowych władców. Drobna szlachta wisząca zwykle u pańskiej klamki siedziała po zaściankach. Mieszczanie: kupcy i rzemieślnicy (w Warszawie i tak w niewielkiej liczbie w stosunku do szlachty), bez zamówień magnaterii i szlachty popadli w marazm. Jedynie duchownych nie ubyło, chociaż nowe władze sekularyzowały klasztory. Ambasadorowie akredytowani przy dworze odjechali, gdy dwór zniknął, ale nuncjusz odmawiał opuszczenia miasta (dopiero w roku 1796 na polecenie papieża wyjechał do Petersburga). Przybyło za to pruskich żołnierzy i urzędników, bo cóż to byłoby za pruskie miasto bez wojska i administracji. Wśród tych osób znaleźli się rozmaici oryginałowie, na przykład człowiek wielu talentów: kompozytor, pisarz i rysownik E.T.A. Hoffmann, znany milionom dzieci

jako autor *Dziadka do orzechów*, w Warszawie zaś – prawnik. Niemcy zapewne nie wiedzą, a jeśli wiedzą, to tego nie rozgłaszają, że ów autor niemieckiej kultowej baśni związanej z niemiecką tradycją świąt Bożego Narodzenia równie mocno jak choinka był wielkim polonofilem. A to za sprawą małżeństwa z piękną Polką Marią, pieszczotliwie nazywaną „Misią". Nie pierwszy to i nie ostatni przypadek, kiedy piękna Polka okazała się najlepszym PR-owcem działającym na rzecz swojego kraju wśród Niemców.

Wskutek przyłączenia części Rzeczypospolitej do cesarstwa Polacy byli teraz największą grupą etniczną w Prusach – stanowili ponad 40 procent ludności tego państwa. Trzeba było jakoś „kupić" taką liczbę nowych poddanych. Najłatwiej, aczkolwiek niekoniecznie skutecznie, można to zrobić za pomocą odezwy – to, zdaje się, ulubione zajęcie wszelkich władców. Tak też zrobił Fryderyk Wilhelm II. Napisał i o swej życzliwości oraz przychylności do nowych poddanych, i o tym, że teraz zacznie się „cywilizowanie" nowych prowincji. Jak widać, cywilizowanie Polski jest wpisane w niemiecką mentalność od dawna i zdaje się, że dopiero lekcja II wojny światowej zmieniła to podejście. „Cywilizowanie" król rozpoczął od usunięcia Żydów z terenu zaboru pruskiego; wysiedleni przenieśli się do Austrii i Rosji, gdzie stworzyli duże skupiska. Tym, którzy pozostali, urzędowo nadawano nazwiska (dotychczas, w Rzeczypospolitej, wystarczały im imiona) – zajmował się tym właśnie między innymi Hoffmann. A że, jak świadczy jego niepowtarzalna twórczość, miał fantazję, to i nazwiska wymyślał fantazyjne: Zuckerberg (Cukrowagóra) albo Eisenbaum (Żelaznedrzewo).

W zaborze austriackim stolicą Galicji i Lodomerii, nawet po przyłączeniu królewskiego Krakowa, pozostał Lwów. Po śmierci cesarza Józefa II, który z zapałem reformował wszystko i wszędzie, także na zagarniętych Polakom ziemiach, nastąpił tam marazm. W roku 1801 w Galicji wprowadzono tak zwane miary lwowskie (galicyjskie), aby wyrugować jednostki miary używane dotychczas w Rzeczypospolitej. Dwa lata później ujednolicono administracyjnie ziemie pierwszego i trzeciego zaboru (zresztą Austriacy długo pluli sobie w brodę, że ominął ich udział w drugim zaborze).

Koniec ancien régime'u przyniosło wkroczenie Napoleona w roku 1806. Klęska Prus w starciu z cesarzem Francuzów była katastrofalna – od całkowitej likwidacji państwa uchodzącego jeszcze niedawno za jedno

z najsilniejszych militarnie w Europie uchroniło króla Fryderyka Wilhelma III panującego od 1797 roku wstawiennictwo nowego cara Aleksandra I. Niektórzy jednak twierdzą, że to wdzięki pięknej królowej Luizy (przynajmniej ona sama w to wierzyła) przekonały Napoleona do pozostawienia Prus przy życiu. W każdym razie, gdy 14 października 1806 roku cesarz rozgromił Prusaków pod Jeną, a marszałek Bonapartego Louis Nicolas Davout dał im łupnia pod Auerstedt, zaczęto tworzyć dwie tak zwane Legie Północne, czyli polskie formacje, w których skład wchodzili Polacy służący w wojsku pruskim. 3 listopada 1806 roku, na polecenie Napoleona, odezwę do Polaków wydali generał Jan Henryk Dąbrowski (bohater polskiego hymnu, notabene niemówiący po polsku) i Józef Wybicki, autor słów *Mazurka Dąbrowskiego*. 4 listopada 1806 roku armia francuska wkroczyła do Poznania, 27 listopada była w Warszawie. Marszałek Joachim Murata zaproponował bratankowi ostatniego króla, księciu Józefowi Poniatowskiemu (wsławionemu jako dobry dowódca podczas wojny w obronie Konstytucji 3 Maja), dowodzenie formowaną właśnie armią złożoną z Polaków. Książę Pepi propozycję przyjął i z birbanta przeżywającego drugą młodość (w Pałacu pod Blachą urządzał z udziałem „złotej młodzieży" regularne orgie, o których po smętnej pruskiej Warszawie krążyły legendy) przeistoczył się w bohatera narodowego. Koniec końców Napoleon proklamował utworzenie na terenach drugiego i trzeciego zaboru pruskiego Księstwa Warszawskiego, a na jego czele postawił saskiego króla Fryderyka Augusta I (Prusacy z bólem znieśli tę zniewagę – według Konstytucji 3 Maja na polski tron mieli bowiem po Poniatowskim powrócić Wettynowie, a Prusy z Rosją walczyły o obalenie tej konstytucji), jedynie Gdańsk ogłosił wolnym miastem. Ten precedens zemści się po stu latach – Gdańsk (ponownie jako wolne miasto) będzie iskrą, która zapali cały świat.

Austria, która praktycznie samodzielnie prowadziła w tym czasie wojnę z Napoleonem, postanowiła wykorzystać jego zaangażowanie w sprawy hiszpańskie i stworzyć nowy front właśnie na terenie Księstwa Warszawskiego. Tak więc 14 kwietnia 1809 roku Austriacy ruszyli w kierunku Warszawy. Dojście do stolicy zajęło im pięć dni, ale tam czekała już na nich armia Księstwa pod dowództwem księcia Poniatowskiego. Bitwa pod Raszynem, na tamtejszych groblach między stawami, była ciężka i nierozstrzygnięta. Po dwóch dniach zmagań książę

zastosował manewr, który skutecznie wyprowadził Austriaków w pole – oddał im Warszawę i ruszył z wojskiem na południe. Gdy Austriacy byli zajęci usadawianiem się w stolicy, Poniatowski pomaszerował z wojskiem na południe i zajął tereny trzeciego zaboru austriackiego z Krakowem oraz częściowo pierwszego z Zamościem. Sprawę przypieczętował pokój w Schönbrunn z 14 października 1809 roku. Ten stan rzeczy nie trwał długo – w 1812 roku Napoleon ruszył na Rosję na czele potężnej armii. Armia rosyjska okazała się jeszcze potężniejsza, a najpotężniejszym dowódcą był mróz, który zdziesiątkował nieprzygotowanych na niego Francuzów. Od Napoleona odwracali się kolejni „sojusznicy" z jego teściem, cesarzem Austrii na czele (trzeba pamiętać, że wielu z nich było sojusznikami nie z wyboru czy przekonania, ale z rozkazu cesarza Francuzów), do końca wierni pozostali mu Saksończycy i Polacy. Książę Józef Poniatowski zdołał jeszcze wkurzyć Prusaków podczas Bitwy Narodów pod Lipskiem, odmawiając poddania się i osłaniając do końca odwrót Francuzów. Ciężko ranny, utonął w pobliskiej rzece Elsterze.

Polacy i Saksończycy słono zapłacili za wierność Napoleonowi oraz granie na nosie Prusakom i Austriakom. Na kongresie wiedeńskim w roku 1815, w przerwie między balami, zwycięzcy postanowili, że pół Saksonii przejdzie pod panowanie pruskie, a Księstwo Warszawskie (okrojone z Wielkopolski, którą ponownie wzięli sobie Prusacy) trafi pod berło carów Rosji, jako Królestwo Polskie. Gdańsk przestał być wolnym miastem i przyłączono go do Prus, za to ów status otrzymał Kraków – utworzono z niego i okolic efemeryczną Rzeczpospolitą Krakowską, na której za kilkadziesiąt lat położą łapę Austriacy. Uczestnicy kongresu wiedeńskiego ogłosili w Europie i na ziemiach polskich nastanie tak długo wyczekiwanego pokoju. Ale w tym samym momencie Polacy rozpoczęli walkę z zaborcami na innych frontach.

O NADER SPECYFICZNYM POJMOWANIU KULTURY PRZEZ KULTURALNYCH (PONOĆ) NIEMCÓW

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
nie damy pogrześć mowy,
Polski my naród, polski lud,
królewski szczep Piastowy.

Nie damy, by nas zniemczył wróg.
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!

Do krwi ostatniej kropli z żył
bronić będziemy ducha,
aż się rozpadnie w proch i pył
krzyżacka zawierucha.

Twierdzą nam będzie każdy próg.
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!
Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
ni dzieci nam germanił.
Orężny wstanie hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanił.

Pójdziem, gdy zabrzmi złoty róg.

Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!

Nie damy miana Polski zgnieść,
nie pójdziem żywo w trumnę.
W Ojczyzny imię i w jej cześć
podnosim czoła dumne.

Odzyska ziemię dziadów wnuk.
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!

Rota
słowa: Maria Konopnicka
muzyka: Feliks Nowowiejski
1910

Liceum, do którego chodziłem w moim rodzinnym mazurskim miasteczku, mieściło się w poniemieckim budynku, również przed wojną będącym siedzibą szkoły średniej. W ponurym ceglanym gmaszysku zachowało się coś, co można by nazwać pruskim *genius loci*, chociaż niewiele to miało wspólnego z geniuszem. Raczej z tym, co określane jest przez wszystkich (poza samymi Niemcami) jako typowo pruskie bezmyślne i bezdyskusyjne wykonywanie rozkazów, jakiekolwiek by one były. Stąd na przykład rozporządzenie, że drzwi wejściowe do szkoły mają być zamykane o godzinie 7.50 (chociaż lekcje zaczynały się o 8.00), a tarcze należy przyszywać do rękawów kurtek „na okrętkę” i dyżurujący nauczyciele sprawdzali to osobiście. Natomiast my, uczniowie, wnosiliśmy w ten klimat nieco polskiej, ułańskiej fantazji. Ulubionym sposobem pozwalającym wejść do szkoły mimo spóźnienia był szlak wiodący po hałdzie węgla do okna w jednej z klas na parterze. Kiedy został zdemaskowany przez jednego z bardziej dociekliwych nauczycieli, pozostało podciąganie się na parapecie do tego okna, które życzliwi koledzy akurat otworzyli. Doskonale wpływało to na poprawę kondycji fizycznej, chociaż uczennice miały z tym pewne kłopoty. Z tarczami był większy problem – niektórzy nauczyciele nie chcieli wierzyć, że lewa ręka trzymana w dziwnej pozycji nie jest efektem nadwyrężenia podczas lekcji WF, i tryumfalnie łapali za tarcze, które

okazywały się nieregulaminowo przyszyte, tylko misternie przyczepione agrafką bądź, w sytuacjach kryzysowych, gumą do żucia.

Przypomniały mi się owe, z perspektywy lat po prostu śmieszne rozporządzenia szkolne oraz grożące za ich nieprzestrzeganie szykany (klasa dostawała punkty karne w rankingu szkolnym, ale nikt nigdy nie wiedział, czemu ów ranking miał służyć) i nasze uczniowskie przekorne postępowanie, kiedy w muzeum w podpoznańskiej Wrześni oglądałem klasę szkolną, zrekonstruowaną według stanu z roku 1901. Klasę, która wyglądem nie wyróżniała się niczym szczególnym: drewniane ławki, zbita z desek tablica z wielkim cyrklem pomocnym w nauce geometrii, na ścianie portret niekoniecznie miłościwie, ale panującego wówczas cesarza Wilhelma II, a naprzeciw ławek katedra nauczyciela z dzwonkiem i złowrogim przedmiotem – rózgą. I zastanawiałem się, czy mnie, protestującemu w – co tu kryć – dziecinny sposób przeciw nieżyciowym zarządzeniom, stać byłoby na to, co zrobili uczniowie siedzący ponad sto lat wcześniej w ławkach w szkole we Wrześni. Mali ciałem, ale wielcy duchem, uczestnicy heroicznej walki, którą przez sto lat prowadzili Polacy mieszkający w Wielkopolsce, na Śląsku, Kujawach, Pomorzu i Warmii, by nie ulec germanizacji.

Od początku roku szkolnego 1900/1901 w wielkopolskich szkołach ludowych obowiązywało rozporządzenie nakazujące w najstarszych klasach naukę religii w języku niemieckim (język polski w ten sposób wyrugowano całkowicie z klas drugiej i pierwszej, czyli najwyższych); po to, żeby nauczaniem objęte zostały wszystkie dzieci, te najuboższe miały dostać niemieckie katechizmy za darmo. Znaczna część uczniów klasy pierwszej odmówiła jednak „łaski” skorzystania z owego prezentu: książki pozostawili na ławkach bądź oddali nauczycielowi. Tę zniewagę i nieposłuszeństwo (rzecz nie do pomyślenia w prusko-kajzerowskim państwie) władze szkoły postanowiły złamać. Skoro nie pomogła zachęta, sięgnięto po kary. W ruch poszła rózga leżąca na katedrze, oporne dzieci przetrzymywano nawet w szkolnym areszcie. Powtarzało się to kilkakrotnie. Po jednej z takich kaźni dłonie uczniów były tak spuchnięte od chłosty, że dzieci nie mogły nieść w nich książek. Na takie katowanie nie godzili się rodzice – 20 maja, czyli po przeszło dwóch tygodniach oporu, uczniowie znów otrzymali potężną chłostę. Widok katowanych dzieci tak zbulwersował nie tylko rodziców, lecz także przechodzących

ludzi, że zaczęli się gromadzić przed budynkiem. Nie było to jednak zgromadzenie nastawione agresywnie – oburzeni komentowali postępowanie nauczycieli, ale nie dochodziło do żadnych innych działań. Dyrektor wezwał jednak policję i kazał nadal wymierzać dzieciom chłostę. Wtedy do szkoły wdarło się kilka osób, które zostały wyprowadzone przez policję.

Tego dnia chłoście poddano dwadzieścioro dzieci. Lekarz, który dokonał ich obdukcji, stwierdził, że wobec czworga z nich zostało „przekroczone prawo chłosty". Informacje o katowaniu przez Niemców polskich dzieci rozchodziły się coraz szerzej po Europie, budząc wszędzie protesty przeciwko haniebnemu, nawet jak na ówczesne metody oświatowe stosowane na całym świecie, traktowaniu dzieci. Protesty do Berlina słali najwięksi luminarze kultury, wśród nich przyszły noblista Henryk Sienkiewicz. Chłostę stosowano jednak dalej. Część rodziców w obawie o dzieci przeniosła je do innych szkół, część trwała w oporze nadal. Od 14 do 16 listopada 1901 roku w Gnieźnie odbył się proces dwudziestu sześciu osób zgromadzonych przed szkołą w maju. Oskarżono je o udział w publicznym zbiegowisku, znieważenie nauczycieli i próbę zmuszenia ich do zaniechania czynności urzędowych, wtargnięcie do budynku szkolnego i publiczne podżeganie do popełnienia przestępstwa. Dwadzieścia osób skazano na kary od kilku tygodni do dwóch i pół roku więzienia. Strajk dzieci trwał nadal, a władze szkolne stosowały kolejne szykany – całkowicie zakazano posługiwania się językiem polskim na terenie placówki, a przy budynku nowej szkoły postawiono barak, w którym mieli się uczyć oporni. Tych zaś, którzy powinni skończyć szkołę, ale w ramach szykan przedłużono im obowiązek szkolny, do szkoły doprowadzali żandarmi. Ot, niemiecki porządek: skoro wszystkie dzieci w cesarstwie objęte są obowiązkiem szkolnym, to ma być on przestrzegany, i już – choćby siłą. Determinację większości dzieci złamała zapowiedź władz oświatowych, że zwolnią z przedłużonego obowiązku szkolnego tych, który zrezygnują z protestu. Po roku walki i znoszenia kaźni większość dzieci za namową rodziców zrezygnowała z oporu. W roku 1903 i na początku 1904 strajkowało już niewielu uczniów. Najbardziej wytrwała dziewczynka skończyła protest po Wielkanocy 1904 roku, ale fala strajków szkolnych rozszerzała się na całą Wielkopolskę – w roku 1906 objęła dziewięćdziesiąt tysięcy uczniów.

Wydarzenia we Wrześni były szczytowym momentem kulturkampfu – walki o kulturę (ciekawe, że Niemcy o wszystko walczą, nawet o kulturę). Kampania ta rozpoczęła się kilkadziesiąt lat wcześniej. W 1867 roku podczas posiedzenia landtagu świeżo powołany „żelazny kanclerz" Otto von Bismarck wypowiedział takie słowa: „Po bitwie pod Tannenbergiem [czyli Grunwaldem] spustoszenia, jakich dokonali Polacy w Prusach Zachodnich, sprawiły, że zaledwie trzy z dziewiętnastu tysięcy niemieckich wsi pozostały nietknięte […]. Polonizację wprowadzono ogniem i mieczem, germanizację – kulturą […]". Cóż, jeśli brać jego wypowiedź dosłownie, to na przykład taka rzeź Gdańska dokonana przez Krzyżaków była elementem kultury wysokiej.

W każdym razie Bismarck rozpoczął walkę o kulturę – od roku 1872 język niemiecki stał się językiem wykładowym we wszystkich szkołach państwowych. Władze oświatowe wydały nauczycielom zakaz wstępowania do stowarzyszeń polskich i katolickich. Aby zachęcić ich do pracy we wschodnich prowincjach Prus, przyznawano im dodatek finansowy. Egzamin ze znajomości niemieckiej kultury był obowiązkowy dla wszystkich absolwentów. W roku 1876 niemiecki został ogłoszony językiem urzędowym we wszystkich instytucjach państwowych. Kulturkampf był wymierzony w znacznej mierze w Kościół katolicki – Bismarck uważał, że działania papieża Piusa IX, który dążył do podporządkowania sobie polityki lokalnych wspólnot katolickich, stanowią zagrożenie, bo mogą prowadzić do ingerencji w wewnętrzne sprawy państwa. Ale na ziemiach zaboru pruskiego to Kościół katolicki był ostoją polskości. Uderzenie w niego było jednocześnie ciosem wymierzonym żywiołowi polskiemu. Dlatego gdy w 1874 roku arcybiskup gnieźnieński i poznański Mieczysław Ledóchowski zaprotestował przeciw wtrącaniu się inspektorów oświatowych w sposób kierowania seminariami duchownymi i nauczania religii w szkołach, został aresztowany i wydalony do Watykanu. Podobny los spotkał arcybiskupa Kolonii. Szykan doświadczyło też wielu innych księży. Sytuacja była tak napięta, że musiała kiedyś pęknąć – pękła w szkole we Wrześni.

Rok po wydarzeniach we Wrześni, również w Wielkopolsce, wydarzyło się coś, o czym wiadomość obiegła bez mała cały świat. Polski chłop drwił sobie z pruskich urzędników, którzy w swoim bezkrytycznym

przestrzeganiu litery prawa okazali się bezradni wobec tego, że Michał Drzymała, bo o nim mowa, również trzymał się litery prawa. Drzymała kupił ziemię, aby zbudować na niej dom. Jednak lokalna administracja, w myśl obowiązujących od niedawna przepisów, nie wydała Drzymale zgody na budowę. Decyzja była podyktowana logiką działania Komisji Kolonizacyjnej – instytucji utworzonej w 1886 roku dla powstrzymania ucieczki Niemców ze wschodnich prowincji cesarstwa na zachód, gdzie żyło się łatwiej. Komisja, subwencjonowana przez niemiecki rząd, miała się zajmować wykupowaniem majątków rolnych na wschodzie cesarstwa, a następnie odsprzedawania ich tym kandydatom, których zaaprobuje. Tym sposobem ukręciła sama na siebie bicz. Po pierwsze – ziemię sprzedawała Niemcom, ale przede wszystkim tę skupowaną od Niemców uciekających ze wschodnich rubieży Prus. Po drugie – Komisja, aby zachęcić Polaków do sprzedaży ziemi, wysoko wywindowała jej ceny na wolnym rynku. Zachęciło to niemieckich właścicieli do sprzedawania gruntów bez pośrednictwa Komisji każdemu, kto zaoferował wysoką kwotę – byli to głównie Polacy, którzy nie zamierzali wyjeżdżać z kraju. Drzymała też nie chciał – chciał na kupionej legalnie ziemi postawić dom. Ponieważ odmawiano mu zgody, kupił cyrkowy wóz na kołach i zamieszkał w nim z rodziną. Kiedy urzędnik przychodził przeprowadzić kontrolę, Drzymała przesuwał mieszkanie na kołach o kilka metrów. Nie łamał więc przepisów dotyczących budowy domu na nowo kupionej parceli. Ośmieszał za to pruski bezmyślny aparat urzędniczy. Wdzięczni rodacy nie zapomnieli o Drzymale i w wolnej już Polsce podarowano mu zakupiony ze składek społecznych dworek i ziemię.

Postępowanie Niemców w Wielkopolsce skutkowało tym, że Polacy podejmowali różnego rodzaju działania obronne, ale i konkurencyjne, zawsze jednak w granicach ustanowionych przez prawo. Aby przetrwać, musieli być lepsi albo chociaż dotrzymywać kroku Niemcom w gospodarowaniu. Najlepiej radzili sobie przedstawiciele inteligencji: ziemianie, lekarze, adwokaci, księża. Założyli oni Bank Ziemski w celu zdobycia kapitału, który miał być przeznaczony na wsparcie polskich właścicieli ziemskich i rolników oraz spółek zarobkowych (w roku 1891 było ich 76, dziewiętnaście lat później – już 248); patronował im ksiądz Piotr Wawrzyniak, doskonały organizator kierujący się w życiu myślą własnego autorstwa: „Narody mierzy się wedle tego, jak płacą swoje

rachunki”. Wcześniej Poznańskie Towarzystwo Naukowej Pomocy założył lekarz Karol Marcinkowski (gromadziło środki na stypendia dla ubogiej polskiej młodzieży zamierzającej się kształcić). Swój ziemski majątek, zadłużony przez ojca hulakę, we wzorcowo prowadzone gospodarstwo przekształcił hrabia Dezydery Chłapowski, a Hipolit Cegielski, który zaczynał od sklepu z narzędziami rolniczymi, wyrósł na największego przemysłowca Wielkopolski.

Polaków skupiały również stowarzyszenia takie jak chóry, czytelnie ludowe i towarzystwa gimnastyczne. Patriotyczna arystokracja dbała o zachowanie pamięci narodowej: Edward Raczyński ufundował w Poznaniu wspaniałą bibliotekę, Tytus Działyński gromadził na zamku w Kórniku przebudowanym w stylu neogotyckim pamiątki polskości, a synowa Działyńskiego Izabella z Czartoryskich stworzyła muzeum na przebudowanym w stylu renesansu francuskiego zamku w Gołuchowie. Z kolei Edward Aleksander Raczyński, wnuk fundatora biblioteki, stworzył przy pałacu w Rogalinie wysmakowaną galerię malarstwa. Germanizacja Wielkopolski, jak widać, szła nader opornie – nie pomogło nawet zawiązanie specjalnego Związku Popierania Niemczyzny na Wschodzie, zwanego od nazwisk założycieli Hakatą. W Poznaniu najbardziej widoczną pozostałością owego trendu jest część śródmieścia z operą, obecnym rektoratem Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza, muzeum, zamkiem cesarskim i budynkami użyteczności publicznej zbudowanymi po to, aby i tym sposobem zachęcić Niemców, jeśli nie do przyjazdu do Poznania, to przynajmniej do pozostania w nim. Co za chichot historii – dzięki ówczesnym zaciekłym germanizatorom polski Poznań ma dziś prawdziwie wielkomiejskie śródmieście.

Rywalizacja z Niemcami była zaciekła, ale pokojowa. Tylko podczas rewolucyjnego wrzenia w całej Europie w okresie Wiosny Ludów 1848 roku doszło do wystąpień zbrojnych. Na fali buntu przeciw *ancien régime’*owi w Berlinie z powszechnym entuzjazmem witano na ulicach wielkopolskich konspiratorów, uwolnionych właśnie z więzienia w Moabicie. Te same ulice patrolowała Legia Akademicka utworzona przez polskich studentów. Zaniepokojony rewolucyjnym wrzeniem król Fryderyk Wilhelm IV zgodził się na utworzenie polskich jednostek zbrojnych w Wielkim Księstwie Poznańskim, które miały być użyte w razie spodziewanej rosyjskiej interwencji. Gdy jednak sytuacja się

ustabilizowała, Niemcy szybko pokazali Polakom ich miejsce w szeregu. Podczas posiedzeń ogólnoniemieckiego parlamentu we Frankfurcie padały głosy, że Niemcy „nabyli swą cywilizacyjną pracą prawa do ziem dawnej Rzeczypospolitej” (ach, skąd u Niemców to odwieczne przekonanie, że to właśnie oni są krzewicielami cywilizacji, a nie Anglicy, Francuzi czy na przykład Skandynawowie?) i że dość już sentymentów w stosunku do Polaków. Generał Ludwik Mierosławski, jeden z uwolnionych z kazamat Moabitu, przybył do Poznania i stanął na czele Komitetu Narodowego. Część owych oddziałów utworzonych za królewską zgodą i uzbrojonych w nastawione na sztorc kosy (jak u kosynierów z Insurekcji Kościuszkowskiej) poddało się rozbrojeniu na mocy porozumienia z Jarosławca z 11 kwietnia 1848 roku (rozwiązano także Komitet, po tym jak Prusacy obiecali wprowadzić polską administrację w Księstwie). Ci kosynierzy, którzy odmówili, zostali rozproszeni przez wojsko i przedostali się na teren zaboru rosyjskiego. Król Fryderyk Wilhelm IV pisał po tych wydarzeniach do swojej siostry, żony cara Mikołaja I: „Mam nadzieję, że liczni rebelianci przekroczą granicę Królestwa Polskiego, gdzie Paskiewicz będzie ich mógł powiesić”. Siostra odpisała z typowo pruskim pragmatyzmem: „Powieś ich sam”. Taki, a nie inny koniec tej jedynej na terenie zaboru pruskiego próby zbrojnej konfrontacji z Prusakami nauczył Polaków, że nie tędy droga w zmaganiach z niemieckim gigantem.

Na terenie drugiego niemieckojęzycznego zaboru wydarzenia 1848 roku przebiegały dosyć spokojnie – walkę z cesarską władzą wzięli wtedy na siebie Węgrzy. To w ich kraju grał Austriakom na nosie, a dosłownie na armatach, doskonały polski artylerzysta generał Józef Bem. Do dzisiaj wdzięczni Węgrzy pamiętają o jego zasługach i nazywają go z sympatią „ojczulkiem”. Ponadto galicyjska szlachta (a to ta grupa społeczna brała na siebie odium zorganizowania zbrojnego ruchu) leczyła jeszcze rany po rzezi, która odbyła się dwa lata wcześniej. Otóż powstanie szykowane we wszystkich trzech zaborach jednocześnie nie doszło do skutku – spiskowcy, wśród nich Mierosławski, który miał przewodzić buntowi, zostali aresztowani (i, jak pamiętamy, osadzeni w Moabicie) – tylko w Krakowie doszło do niewielkiej ruchawki zbrojnej, co dało zresztą pretekst Austriakom do wcielenia Rzeczypospolitej Krakowskiej, formalnie samodzielnego bytu państwowego funkcjonującego pod patronatem

władców Austrii, Rosji i Prus, do państwa Habsburgów. Nie wszyscy mający uczestniczyć w powstaniu dotarli na czas – we dworach zbierały się grupki uzbrojonej szlachty, aby ruszyć do Krakowa. Johann Breinl von Wallerstein, starosta obwodu tarnowskiego, w którym tych potencjalnych ognisk rewolty było szczególnie dużo, wezwał na pomoc miejscowych chłopów. Wykorzystał antagonizmy między chłopami a szlachtą, powszechne w ubogiej Galicji z powodu znacznych różnic ekonomicznych. Wallerstein potrzebował chłopskiego lidera, który uwiarygodniłby wśród chłopów konieczność działania – bo obietnica zniesienia pańszczyzny w zamian za rozbicie szlacheckiej ruchawki była kusząca, ale chłop swój rozum ma i z reguły wobec władzy jest nieufny. Wybór padł na Jakuba Szelę, chłopa ze wsi Smarzowa, który cieszył się wśród swoich ziomków poważaniem z racji wygranych procesów z dziedzicem.

Szela zorganizował więc chłopskie bandy (uzbrojone w ulubione kosy), które napadały na dwory, nie przejmując się tym, czy przebywali tam konspiratorzy, czy też nie. W tym drugim przypadku napadali nawet chętniej, bo takie dwory były bezbronne. Chłopi, rozzuchwaleni biernością austriackich władz, a czasem nawet przez nie zachęcani, palili dwory, w wymyślne sposoby mordowali dziedziców i ich rodziny, nie oszczędzając kobiet i dzieci. Aby udokumentować przed Austriakami swe czyny i zasłużyć na pochwałę, przesyłali urzędnikom odcięte głowy swych ofiar. Zdarzały się przypadki, że urzędnicy płacili mordercom od głowy. Szacuje się, że rzeź galicyjska pociągnęła za sobą około dwóch tysięcy ofiar. Jednak puszczony tak żywioł trudno kontrolować, a jeszcze trudniej zatrzymać. Rozochoceni chłopi atakowali w okolicach Bochni austriackich urzędników. Austriacy musieli użyć wojska, by przywrócić spokój w Galicji. Szelę pokazowo aresztowano, ale dosyć szybko po cichu zwolniono. Austriacy wynagrodzili go za popełnione zbrodnie dużym gospodarstwem w Bukowinie, na wschodnich krańcach c.k. monarchii. Dwa lata później, kiedy na fali Wiosny Ludów Polacy próbowali wywołać jakieś poruszenie w Krakowie i we Lwowie, sprawę szybko uciszyło zbombardowanie tych miast przez austriacką artylerię.

Galicyjscy Polacy po zdławieniu Wiosny Ludów na Węgrzech przyjęli więc postawę serwilistyczną: liczyli, że nagrodą za lojalność wobec monarchii będzie stopniowo uzyskiwana autonomia. W domyśle – Galicja powinna uzyskać wewnątrz habsburskiej monarchii status równy Austrii

i Węgrom. Wszystko to pod panowaniem Miłościwego Pana Franciszka Józefa I, który rzeczywiście miał nad czym panować: jego rządy obejmowały ludzi siedemnastu narodowości. Każda chciała czego innego, ale wszystkie dążyły do tego samego celu – autonomii. Cesarz łagodził swoje stanowisko tym bardziej, im bardziej habsburska monarchia dostawała w skórę na arenie międzynarodowej. Klęska w roku 1860 w wojnie z Piemontem, który dążył do zjednoczenia Włoch także z tymi ziemiami, które znajdowały się pod panowaniem Habsburgów, zaowocowała zgodą cesarza na wprowadzenie w kraju ustroju parlamentarnego. Sześć lat później klęska w wojnie z Prusami, której celem była walka o supremację wśród państw niemieckich, przyniosła przekształcenie kraju w dualistyczną monarchię Austro-Węgry, a przy okazji Galicja zyskała duży zakres autonomii. Przezorni Polacy, oprócz konkretnych żądań, wysłali do Wiednia także wiernopoddańczy list zaczynający się słowami: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy”. Jak widać – opłaciło się.

Jako ciekawostkę warto przypomnieć, że najwięksi polscy lojaliści przy Najjaśniejszym Panu nie tylko stali, ale w razie potrzeby leżeli. Kiedy cesarz zwiedzał w Krakowie muzeum książąt Czartoryskich, był łaskaw potknąć się i przewrócić. Towarzyszący mu galicyjscy notable natychmiast rzucili się na podłogę i położyli obok monarchy. W Galicji w roku 1869 język niemiecki został zastąpiony polskim w sprawach oficjalnych, dopuszczono jego używanie w szkołach i urzędach (czyli odwrotnie niż w Prusach), rok później polski przywrócono jako podstawowy język wykładowy na Uniwersytecie Jagiellońskim, a kolejny rok przyniósł utworzenie w Wiedniu specjalnego ministerstwa do spraw Galicji. Polacy obejmowali najwyższe stanowiska we władzach nie tylko krajowych lecz także całego państwa. Kraków stał się centrum obchodów wszelkich rocznic patriotycznych – to tutaj w roku 1910, w pięćsetną rocznicę bitwy, odsłonięto Pomnik Grunwaldzki dłuta Antoniego Wiwulskiego. To, że pomnik o takiej tematyce powstał w Krakowie (na wysokim cokole na koniu siedzi król Władysław Jagiełło, niżej stoi oparty na mieczu książę Witold, u którego nóg leży pokonany wielki mistrz Ulryk von Jungingen), wywołało szał złości w sojuszniczym wówczas Berlinie. Tłumaczenie Austriaków, którzy to uderzenie w Niemczyznę przyjęli ze stoickim spokojem, było dosyć wymijające: pomnik jest prywatną fundacją Ignacego

Jana Paderewskiego (genialnego pianisty, patrioty, bożyszcza kobiet, późniejszego polityka i w niepodległej Polsce premiera rządu), więc pretensje prosimy kierować do niego.

Uroczystość odsłonięcia pomnika przyciągnęła do Krakowa nieprzebrane tłumy ze wszystkich zaborów. To podczas niej po raz pierwszy wykonano *Rotę*, pieśń ze słowami Marii Konopnickiej do muzyki pochodzącego z Warmii Feliksa Nowowiejskiego, ze znamiennymi słowami: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz ni dzieci nam germanił". Kilkanaście lat później *Rota* o mało nie została hymnem narodowym (ciekawe, jak czuliby się niemieccy politycy, naukowcy, sportowcy czy artyści, gdyby podczas uroczystości ze swoim udziałem wysłuchiwali takich słów na swój temat). Natomiast dwadzieścia dziewięć lat po odsłonięciu pomnika Niemcy, ci krzewiciele kultury i cywilizacji na wschodzie Europy, zawitali nieproszeni do Krakowa. Pomnik Grunwaldzki tak zapadł im w kulturalne serca, że z marszu kazali go zniszczyć. Odbudowany w roku 1976 nadal jest świadectwem polskiego patriotyzmu, ale także swoistego masochizmu Austriaków – pokornego znoszenia pamiątki po klęsce Krzyżaków, którzy nadal rezydują w Wiedniu. Może dlatego, że twórca masochizmu – Leopold Ritter von Sacher-Masoch, autor słynnej powieści *Wenus w futrze* – urodził się we Lwowie? Zostawmy jednak te rozważania wiedeńskim freudystom.

Wróćmy do Galicji z początków XX wieku, która żyła nie tylko pogrzebami i uroczystościami patriotycznymi. To tam powstały organizacje dbające o duchowy i fizyczny rozwój młodzieży: krakowski „Strzelec" i lwowski „Związek Strzelecki" – kuźnie kadr dla polskich formacji wojskowych, które podczas I wojny światowej walczyły o niepodległą Polskę. Wojny, która zmiotła wszystkie trzy państwa zaborcze, ale wcale nie zmieniła nastawienia Niemców do Polaków ani Polaków do Niemców. Czas wzajemnego „wkurzania" na skalę nieznaną dotąd w historii dopiero nadchodził.

O TYM, CO POLSKĘ I ŚWIAT SPOTKAŁO, KIEDY NIEMCY ULEGLI MAGII PEWNEGO NIESPEŁNIONEGO MALARZA

Dnia pierwszego września roku pamiętnego
wróg napadł na Polskę z kraju sąsiedniego
ballada ludowa

Mój dziadek, ten z wielkopolskiej części rodziny (jako typowy powojenny Polak jestem urodzonym na północnych ziemiach „odzyskanych" połączeniem przedwojennego wschodu i zachodu Rzeczypospolitej), opowiadał o wizytach niemieckich powinowatych. Otóż wielkopolska część rodziny mieszkała niedaleko granicy z Niemcami, a po jej drugiej stronie – niemieccy powinowaci. W latach trzydziestych XX wieku zjeżdżali czasem na niedzielne obiady. Z tych kurtuazyjnych wizyt dziadek zapamiętał ogromne apetyty gości. Będąc wówczas studentem prawa na poznańskim uniwersytecie, odwiedzał czasami dom rodzinny i widział stoły zastawione pieczonymi kurczakami, oblanymi bitą śmietaną tortami i innymi wielkopolskimi pysznościami, oblegane przez gości zza granicy. Gościnna po staropolsku rodzina komentowała to (po cichu) w ten sposób: „Oni tam mają same ersatze, nawet masła nie mają, bo mają armaty zamiast masła". Było w tym dużo racji, armaty okazały się bardzo przydatne Niemcom (ale niespokrewnionym z nami), gdy na początku września 1939 roku

nieproszeni przyszli po masło i nie tylko po to. Moi pradziadkowie dostali kilka godzin na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy i opuszczenie domu oraz Wielkopolski, bo zamiast Najjaśniejszej Rzeczypospolitej miała tam odtąd być Tysiącletnia III Rzesza. Na szczęście dla całego świata i niejednej rodziny Tysiącletnia Rzesza nie przetrwała dwunastu lat.

Kurtuazyjne wizyty Niemców miały więc zwykle skutki dalekie od kurtuazji. Tak było w przypadku odwiedzin pancernika „Schleswig-Holstein" w Wolnym Mieście Gdańsku. Zacumowany vis-à-vis polskiej placówki wojskowej na Westerplatte okręt w rzeczywistości czekał na rozkaz, aby załoga odsłoniła zamaskowane działa i ostrzelała Polaków. Końcówka sierpnia 1939 to w Polsce okres przygotowań do wybuchu wojny, jednocześnie tonowanych przez władze, aby nie wywoływać paniki, oraz propagandowych haseł typu „nie oddamy ani guzika od munduru". To czas gorączkowych zabiegów dyplomatycznych mających na celu już nie ratowanie pokoju (co bardziej trzeźwo myślący dyplomaci wiedzieli, że kolejne ustępstwa na rzecz Hitlera pokoju nie uratują), tylko zawarcie paktów o wzajemnej pomocy w razie wojny. Polska od dawna była związana takim układem z Francją, a 31 marca 1939 roku premier Wielkiej Brytanii Neville Chamberlain zapowiedział w imieniu Rządu Jego Królewskiej Mości oraz sojuszniczej Francji, że państwa te uczynią wszystko, co możliwe, aby odeprzeć ewentualny atak Niemiec na Polskę. Hitler dążący wszelkimi siłami do wojny nie przejął się tym zbytnio i wypowiedział polsko-niemiecki pakt o nieagresji z roku 1934. Państwa zachodnie zaczęły też wchodzić w bliższe kontakty dyplomatyczne z sowiecką Rosją, licząc na powstrzymanie Niemców. Nie przewidziały jednak, że Moskwa prowadzi też rozmowy z jakże jej drogim Berlinem. Bo chociaż carska Rosja była powiązana sojuszami z Francją i Wielką Brytanią, to i tak Niemcy zawsze byli dla Rosjan najmilszymi sąsiadami do czasów, aż pośrodku znalazła się jakaś Polska.

Rozmowy Moskwy z Niemcami przebiegały więc sprawnie, w przeciwieństwie do tych z zachodnimi aliantami, i 23 sierpnia 1939 roku ministrowie spraw zagranicznych: III Rzeszy Joachim von Ribbentrop i Związku Radzieckiego Wiaczesław Mołotow podpisali pakt o nieagresji. Zawierał on jednak coś, o czym wiedzieli nieliczni – tajny czwarty protokół. Dotyczył on rozgraniczenia stref wpływów w Europie Wschodniej po spodziewanej agresji Niemiec na Polskę i deklarował wręcz

atak Sowietów na Polskę w momencie wybuchu wojny. Sowieci zagwarantowali sobie zagarnięcie państw bałtyckich (Litwy, Łotwy i Estonii), a w Polsce zajęcie terenów po linię rzek: Narwi, Wisły i Sanu. Hitler miał już wolną rękę do zaatakowania Polski i nie powstrzymał go zawarty dwa dni później układ sojuszniczy Polski z Wielką Brytanią. Wybuch wojny był kwestią dni, jej celem zaś – likwidacja państwa, które Mołotow nazywał „bękartem traktatu wersalskiego", a Hitler „ulubionym pokojowym pieskiem zachodnich demokracji, którego w ogóle nie można uznać za kulturalny naród" (no, proszę, znowu ta kultura, może Niemcy mają jednak jakiś kompleks kulturalny wobec Polski?). Tylko że Mołotow się mylił – traktat wersalski jedynie sankcjonował istnienie niepodległej Polski, wcale jej nie tworzył. Polskę Polacy wywalczyli sobie sami.

28 czerwca 1919 roku w Wersalu został podpisany traktat pokojowy z Niemcami. Ustalał on ład europejski po wielkim globalnym konflikcie, czyli I wojnie światowej. Pochłonęła ona życie dziewięciu milionów żołnierzy, a zaraz po jej zakończeniu zmarło kolejnych dwadzieścia milionów osób – ofiar grypy zwanej „hiszpanką", wycieńczonych czteroletnią biedą towarzyszącą działaniom wojennym. Koszt I wojny światowej oszacowano na 322 miliardów ówczesnych dolarów. Zwycięzcy oraz ci, którzy się do nich na czas przyłączyli, aby dzielić powojenne łupy (łącznie 27 państw oraz Indie i cztery brytyjskie domina), uznali w Wersalu, że wina za wywołanie wojny leży po stronie kajzerowskich Niemiec. Ani Niemcy, ani Rosja (już sowiecka) nie zostały zaproszone na obrady: Niemcom decyzję jedynie zakomunikowano (dlatego państwo kwestionowało później postanowienia traktatu), Rosję zaś uznano za kraj niestabilny, w którym nie wiadomo, jak rozwinie się sytuacja. Poza tym już raz zawarła pokój z Niemcami – w Brześciu Litewskim w marcu 1918 roku, co pozwoliło Niemcom na likwidację frontu wschodniego i przerzucenie wojsk na zachód. Taka decyzja wepchnęła Rosję w ramiona Niemiec i odwrotnie, więc już trzy lata później w Rapallo zawarły traktat o współpracy.

Polska, chociaż przed 1918 rokiem nie istniała jako niepodległe państwo, została do obrad w Wersalu zaproszona. Nie miała jeszcze wytyczonych ostatecznych granic, dlatego kierujący państwem naczelnik Józef Piłsudski nie miał złudzeń: zachodnie granice będą takie, jakie wywalczą na

konferencji negocjatorzy (byli to Roman Dmowski i Ignacy Jan Paderewski – chociaż polityczni adwersarze Piłsudskiego, to w tej kwestii, fundamentalnej dla Polski, ściśle współpracowali), a wschodnie – takie, jakie wywalczy polski żołnierz. Piłsudski, związany początkowo z socjalistami, jeszcze na długo przed wybuchem I wojny światowej odłączył się od nich i „wysiadł na przystanku niepodległość". Kiedy ruszyła wojenna lawina, połączył różne organizacje militarne i tak powstały Legiony Polskie. Sam został komendantem Pierwszej Brygady. Już 6 sierpnia 1914 grupa strzelców ruszyła z Galicji do znajdujących się w zaborze rosyjskim Kielc, ale akcja bez jakiegokolwiek poparcia politycznego i militarnego zakończyła się niepowodzeniem. Dlatego Piłsudski zdecydował się na przejście pod rozkazy austriackie. Na froncie wschodnim po początkowych sukcesach militarnych wojsk rosyjskich nastąpiła kontrofensywa Niemców i Austriaków. Niemcy zbombardowali wtedy bezbronny Kalisz (zapewne w przekonaniu o konieczności niesienia na wschód cywilizacji i kultury). W walkach frontowych uczestniczyły Legiony – walczyły na Rusi Zakarpackiej, Wołyniu, Polesiu, Podolu. Tymczasem Niemcy zajęli Warszawę jako centrum swojej strefy okupacyjnej, a Austriacy – Lublin. Obaj cesarze mieli teraz twardy orzech do zgryzienia – co zrobić z tą zajętą częścią dawnej Polski? Ogłoszenie jej niepodległości wywołałoby powstanie na ziemiach polskich znajdujących się wcześniej pod panowaniem tych władców. Udawanie, że nic się nie stało, podczas gdy na froncie potrzebny jest każdy żołnierz, oznaczałoby rezygnację z doborowego mięsa armatniego, bo co jak co, ale bić się, zwłaszcza za ojczyznę, to Polak potrafi. Franciszek Józef I i Wilhelm II wydali więc 5 listopada 1916 roku odezwę do narodu polskiego – mówiła ona o niepodległej Polsce (ale słowem nie wspominała o przebiegu granic) jako królestwie. Osoby króla nie wskazywano (chociaż cesarz Wilhelm myślał o obsadzeniu na polskim tronie księcia pszczyńskiego, w którego krwi przy bardzo dużej dawce dobrej woli można by ponoć doszukać się jakiejś domieszki krwi Piastów). Na zajętych terenach rządził generalny gubernator, ale Polaków reprezentował organ zwany Radą Regencyjną. W jej skład wchodzili arcybiskup Aleksander Kakowski, książę Zdzisław Lubomirski i hrabia Józef Ostrowski. Sprawowała ona formalnie regencję w imieniu nieistniejącego króla nieistniejącego państwa, ale przyszło jej wypełnić misję dziejową. Otóż Niemcy, coraz mocniejsi na froncie

wschodnim, zażądali przejścia legionistów spod kurateli austriackiej pod ich własną i wcielenia do tak zwanego Polnische Wehrmacht. 21 lipca 1917 roku Piłsudski odmówił złożenia przysięgi. Wściekłemu generalnemu gubernatorowi Warszawy Hansowi Hartwigowi von Beselerowi odpowiedział: „Gdybym przyjął Pańską propozycję, wy, Niemcy, zyskalibyście jednego człowieka, ja zaś straciłbym cały naród". Beseler kazał internować Piłsudskiego w twierdzy w Magdeburgu, w ten sposób, mimowolnie, pomagając w budowie mitu Komendanta. Zdecydowana większość legionistów odmówiła, wzorem Komendanta, złożenia przysięgi i została internowana. Jednym z obozów internowania było Szczypiorno, a ponieważ przetrzymywani tam Polacy mieli zabijać czas grą w piłkę ręczną, stąd pochodzi ponoć popularna nazwa tej dyscypliny – szczypiorniak.

W listopadzie 1918 roku wojna dobiegała końca: waliły się monarchie Habsburgów i Hohenzollernów, po Romanowach na tronie nie było już śladu. Sytuacja na terenach zajętych przez Austriaków i Niemców przypominała czeski film *Nikt nic nie wie*. Wobec braku decyzji z dowództwa Niemcy tracili głowę – okazało się, że bez centrum decyzyjnego ten doskonale zorganizowany naród z łatwością może wpaść w anarchię. 11 listopada zawarto na froncie zachodnim zawieszenie broni. I tego samego dnia Rada Regencyjna wypełniła swą dziejową misję – przekazała Piłsudskiemu (który dzień wcześniej przyjechał z Magdeburga do Warszawy) urząd głównodowodzącego. Piłsudski złożył niemieckim okupantom propozycję nie do odrzucenia: złóżcie broń i wyjedźcie pierwszym pociągiem, co też chętnie uczynili. Po trzech dniach dawne Królestwo Kongresowe zostało oczyszczone z okupantów. Entuzjazm był ogromny, nie tylko na terenie Kongresówki. W Wielkopolsce iskrą, która wywołała pożar, był przyjazd Ignacego Jana Paderewskiego. 26 grudnia 1918 roku w drodze z Gdańska do Warszawy zagościł w stolicy Wielkopolski witany wręcz entuzjastycznie przez tłumy zgromadzone przed hotelem Bazar. Gorące przemówienie, które wygłosił z balkonu, jeszcze podgrzało atmosferę. Demonstracje Polaków trwały kolejny dzień, ale wściekli Niemcy przystąpili do kontrdziałania: zrywali polskie flagi, zdemolowali siedzibę Naczelnej Rady Ludowej – namiastki rządu na Wielkopolskę. Strzelanina pod hotelem Bazar poruszyła lawinę. W dziewięć dni powstańcy zajęli Poznań, a do połowy stycznia 1919 roku –

sporą część Wielkopolski. Wtedy ruszyła pomoc z Warszawy. Piłsudski wysłał do powstańców kadrę oficerską, której brakowało na miejscu, ale ponieważ właśnie otwarto obrady konferencji wersalskiej, działo się to po cichu, aby Polska uniknęła konfliktu z Niemcami na niwie dyplomatycznej i militarnej. Zwłaszcza że ze zlikwidowanego frontu zachodniego wojska niemieckie przerzucano na wschód kraju. Na początku lutego do ofensywy dyplomatycznej ruszyła Naczelna Rada Ludowa. Jej przedstawiciele wynegocjowali zawieszenie broni na dwa tygodnie – w sam raz na tyle, aby zapadła decyzja aliantów o rozciągnięciu postanowień rozejmu z Compiègne (tego zawartego z Niemcami 11 listopada) także na Polskę. Dobra organizacja powstańców (nie tylko militarna, lecz także jeśli chodzi o logistykę, zaopatrzenie i zapewnienie normalnego – jak na warunki wojenne – życia ludności cywilnej) oraz pomoc dyplomatyczna Francji sprawiły, że powstanie wielkopolskie zakończyło się, jako jedyne z polskich powstań narodowych, sukcesem.

Traktat wersalski podpisano 28 czerwca 1919 roku. Regulował on granicę polsko-niemiecką, choć przy tym pozostawiał sporo niedomówień. Na skutek oporu brytyjskiego premiera Lloyda George’a Gdańsk co prawda odebrano Niemcom, ale nie włączono go do Polski, tylko na wzór napoleoński nadano mu status wolnego miasta. O przebiegu granicy na Górnym Śląsku oraz Powiślu, Warmii i Mazurach, z racji skomplikowanej sytuacji narodowościowej, miały zdecydować plebiscyty. Traktat przyznawał Polsce Wielkopolskę w kształcie wywalczonym przez powstańców oraz Pomorze Gdańskie – czyli dawne Prusy Królewskie – jako realizację postulatu prezydenta USA Thomasa Woodrowa Wilsona, iż Polska ma mieć dostęp do morza. Ślązacy nauczeni wielkopolskim doświadczeniem wiedzieli, że dyplomacja dyplomacją, plebiscyt plebiscytem, a jak się zajmie jakiś teren, to argumenty w negocjacjach bardziej przekonujące. Trzykrotnie decydowali się więc na powstańczy czyn zbrojny, aby osiągnąć zakładany cel. Pierwszy raz była to spontaniczna reakcja na masakrę górników kopalni Mysłowice, dokonaną przez oddziały Grenzschutzu, czyli straży granicznej. Rozpoczęło się w nocy z 16 na 17 sierpnia 1919 roku. Trwało aż dziesięć dni, chociaż powstańcy nie mieli ani dobrego uzbrojenia, ani wyszkolenia – jedynie własną determinację. Sukcesem było to, że alianci zadecydowali o wycofaniu jednostek Grenzschutzu, a na teren, gdzie miał się odbyć

plebiscyt, zaczęły wkraczać wojska państw zwycięskich, by pilnować prawidłowego przebiegu głosowania. Mimo to dwadzieścia tysięcy powstańców w obawie przed represjami musiało uciekać do Polski. Drugie powstanie to reakcja na rozpuszczane przez Niemców pogłoski o zajęciu Warszawy przez Armię Czerwoną. Wybuchło 17 sierpnia 1920 roku, po niemieckich napaściach na polskich Ślązaków. Tym razem z Niemcami walczyły już dobrze zorganizowane oddziały polskiej samopomocy – udało im się zająć część Górnego Śląska. Walki przerwano pod presją państw obserwujących przygotowania do plebiscytu.

Głosowanie odbyło się 20 marca 1920 roku. Strona niemiecka przygotowała się do niego nad wyraz starannie, wykorzystując polski pomysł zaaprobowany przez państwa nadzorujące. Otóż w głosowaniu mogły brać udział wszystkie osoby urodzone na terenie objętym plebiscytem. Polacy liczyli na aktywność Ślązaków z Zagłębia Dąbrowskiego. Tymczasem zaangażowanie Niemców w sprawę plebiscytu było tak olbrzymie, że z całego kraju zjechali się Niemcy pochodzący ze Śląska. Specjalne pociągi dowiozły ponad 182 tysiące osób, a z Polski dotarło zaledwie 10 tysięcy polskich Ślązaków. Wynik był więc z góry przesądzony – za Polską oddano 479 tysięcy głosów, za Niemcami – 707 tysięcy. Polacy postanowili nie czekać, aż wyniki plebiscytu przełożą się na trwałe wytyczenie granicy i w nocy z 2 na 3 maja 1921 roku wybuchło trzecie powstanie. Tym razem dobrze zorganizowane, na czele z Wojciechem Korfantym jako dyktatorem (był wcześniej we władzach powstania wielkopolskiego), odniosło sukces dzięki zaskoczeniu Niemców. Objęło spory teren Śląska z Górą Świętej Anny, „śląską Jasną Górą” – miejscem szczególnym dla wszystkich Ślązaków. W czerwcu wojska rozjemcze odgrodziły kordonem walczące strony. Czyn zbrojny Ślązaków odniósł dobry skutek. Bezpośrednio po plebiscycie Wielka Brytania i Włochy opowiadały się za oddaniem Niemcom całego Śląska. Teraz rada ambasadorów podjęła decyzję o podziale: 20 października 1921 roku ogłosiła, że 29 procent obszaru plebiscytowego przypadnie Polsce. Była to decyzja korzystna dla Polski, ponieważ zamieszkiwało go prawie milion osób, czyli 46 procent ludności obszaru plebiscytowego. Także jeśli chodzi o zasoby surowców naturalnych, trzecie powstanie dało Polsce 97 procent hut rudy żelaza na tym terytorium, 82 procent kopalń cynku, 71 procent kopalń ołowiu, 26 procent kopalń węgla. Połowa wszystkich hut żelaza

przypadła Polsce, a ponadto fabryka nawozów azotowych w Chorzowie. Dla Niemców oznaczało to poważną stratę – tracili ważny gospodarczo obszar, tym cenniejszy, że Zagłębie Saary podlegało międzynarodowej kontroli.

Źle natomiast wyglądały interesy Polski na Powiślu, Warmii i Mazurach. Plebiscyt przeprowadzono w czasie, gdy Armia Czerwona szła w kierunku Warszawy, co propaganda niemiecka wykorzystywała, by przedstawiać Polskę jako „państwo sezonowe". Polscy działacze niepodległościowi byli zastraszani. Na teren plebiscytowy z głębi Niemiec, tak jak na Śląsk, ciągnęły całe pociągi Niemców urodzonych na spornych ziemiach. Mazurzy, chociaż w XVII wieku trafili na te tereny z Mazowsza, to jednak zasymilowali się już z Niemcami. Byli poza tym w większości wyznania ewangelickiego, a Polska kojarzyła im się z katolicyzmem. Nic więc dziwnego, że w takiej sytuacji za Polską oddano tylko 3,3 procent głosów. Koniec końców na tym terenie Polska odzyskała tylko trzy wsie na Mazurach, pięć na Powiślu oraz całe koryto Wisły.

Granica, przynajmniej ta zachodnia, została ustalona i liczyła 1912 kilometrów (była więc najdłuższą z polskich granic), ale należało jeszcze jakoś ułożyć stosunki z sąsiadem, który znajdował się po jej drugiej stronie. W kraju istniała też mniejszość niemiecka licząca około 700 tysięcy osób (czyli ponad dwa procent całego składu narodowościowego Polski), ciesząca się prawami gwarantowanymi przez traktat wersalski. Polsce i kilku innym państwom środkowoeuropejskim narzucono podpisanie go, podczas gdy Niemcy nie musiały tego zrobić (demokracje zachodnie uważały widać, że są równi i równiejsi; coś z tego myślenia tkwi nadal w świadomości Francuzów – jeszcze niedawno prezydent Francji Jacques Chirac karcił Polskę za to, że „straciła okazję siedzenia cicho"). Dawało to okazję do mieszania się Niemców w wewnętrzne sprawy Polski pod pretekstem ochrony praw mniejszości – skargi niemieckie do Ligi Narodów (organizacji mającej rozwiązywać drogą pokojową konflikty międzypaństwowe) na wyimaginowane prześladowania ze stron władz polskich były na porządku dziennym. Tymczasem Niemcy w Polsce cieszyli się prawami w praktyce większymi niż inne nacje. Działały towarzystwa społeczne, kulturalne i organizacje polityczne, które w roku 1931 utworzyły Radę Niemców w Polsce.

Jeśli chodzi o kontakty z Republiką Weimarską, jak nazywa się potocznie Niemcy po traktacie wersalskim, to granice nadal były kością niezgody. Niemców drażnił „korytarz”, jak nazywali dawne Prusy Królewskie, które w granicach niemal takich samych jak przed pierwszym rozbiorem (bez Gdańska, Kwidzyna i Warmii) przyznano Polsce. Polacy w zamian szykanowali podróżnych jadących pociągami na przykład z Berlina do Królewca. Jak wspomina hrabina Marion Dönhoff, po wielu latach wielka przyjaciółka Polski i orędowniczka polsko-niemieckiego pojednania, cała podróż przez terytorium Polski odbywała się przy zaciągniętych zasłonach w oknach przedziałów, a podróżnych poddawano drobiazgowej kontroli paszportowej i celnej. Miało to też na celu wyłapywanie ewentualnych niemieckich dywersantów, a tych nie brakowało. To niemiecki sabotażysta podpalił w 1920 roku ogromny pokrzyżacki zamek w Gniewie. Na arenie międzynarodowej policzkiem dla Polski był układ w Locarno w zawarty w 1925 roku między Niemcami a państwami zachodnimi. Gwarantował on nienaruszalność granic Niemiec z Francją i Belgią, ale całkowicie pomijał milczeniem kwestię niemieckiej granicy na wschodzie. Konflikty powstawały z powodu Wolnego Miasta Gdańska i naruszania w nim interesów i prerogatyw przyznanych Polsce. W Warszawie dobrze pamiętano sztucznie wywołany strajk dokerów, który uniemożliwił dostarczenie zakupionej na zachodzie broni polskiemu wojsku w najgorętszym okresie wojny z Sowietami. Decyzja o budowie niezależnego portu była więc koniecznością polskiej racji stanu – tuż przy Sopocie należącym do Wolnego Miasta, w miejscu wioski rybackiej, powstał w rekordowym tempie najnowocześniejszy nad Bałtykiem port umożliwiający eksport polskiego węgla, a obok wyrosło nowoczesne miasto. Niemcy mogli tylko słać do rezydującego w mieście przedstawiciela Ligi Narodów protesty w przypadkach rzekomego naruszania przez Polaków i Gdynię interesów Gdańska. Gdańscy Niemcy nie wyciągali żadnych lekcji z historii miasta – nie rozumieli, że jego dobrobyt zależy od dobrych kontaktów z Rzecząpospolitą.

Przejęcie władzy przez Hitlera w roku 1933 przyniosło polepszenie w stosunkach dwustronnych – Führer rozprawę z Polską zostawił na później, najpierw zajął się rozprawą z konkurencją wewnątrz swojej partii oraz szykanowaniem i usuwaniem Żydów z kraju. Marszałek Piłsudski jako doktrynę państwową przyjął utrzymywanie równowagi w stosunkach

z Sowietami i Niemcami. Przyjął także inną doktrynę – dwóch wrogów. I w tym wypadku chodziło o te same państwa. Dlatego dwa lata po zawarciu w 1932 roku paktu o nieagresji z Sowietami podpisano analogiczny układ z Niemcami. Polscy dyplomaci świętowali sukces, ale Piłsudski znał Niemców bardzo dobrze i na wszelki wypadek kazał przyszykować plany wojny prewencyjnej. Marszałek uważał, że należy zaatakować Niemcy w momencie, gdy zaczną łamać postanowienia traktatu wersalskiego. To, czy do takiej wojny by doszło, zależało od stanowiska państw zachodnich, gdyż one powinny równocześnie zaatakować Niemcy od drugiej strony.

Marszałek Józef Piłsudski zmarł 12 maja 1935 roku. W Warszawie duże wrażenie zrobił fakt, że Adolf Hitler wziął udział w nabożeństwie żałobnym w berlińskiej katolickiej katedrze Świętej Jadwigi. Hitler poważał Piłsudskiego, bo poważał silnych mężów stanu. Ale Polski już nie poważał. Na razie prowadził z nią grę dyplomatyczną – w Warszawie gościł Herman Göring, podejmowany z najwyższymi honorami przez prezydenta Ignacego Mościckiego (rauty na Zamku Królewskim, polowania w Białowieży); badał ewentualną reakcję Polski na plany Hitlera co do zerwania „dyktatu wersalskiego”. Polska stała jednak na stanowisku niezmienności postanowień traktatu, ponieważ jakakolwiek zmiana otwierałaby furtkę do rewizji kolejnych postanowień, także tych dotyczących Polski. Dla uważnych obserwatorów europejskiej sceny politycznej było jasne, że kolejną ofiarą Hitlera po Austrii i Czechach będzie Polska. Hitler domagał się zgody na budowę eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej łączących Niemcy z Prusami Wschodnimi. W emocjonalnym wystąpieniu w Sejmie szef polskiego MSZ Józef Beck odmówił spełnienia niemieckich żądań i powiedział, że dla Polaków najcenniejszą rzeczą jest honor. Beck wygłaszał to patetyczne przemówienie, doskonale zdając sobie sprawę ze stanu polskiej armii. Już w roku 1936 bowiem powstał raport na temat skutków remilitaryzacji Niemiec. Wymowa raportu była jednoznaczna – jeśli chodzi o stan uzbrojenia, Polska była daleko w tyle za Niemcami.

Minister spraw zagranicznych Włoch, a przy okazji zięć Mussoliniego, hrabia Galeazzo Ciano, tak zanotował przebieg rozmowy z Göringiem 16 kwietnia 1939 roku: „Najbardziej mnie uderzył ton, jakim mówił o stosunkach z Polską. Dziwnie mi to przypomina ton, jakiego używało się dawniej w Niemczech, mówiąc o Austrii i o Czechach. A jednak Niemcy

mylą się, że będą mogli w ten sam sposób postąpić. Polacy zostaną pobici, ale broni nie złożą bez ostrej i krwawej walki”.

31 sierpnia 1939 roku późnym wieczorem z lokalnej radiostacji w przygranicznych niemieckich Gliwicach popłynęły w eter polskie słowa i pieśni patriotyczne. Policja, która przybyła na miejsce, znalazła przed radiostacją kilka ciał mężczyzn w polskich mundurach. Wniosek był jeden: Polska zaatakowała Trzecią Rzeszę. W rzeczywistości byli to niemieccy kryminaliści, którym za udział w tajemniczej akcji obiecano złagodzenie kary. Zgodzili się, bo wtedy jeszcze nie było wiadomo, że SS nie zostawia świadków. Ta prowokacja była potrzebna Hitlerowi, aby zakomunikować światu, że działania wojenne, które podejmuje, są odpowiedzią na polską agresję. Kiedy o godzinie 4.45 wystrzał z krążownika „Schleswig-Holstein” dał sygnał do ataku na Westerplatte, trwał już bombowy nalot Luftwaffe na bezbronne miasteczko Wieluń (przypomina się *casus* Kalisza z I wojny światowej i Guerniki z wojny domowej w Hiszpanii – Niemcy lubią od czasu do czasu zbombardować bezbronne miasteczko, zapewne uznane za zbyt mało kulturalne lub ucywilizowane). Kilkunastu żołnierzy na Westerplatte miało bronić się przez kilka godzin do czasu nadejścia posiłków z Polski – broniło się przez tydzień. Krótki komunikat nadawany w Polskim Radio „Westerplatte broni się” dodawał otuchy walczącym żołnierzom i cywilom w bombardowanych miastach. Po kapitulacji zamknięto polskich żołnierzy i oficerów w obozach jenieckich. Pocztowców, którzy bronili się w gmachu Poczty Polskiej w Gdańsku, Niemcy rozstrzelali. Niemieccy żołnierze, przekonani o tym, że pokonają Polskę w wyniku „wojny błyskawicznej” *Blitzkrieg*, po zrobieniu pamiątkowych zdjęć przy wyłamanych szlabanach granicznych napotykali silny opór mimo swojej ogromnej przewagi w sprzęcie i ludziach. Przez trzy dni trwała bitwa nad Bzurą, którą generał Tadeusz Kutrzeba podjął, aby powstrzymać natarcie na Warszawę. Zgodnie ze zobowiązaniami sojuszniczymi Polska miała powstrzymywać niemiecką ofensywę przez dwa tygodnie. Tyle czasu miały potrzebować Francja i Wielka Brytania, aby rozpocząć ofensywę na Zachodzie. Tymczasem swoje zobowiązania sojusznicze ograniczyli do wypowiedzenia Niemcom wojny 3 września.

Za to 17 września wypełnił zobowiązania sojusznicze wobec Niemców Związek Radziecki – zgodnie z tajnym protokołem paktu Ribbentrop–

Mołotow. Sowieci wkroczyli na wschodnie tereny Rzeczypospolitej. Moja cioteczna babka, która z Wielkopolski dotarła aż do Sokala, na wieść o sowieckiej agresji natychmiast zaczęła wracać na zachód Polski – mit o cywilizowanych Niemcach nadal funkcjonował. Z powodu sowieckiego ataku władze państwowe podjęły decyzję o ewakuacji prezydenta i rządu oraz naczelnego wodza (nie przysporzyło to chwały marszałkowi Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu) do Rumunii, gdzie zostali internowani. Warszawa skapitulowała 27 września, dzień później Niemcy i Sowieci podpisali układ o linii demarkacyjnej przebiegającej na Bugu i Sanie. Wojsko polskie broniło się najdłużej na Półwyspie Helskim, a ostatnia regularna bitwa kampanii wrześniowej rozegrała się 5 października pod Kockiem. Niezależnie od wyniku trzeba powiedzieć, że nie był to tryumfalny *Blitzkrieg*. Formalnie Polska nie podpisała kapitulacji, a niektóre formacje, jak oddział słynnego majora Henryka Dobrzańskiego „Hubala", przeszły do walki partyzanckiej.

Polacy tworzyli konspiracyjne organizacje wojskowe jeszcze przed końcem kampanii wrześniowej. 27 września 1939 roku powstała Służba Zwycięstwu Polski, w listopadzie – Związek Walki Zbrojnej. Te organizacje przekształciły się w Armię Krajową – podlegającą polskiemu rządowi na emigracji największą militarną strukturę konspiracyjną w Europie. Do AK dołączały kolejne organizacje konspiracyjne, w tym harcerze jako Szare Szeregi. Żołnierze AK dokonywali spektakularnych akcji jak odbijanie więźniów czy zamach na hitlerowskiego zbrodniarza Frantza Kutscherę. Nawet wykradzenie z bazy w Peenemünde i przekazanie do Wielkiej Brytanii ściśle tajnych planów rakiet V1 i V2, którymi bombardowano Londyn, to zasługa polskich żołnierzy z AK. W kraju kwitła partyzantka, okolica Pińczowa na Kielecczyźnie została całkowicie oczyszczona z Niemców. Największy bój Armia Krajowa przeprowadziła z Niemcami jednak nie w konspiracji, ale w regularnej wojnie, czyli w powstaniu warszawskim (o którym można przeczytać w rozdziale *O nieustającej walce na miecze, armaty i słowa*).

Niemcy zajętą część Polski podzielili na dwie części: ziemie północne i zachodnie wcielili bezpośrednio do Rzeszy (tam władzę sprawowali partyjni gauleiterzy), a z pozostałych ziem utworzyli Generalne Gubernatorstwo ze stolicą w Krakowie. Gubernatorem został były prawnik

Hitlera Hans Frank. Rezydował na Wawelu i zdaje się, że umyślił sobie, iż z tego tytułu jest równy królom. Dlatego oddawał się prawdziwie królewskiemu hobby i, wzorem Führera czy Göringa, kolekcjonował zrabowane dzieła sztuki. Perłami w jego kolekcji były zabrane z muzeum książąt Czartoryskich *Dama z gronostajem* Leonarda da Vinci i *Portret młodzieńca* Rafaela Santi. Z terenów wcielonych do Rzeszy masowo wysiedlano polską ludność – zwycięzcy potrzebowali przecież *Lebensraum* (przestrzeni życiowej). Wysiedleni trafiali do Generalnego Gubernatorstwa i tam musieli szukać schronienia, wyżywienia i pracy (w taki właśnie sposób poznali się moi dziadkowie, więc teoretycznie powinienem odczuwać coś w rodzaju wdzięczności wobec III Rzeszy, ale jakoś nie mogę…). Urządzano obozy przejściowe, na przykład w pałacu w Dobrzycy, gdzie w fatalnych warunkach przetrzymywano pochodzących z Wielkopolski arystokratów i przedstawicieli inteligencji. Na Pomorzu i w Wielkopolsce (teraz już zwanej Warthegau, „okręgiem Warty") wyrzucono z gospodarstw kilkaset tysięcy polskich chłopów, aby ich miejsca zajęły osoby niemieckiego pochodzenia z Estonii i Łotwy, pozostających w sowieckiej strefie wpływów (z jakiejś przyczyny Niemcy nie chcieli pozostawiać rodaków pod rządami wschodniego sojusznika). Hitlerowcy stosowali też odpowiedzialność zbiorową wobec Polaków – za to, że we wrześniu 1939 roku polskie wojsko walczyło z piątą kolumną, czyli niemieckimi szpiegami, w październiku 1939 roku rozstrzelano w Bydgoszczy dwadzieścia tysięcy Polaków.

Po akcji wysiedleń Niemcy zaczęli przydzielać ludziom na podbitych terytoriach jedną z czterech kategorii: *Reichsdeutsche* (urodzeni w granicach przedwojennej Rzeszy), *Volksdeutsche* (Niemcy naturalizowani, pod warunkiem że dowiedli swojej niemieckości do trzeciego pokolenia), *Nichtdeutsche* („nie-Niemcy", ludność niemająca niemieckich koneksji, ale także niemająca żadnych koneksji z Żydami) oraz *Juden* – czyli ludność żydowska. Polaków nie tylko wysiedlano z terenów włączonych do Rzeszy. Kiedy zaczęło brakować rąk do pracy, wywożono ich na roboty w głąb Niemiec. W tej sytuacji w cenie były wszelkie dokumenty, nawet fałszywe, chroniące przed wywozem na roboty – można się było też wykupić odpowiednio wysoką łapówką – mit nieprzekupnego Niemca szybko legł z gruzach.

Niemcy chcieli zniszczyć polski naród, zepchnąć go do roli pariasów, niewolników służących rasie panów. Polak miał skończyć kilka klas szkoły, tak aby potrafił się podpisać i wykonać kilka prostych działań arytmetycznych – ale nic więcej. Polacy odpowiedzieli na to tajnymi kompletami, czyli konspiracyjnym nauczaniem prowadzonym w najróżniejszych warunkach – nawet w więzieniach i obozach. Pod niemiecką okupacją zdawano matury i egzaminy na studiach. Na ograniczenia w aprowizacji (wprowadzono kartki na żywność – i tak *Reichsdeutscher* mieszkający w Polsce otrzymywał kartki na produkty o wartości czterech tysięcy kalorii dziennie, podczas gdy polski robotnik – tylko dziewięćset kalorii) Polacy odpowiedzieli gigantycznym rozwojem czarnego rynku.

Wszystko to zmieniało się wraz ze zbliżającym się frontem wschodnim – Sowieci, niedawni sojusznicy, szli teraz na zachód, aby rozprawić się z Niemcami. Towarzyszyła im Pierwsza Armia Wojska Polskiego pod dowództwem generała Zygmunta Berlinga, stworzona przez polskich komunistów. Armia generała Władysława Andersa, którą utworzono z ludzi wyciągniętych z radzieckich łagrów, musiała ewakuować się przez Iran na Bliski Wschód, po tym jak Sowieci wstrzymali wydawanie polskim żołnierzom racji żywnościowych. Żołnierze Andersa walczyli między innymi o klasztor Monte Cassino, niemieckie gniazdo oporu zamykające drogę do Rzymu. Dokonali tego, czego nie potrafili inni – wykurzyli Niemców z ruin klasztoru. Polscy piloci walczyli w obronie Wielkiej Brytanii – to o nich premier Winston Churchill powiedział: „Jeszcze nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym” – w bitwie o Anglię w roku 1940 liczba zestrzeleń niemieckich samolotów przez Polaków to około piętnastu procent niemieckich strat. Pod Arnhem polscy spadochroniarze wykazali się wielką odwagą. Ta determinacja i wola walki Polaków nie przełożyła się jednak na sukcesy polityczne po wojnie. Decyzją USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR Polska miała znaleźć się w sowieckiej sferze wpływów. I utracić około połowy swojej powierzchni na wschodzie. Jako rekompensatę przewidziano oddanie Szczecina oraz niemieckich terenów na prawym brzegu Nysy Łużyckiej i Odry. Pociągnęło to za sobą wysiedlenie setek tysięcy Niemców – ale do tych ludzi, w przeciwieństwie do polskich uciekinierów we wrześniu 1939 roku, nikt nie strzelał.

O NIEUSTAJĄCEJ WALCE NA MIECZE, ARMATY I SŁOWA

Albo Niemcy się w zgliszcza rozpadną, i dym
Wiatr rozniesie i podrze i przetrze
– Albo Polski nie będzie. Albo nam, albo im
Ziemia, niebo i świat i powietrze!

Nie ma miejsca na ziemi dla nas obu i brak
Dla nas obu powietrza i słońca.
Nie zwyciężyć – to już nie być. I tak
Niech już będzie. Niech bój pójdzie do końca

Do sąsiadów
Marian Hemar
1941

A teraz, szanowny Czytelniku, czas na bonus – podziękowanie za to, że przebrnąłeś te kilkaset stron i doszedłeś aż tutaj. Miało być śmiesznie, ale czasami było strasznie – widać inaczej nie dało się opowiedzieć tego, co działo się przez ponad tysiąc lat sąsiedzkich przekomarzań. Albo autorowi zabrakło akurat w danym miejscu poczucia humoru…

Dlatego ten rozdział potraktuj, szanowny Czytelniku, jako coś w rodzaju *potpourri*. Zbiór wiedzy przyjemnej, a do niczego niepotrzebnej. Choć kto wie?

Wśród obowiązków władców, oprócz przedłużenia dynastii i wybudowania któremuś z ulubionych poprzedników pomnika, a także oprócz wydawania

pieniędzy płynących z podatków poddanych do królewskiej szkatuły, warto jeszcze wymienić prowadzenie wojen. Dodajmy od razu – zwycięskich, gdyż te przegrane groziły utratą tronu, ewentualnie życia albo na polu bitwy, albo po powrocie do kraju. Polska z Niemcami, a także Niemcy z Polską prowadziły wojny, o dziwo, niezbyt często, w porównaniu na przykład z liczbą wojen państwa polsko-litewskiego z Rosją czy Turcją. Natomiast jeśli już do konfliktu dochodziło, to obie strony szły na całość. Bitwa pod Grunwaldem czy II wojna światowa wstrząsnęły światem (za czasów Grunwaldu ów świat był zdecydowanie mniejszy, więc i mniej wysiłku trzeba było, żeby nim zdrowo wstrząsnąć). Inne bitwy wstrząsały na mniejszą skalę – Polską albo Niemcami, albo jednym i drugim państwem. Przyjrzyjmy się kilku, wytypowanym w nader subiektywnym, złośliwym i stronniczym wyborze.

BITWA O DROGĘ

Bitwa pod Cedynią nieopodal brodu na Odrze należy do jednego z mitów założycielskich państwa polskiego. Przez lata PRL-owskiej propagandy tę bitwę przedstawiano jako zwycięstwo żywiołu słowiańskiego nad hordami niemieckiego najeźdźcy. Dzielny polski książę Mieszko powstrzymał germańską nawałę, a tym samym zniweczył zamiary agresora, który już wtedy planował *Drang nach Osten*. W rzeczywistości ani to nie były hordy, ani wyprawa państwowa, czyli prowadzona przez majestat cesarski. Była to, można rzec, prywatna inicjatywa margrabiego saskiej Marchii Wschodniej – Hodona. Marchie to jednostki organizacyjne, w które łączono nadgraniczne tereny, aby stanowiły bufor między cesarstwem a Słowianami zabezpieczające ziemie cesarza od najazdów ze wschodu. I jak to bywa w takich miejscach, trafiały tam najróżniejsze szumowiny i zbiegowie uciekający przed cesarską sprawiedliwością. Takim osobnikiem Hodo – zabijaka i mąciciel pierwszej wody. Cesarz chciał go mieć po swojej stronie, więc nadał mu Marchię Wschodnią, aby Hodo rezydował w granicach cesarstwa, ale jednocześnie jak najdalej od cesarza. Hodo z niechęcią patrzył na rosnące w siłę niedaleko jego Marchii państwo Polan. W dodatku Mieszko ostrzył sobie zęby na plemię Wolinian, oddzielające jego państwo od Marchii. A Hodo uważał ich za swoją strefę wpływów.

Niemiec postanowił więc dać nauczkę ambitnemu władcy, a przy okazji zebrać trochę łupów – takich pamiątek z wyprawy. Skrzyknął więc parę tysięcy awanturników wszelkiej maści i ruszył na wschód. Mieszko zebrał mniej więcej tylu samo wojów, ale miał przewagę w łucznikach (za to Hodo – w ciężkiej jeździe). Do spotkania doszło pod Cedynią. Zapiski kronikarzy są dość lakoniczne: „Kiedy w dzień świętego Jana Chrzciciela starli się z Mieszkiem, odnieśli zrazu zwycięstwo, lecz potem w miejscowości zwanej Cidini brat jego Czcibor zadał im klęskę, kładąc trupem wszystkich najlepszych rycerzy z wyjątkiem wspomnianych grafów”. Zwycięstwo pod Cedynią było bowiem wspólnym dziełem Mieszka i Czcibora: polski książę podzielił swoich wojów na trzy grupy: na stoku wzgórza, na którym leżała Cedynia, ukrył łuczników i tarczowników oraz część jazdy pod wodzą

Czcibora. Resztą jazdy, która zablokowała wąską drogę, dowodził osobiście. Kiedy rankiem 24 czerwca 972 roku opadły mgły, do ataku ruszyła konnica Hodona. Mieszko udał, że ucieka, i cofnął się za przewężenie drogi. Kiedy niemiecka szarża dopadła do tego miejsca, jej szyk się załamał. Nagle posypały się strzały ukrytych łuczników, potem zaatakowali tarczownicy, a od tyłu uderzyła jazda pod dowództwem Czcibora. Rzeź była straszliwa – tylko nielicznym Niemcom, z Hodonem na czele, udało się wydostać z tego okrążenia. Co ciekawe, Mieszko zastosował stary, ulubiony manewr Słowian z wciągnięciem wroga w zasadzkę. Dlaczego Hodo, który zjadł zęby na potyczkach ze wschodnimi sąsiadami, dał się na to nabrać, pozostanie tajemnicą. W każdym razie – odtąd przestał najeżdżać Polskę. Ale to Mieszko zarobił reprymendę od cesarza – Otton I wezwał w następnym roku księcia Polan oraz Hodona do Kwedlinburga. Tam zażądano od Mieszka wydania na cesarski dwór Bolesława, syna Mieszka, jako gwaranta pokoju.

BITWA, KTÓREJ NIE BYŁO

Jesienią 1109 roku cesarz Henryk poniósł bolesną porażkę – nie udało mu się, mimo długiego oblężenia, zdobyć Głogowa. Ruszył więc do Wrocławia. Bolesław Krzywousty nękał go podjazdami, aż doszło do regularnej bitwy: właśnie pod Wrocławiem. „Cesarz postąpił pod miasto Wrocław, gdzie jednak nic więcej nie zyskał, jak trupy na miejsce żywych” – tyle Gall Anonim. Więcej inwencji w opisywaniu tej potyczki wykazał mistrz Wincenty Kadłubek. Zanotował, że Polacy zastosowali, tak jak pd Cedynią, pozorowany odwrót, wciągnęli Niemców w zasadzkę i doprowadzili ich do klęski. Pokonanych Niemców miało być tylu, że od tamtego wydarzenia wzięła się nazwa Psie Pole: „Na dowód tego istnieje jeszcze nazwa miejsca, bowiem zbiegła się tam niezmierna sfora psów, które pożerając tyle trupów, zapadły w jakąś szaleńczą dzikość, tak że nikt nie śmiał tamtędy przejść, i dlatego owo miejsce nazywa się Psim Polem”.

Historia piękna, ale najprawdopodobniej zupełnie nieprawdziwa. Nazwa pochodzić ma od kiepskiego – „psiego” – gatunku gleby w tym miejscu. Jak było, tak było, ale w każdym razie zawsze to punkt więcej dla Polski w tysiącletnich zmaganiach z Niemcami.

BITWA O CHORĄGIEW

Król Władysław Łokietek nie miał lekkiego życia z Niemcami. Wójt (ktoś na kształt burmistrza w czasach, zanim tę funkcję wprowadzono) Albert z Krakowa wywołał w stołecznym grodzie bunt przeciw władcy. Łokietek bunt zdławił, ale żeby wyłapać jego uczestników, wprowadził swego rodzaju egzamin językowy: złapanym na ulicy podejrzanym osobnikom straż kazała powtarzać typowo polski wyraz „soczewica” oraz zdanie „Koło miele młyn”. Kto wymówił te łamańce bezbłędnie, był puszczany wolno.

Od czasu gdy Krzyżacy zajęli podstępnie Gdańsk, Łokietkowi składającemu po kolei rozbite na dzielnice Królestwo Polskie w całość doszedł kolejny kłopot. Krzyżacy w walce z królem Władysławem znaleźli sojusznika w osobie czeskiego władcy Jana Luksemburskiego. Luksemburczyk, jako następca dynastii Przemyślidów panującej krótko na ziemiach polskich, rościł pretensje do tronu w Krakowie. Plan Krzyżaków i czeskiego króla polegał na wspólnym uderzeniu na Wielkopolskę i Kujawy. Czesi jednak nie dotarli na czas na wyznaczone miejsce. Krzyżacy postanowili zatem uderzyć samodzielnie i ruszyli na Kujawy. Bezpośrednim celem był Brześć Kujawski. Swoje wojsko w liczbie siedmiu tysięcy podzielili na trzy części. Łokietek, z wojskiem w sile pięciu tysięcy, podążał za nimi. 27 września 1331 roku w okolicach wsi Płowce postanowił zaatakować krzyżacką straż tylną, liczącą dwa tysiące zbrojnych pod wodzą wielkiego marszałka Dietricha von Altenburga. Marszałek zdołał odeprzeć dwa ataki Łokietka. Przy trzecim padł koń krzyżackiego chorążego i górująca nad polem walki wielka chorągiew zakonu, przytroczona do siodła, runęła na ziemię. Wywołało to panikę wśród Krzyżaków – stracili punkt orientacyjny tak niezbędny w bitewnym zamieszaniu. Oddział został rozbity, a sam Altenburg – pojmany. Wielu dostojników krzyżackich oddało się w niewolę.

Nie był to jednak koniec bitwy. Niedobitki dotarły do głównych sił krzyżackich, które zaatakowały polski obóz. Teraz szczęście sprzyjało Krzyżakom – odbili chorągiew i sporą część więźniów. Na pole bitwy dotarła w końcu przednia straż Krzyżaków – ale Polacy pokonali ich

i schwytali dowódcę, komtura Bałgi Henryka Reussa von Plauena, oraz innych znacznych zakonników-rycerzy. Następnie jednak szala znów przechyliła się na stronę Krzyżaków, którzy odbili polskie tabory. W końcu ciemności uniemożliwiły kontynuowanie walki. Łokietek nakazał Polakom wycofanie się. Ale i Krzyżacy zrezygnowali z dalszego marszu na Kujawy; wrócili do Torunia. I chociaż bitwa nie została rozstrzygnięta, to PR-owo Łokietek odniósł sukces – udowodnił, że Krzyżacy nie są niepokonani.

BITWA O DWA NAGIE MIECZE

Bitwa pod Grunwaldem zajmuje w polskiej historii miejsce szczególne. W niemieckiej podobnie, chociaż według Niemców odbyła się nie pod Grunwaldem, ale pod Tannenbergiem. Widać Niemcy uważają, że skoro nie można zmienić jej wyniku, to chociaż nazwę można dać inną – dla zmylenia przeciwnika.

Bitwa pod Grunwaldem była kulminacją, ale nie końcem wielkiej wojny z zakonem, prowadzonej od 1409 roku. 30 czerwca 1410 polskie wojska z Wielkopolski i Małopolski przekroczyły Wisłę po moście pontonowym pod Czerwińskiem i 2 lipca połączyły się z siłami z Mazowsza i Litwy. Ku zaskoczeniu Krzyżaków, którzy spodziewali się ataku na ziemię dobrzyńską, zajętą przez nich w poprzednim roku, Jagiełło rozkazał marsz w kierunku Malborka. Krzyżacy chcieli powstrzymać Polaków na ufortyfikowanych brodach na Drwęcy, ale Jagiełło rozkazał obejść zasadzkę od wschodu. 15 lipca wczesnym rankiem wojska polskie rozłożyły obóz niedaleko Grunwaldu. Tam też dotarły wojska krzyżackie pod dowództwem wielkiego mistrza Ulryka von Jungingena.

Dzień był upalny – połączone wojska polsko-litewskie oczekiwały starcia w obozie ukrytym w lesie, podczas gdy Krzyżacy w ciężkich zbrojach stali w polu. Zwlekając z rozpoczęciem walki, Jagiełło kazał odprawiać msze w intencji zwycięstwa. Poirytowany wielki mistrz wysłał poselstwo dwoma mieczami i z butnym przesłaniem: „Wielki mistrz pruski Ulryk posyła tobie i twojemu bratu dwa miecze, ku pomocy, byś z nim i z jego wojskiem mniej się ociągał i odważniej, niż to okazujesz, walczył, a także żebyś dalej się nie chował i pozostając w lasach i gajach, nie odwlekał walki”. Jagiełło odpowiedział ze spokojem: „Mieczów ci u nas dostatek, ale i te przyjmiemy jako znak dobrej wróżby”. Po odśpiewaniu *Bogurodzicy* ruszyła do boju lekka jazda litewska i tatarska. Rozpoczęła się sześciogodzinna bitwa. Litwini zaatakowali piechotę i artylerię (tę drugą skutecznie wyeliminowali z dalszej bitwy, zdziesiątkowawszy obsługę dział). Wówczas atak przypuściła jazda krzyżacka – celem była polska jazda na lewym skrzydle i wojska litewsko-rusko-tatarskie na prawym. Po

zażartej walce Krzyżacy odepchnęli wojska litewskie. Pogoń za nimi związała część wojsk zakonnych. Tymczasem wojska polskie na lewym skrzydle brały górę nad krzyżackimi zakonnymi, ale Krzyżakom prawie udało się zdobyć wielką chorągiew królestwa. Zaczęli już z radości śpiewać *Christ ist erstanden*. Tylko że „prawie” robi wielką różnicę – Polacy natychmiast podnieśli chorągiew i walczyli jeszcze zacieklej. Jagiełło, który w przeciwieństwie do wielkiego mistrza osobiście w bitwie nie uczestniczył, bo obserwował jej przebieg ze wzgórza, aby mieć ogląd całości sytuacji, wprowadził teraz do walki odwody polskiej jazdy. Jej atak rozerwał główny korpus krzyżackich sił, a ukryte dotąd odwody lekkiej jazdy przypuściły atak. Krzyżacy zostali otoczeni i pokonani – teraz przyszła kolej na to, co wojujący lubią najbardziej – zdobycie taborów.

Pod Grunwaldem poległ wielki mistrz Ulryk von Jungingen (jak widać, decyzja o bezpośrednim udziale w walce, była błędem i strategicznym, i osobistym), pogrom Zakonu był straszliwy, a tryumf Polski i Litwy – całkowity. Jednak wygrana bitwa, choćby i największa, nie musi oznaczać zwycięstwa w wojnie. Jak pamiętamy z rozdziału *O sprowadzeniu butnych Krzyżaków na drogę pokory*, jeden dzień zwłoki w marszu na Malbork sprawił, że Jagiełło nie zdołał w pełni wykorzystać zdobytej przewagi.

O grunwaldzkiej wiktorii przypominały krzyżackie sztandary zawieszone jako wotum za zwycięstwo w wawelskiej katedrze, a w wawelskim skarbcu przechowywano owe dwa nagie miecze. Przetrwały nawet rabunek koronnych insygniów dokonany przez Prusaków w końcu XVIII wieku – zaślepieni złotem, nie zwrócili uwagi na niepozorne, żelazne miecze. Gdyby król Prus znał historię tego żelastwa, oddałby za nie wszystkie skarby. Później miecze trafiły do kolekcji polskich pamiątek narodowych księżnej Izabelli Czartoryskiej w Puławach, a po powstaniu listopadowym zostały wywiezione do Rosji. I być może spoczywają do dzisiaj w przepastnych magazynach petersburskiego Ermitażu.

Klęska pod Grunwaldem zapadła w niemiecką pamięć głęboko – dopiero bitwa pod Tannenbergiem podczas I wojny światowej, gdy wojska niemieckie pod dowództwem marszałka Hindenburga pokonały Rosjan, w niemieckiej świadomości zmyła, a przynajmniej nieco złagodziła hańbę grunwaldzką.

Polacy nieraz przypominali Niemcom o grunwaldzkim zwycięstwie, choćby dlatego, że jeszcze przez wiele lat stanowiło ono inspirację dla

artystów. Jan Matejko namalował *Bitwę pod Grunwaldem* na podstawie opisu w kronice Jana Długosza. Obraz przedstawiający kulminacyjny moment bitwy – śmierć wielkiego mistrza – cieszył się wielkim zainteresowaniem publiczności, pokazywany był w wielu europejskich krajach. Ku oczywistej irytacji Niemców. Kulturalni Niemcy nienawidzili tego obrazu do tego stopnia, że po zajęciu Polski w 1939 wyznaczyli ogromną nagrodę pieniężną za wskazanie miejsca jego ukrycia. Uspokoili się dopiero wówczas, gdy radio londyńskie podało informację o wywiezieniu obrazu razem ze skarbami wawelskimi do Londynu. I oto Niemcy kolejny raz zostali wywiedzeni w pole – płótno zapakowane w wielką tubę spoczywało sobie spokojnie zakopane w szopie pod Lublinem. Ostatni raz płótno Matejki wkurzyło Niemców całkiem niedawno, gdy miało być głównym obiektem na wystawie w Berlinie prezentującej tysiąc lat kontaktów polsko-niemieckich. Stan płótna konserwatorzy określili jako tak zły, że jego transport groziłby uszkodzeniem obrazu. Szykował się skandal na międzynarodową skalę: zażegnano go, pokazując w Berlinie kopię matejkowskiego dzieła, wykonaną haftem krzyżykowym. Śmiem podejrzewać, że praktycznym Niemcom taki eksponat wydał się bardziej interesujący niż olejny obraz.

Grunwald Matejki zainspirował Henryka Sienkiewicza do napisania powieści *Krzyżacy*, a ta z kolei zainspirowała Aleksandra Forda do nakręcenia w roku 1960 pierwszej polskiej superprodukcji. Jej kulminacyjnym momentem była oczywiście bitwa pod Grunwaldem. Według powszechnie powtarzanej anegdoty Emilian Karewicz, aktor grający Jagiełłę, miał w momencie wypowiadania kwestii „Czas na bitwę” spojrzeć w charakterystyczny sposób na przegub lewej ręki. Mimo wielokrotnego oglądania filmu nie udało mi się zauważyć owego momentu. To piękna „miejska” legenda, podobnie jak opowieść o tym, jakoby rok bitwy był zaszyfrowanym przepisem na proporcje składników potrzebnych do pędzenia bimbru (choć istotnie prawdą jest, że właściwe proporcje wynoszą 1:4:10). Dopóki takie legendy będą krążyć, duch Grunwaldu wiecznie żywy!

BITWA Z POLITYCZNYM SUKCESEM W TLE

Habsburgowie kilkakrotnie próbowali zasiąść na polskim tronie, przede wszystkim swoją tradycyjną metodą – eksportem małżonek. Ale podjęli też próbę wysłania kandydata płci męskiej do bezpośredniego objęcia tronu. Sprawa zakończyłaby się sukcesem, gdyby nie jeden Polak i jedna bitwa.

Po śmierci Stefana Batorego w roku 1586 wśród braci szlacheckiej, a przede wszystkim wśród części magnaterii, dużym poparciem cieszyła się kandydatura arcyksięcia Maksymiliana Habsburga. Nie sprzyjały jej jednak dwie osoby, najważniejsi gracze na polskiej scenie politycznej: królowa-wdowa Anna Jagiellonka oraz hetman wielki koronny Jan Zamoyski. Ten ostatni, początkowo niechętny lansowanej przez Jagiellonkę kandydaturze siostrzeńca Zygmunta Wazy (ostatnia gałązka familii Jagiellońskiej, chociaż po kądzieli), w obliczu groźby, że na tronie zasiądzie Habsburg, poparł młodego Wazę i tym sposobem przesądził o jego zwycięstwie. Maksymilian nie zamierzał tak łatwo rezygnować z niezłego kąska, jakim była polska korona, i ruszył na czele wojska, aby upomnieć się o to, co mu się należało.

Jeszcze nie wybrzmiał głos dzwonu „Zygmunt”, oznajmiający koronację króla Zygmunta III Wazy, a już do Krakowa dotarła wieść, że wojska Maksymiliana opanowały Lubowlę i Wieluń oraz że myśli on o zajęciu Wielkopolski, gdzie arcyksiążę miał silne poparcie. Hetman Zamoyski zebrał więc sześciotysięczną armię i ruszył na Wieluń. Habsburgowi nieco opadły skrzydła – wolał wycofać się z Wielunia i czekać na Zamoyskiego na austriackim wtedy Śląsku, w Byczynie. Zakładał zresztą, że hetman nie ośmieli się wkroczyć na teren cesarstwa. I tutaj się pomylił – sejm dał Zamoyskiemu praktycznie *carte blanche* w działaniach wojennych przeciw Habsburgowi.

W nocy z 23 na 24 stycznia 1588 roku wojska Zamoyskiego przekroczyły granicę i ruszyły w stronę Byczyny. Maksymilian miał niewielką przewagę liczebną nad polsko-węgierską armią hetmana. I chciał ją wykorzystać, ustawiając swoich ludzi na kształt półksiężyca – zakładał, że Zamoyski uderzy w środek, a wtedy zostanie oskrzydlony. Nic z tego

jednak nie wyszło. Hetman był zbyt dobrym dowódcą, żeby nabrać się na taką sztuczkę. Rano 28 stycznia rozkazał Polakom ruszyć skosem do armii Maksymiliana. Tym sposobem oddziały z lewego skrzydła uderzyły w centrum, a środek i prawe skrzydło – w lewe skrzydło wojsk austriackich. Wojska przeciwnika, całkowicie zaskoczone, rzuciły się do chaotycznej ucieczki. Maksymilian również umknął do Byczyny, ale już pierwszy szturm Polaków przekonał go, że jednak trzeba pertraktować. Zamoyski był jednak nieustępliwy – interesowała go tylko kapitulacja, i to tylko na jego warunkach: poddanie się i wydanie polskich popleczników. Wściekłość upokorzonego Habsburga nie miała granic – ale nie dano mu innego wyjścia.

Bitwa pod Byczyną to jeden z nielicznych w polskich dziejach przykładów zwycięstwa militarnego doskonale wykorzystanego w celach politycznych. 9 marca 1589 roku Polska zawarła z cesarstwem traktat będzińsko-bytomski. Stanowił on między innymi, że oba kraje od tej pory będą zawsze pozostawać na stopie pokojowej. Rzeczpospolita odzyskiwała Lubowlę, a Maksymilian zrzekał się wszelkich roszczeń do polskiej korony. Butny Habsburg nie okazał się jednak człowiekiem honoru – natychmiast po przekroczeniu granicy odmówił złożenia przysięgi dotrzymania ustaleń i nadal używał tytułu polskiego króla. Zamoyski sięgnął wtedy po sprawdzone metody propagandowe – polecił upublicznić zapiski z rokowań polsko-austriackich oraz treść traktatu będzińsko-bytomskiego i odpowiednio przygotowany opis bitwy pod Byczyną oraz listy zobowiązujące Maksymiliana do złożenia przysięgi. Kompromitacja domu habsburskiego w oczach Europy, jako tego, który nie dotrzymuje międzynarodowych umów, była olbrzymia. Arcyksiążę został wezwany na cesarski dywanik i tam przyrzekł przestrzegać ustaleń traktatu.

Upokorzenie zapadło Habsburgom głęboko w serce, bo jeszcze dziewięćdziesiąt pięć lat po Byczynie, kiedy Jan III Sobieski ratował Wiedeń przed turecką nawałą, cesarz Leopold I po wygranej przez Polaków bitwie wyraził swoją wdzięczność w nader oględny sposób. Nie był łaskaw zdjąć kapelusza ani w momencie, gdy prezentowano mu królewicza Jakuba Sobieskiego, ani podczas przeglądu wojsk, by oddać w ten sposób honor pochylającym się przed nim polskim sztandarom. Na pocieszenie po takiej zniewadze Polacy rozpowszechnili anegdotę, jakoby w momencie spotkania króla i cesarza żaden z nich nie zamierzał jako pierwszy uchylić

nakrycia głowy. Sobieski podniósł wówczas rękę w kierunku głowy, a cesarz, sądząc, że król uchyli przed nim kołpaka, zdjął kapelusz. Tymczasem Sobieski podniósł rękę, aby podkręcić wąsa, a kołpak zdjął dopiero wówczas, gdy cesarz mu się ukłonił.

BITWA O PRZYSZŁOŚĆ POLSKI

Powstanie warszawskie było dla Niemców najtrudniejszą bitwą miejską, jaką przyszło im prowadzić podczas II wojny światowej. Dla Warszawy i warszawiaków było najtragiczniejszym doświadczeniem w dziejach miasta. Ale nie zna warszawiaków ten, kto sądzi, że w tak dramatycznych okolicznościach nie mieliby ochoty na zażartowanie z wroga.

Powstanie było częścią planu Burza – w skrócie polegał on na tym, że żołnierze Armii Krajowej mieli usuwać Niemców z danego terenu w momencie, gdy zbliżała się Armia Czerwona, i występować wobec jej żołnierzy jako gospodarze. To, że czerwonoarmiejcy traktowali polskich gospodarzy, zwłaszcza na terenach wschodnich przedwojennej Rzeczypospolitej, w sposób – oględnie mówiąc – mało przyjazny, przekonało dowódców AK do włączenia do Burzy Warszawy. Miało to wyglądać następująco – gdyby niedaleko Warszawy Sowieci złamali niemiecki opór, udałoby się łatwo wyzwolić stolicę własnymi siłami. Co się jednak działo na froncie wschodnim, tego dowódcy AK dokładnie wiedzieć nie mogli – informacje pod koniec lipca 1944 były takie, że całkiem możliwe jest zajęcie Warszawy przez Rosjan z marszu. Dowódca AK, generał Tadeusz Bór-Komorowski, wyznaczył więc godzinę „W” – moment wybuchu powstania – na 1 sierpnia 1944 roku. Biorąc pod uwagę stan liczebny, Polacy górowali nad Niemcami: siły AK w stolicy i okolicy liczyły około 46 tysięcy osób, a niemiecki garnizon w lewobrzeżnej Warszawie – 16 tysięcy. Rozkaz mobilizacji nie dotarł jednak do wszystkich polskich oddziałów na czas, nie mówiąc już o fatalnym uzbrojeniu Polaków. Działając z zaskoczenia, powstańcy zdołali zająć między innymi Śródmieście, Powiśle i górny Czerniaków, Mokotów, Żoliborz i Starówkę. Radość z odzyskanej wolności wśród powstańców i ludności cywilnej miasta była ogromna.

Powstanie w ważnym punkcie logistycznym i zaopatrzeniowym na zapleczu frontu wschodniego było dla Niemiec ogromną komplikacją. Hitler dowiedział się o tym wieczorem 1 sierpnia i swoim zwyczajem wpadł w szał. Reichsführer SS Heinrich Himmler natychmiast podjął

decyzję: miasto zburzyć, mieszkańców wymordować (Warszawa po zlikwidowaniu przez Niemców getta liczyła ponad siedemset tysięcy mieszkańców). Ma to być nauczka dla innych stolic okupowanych państw, gdyby ich mieszkańcom przyszło do głowy coś podobnego. I rozkaz ten Niemcy, przywykli do posłuszeństwa, wypełniali z wielką starannością. Pierwsze tygodnie walk pokazały skuteczność Polaków. Mimo braków w uzbrojeniu wygrywali dzięki znajomości miasta. Ulice, którymi atakowali Niemcy, zastawione były barykadami. Aby się do nich zbliżyć, Niemcy potrzebowali wsparcia czołgów. Te zaś były łatwym celem dla pocisków zapalających rzucanych z górnych pięter. Polacy strzelali do wroga, kiedy ten podchodził blisko. Gwarantowało to większą skuteczność i oszczędność amunicji. Niemcy zmienili więc taktykę – zaczęli działać po niemiecku, czyli metodycznie. Koncentrowali się na krótszych odcinkach ulic, ale zajmowali także przyległe do nich domy. Najpierw ostrzeliwali je zmasowanym ogniem, by później zaatakować barykadę pod osłoną pojazdów pancernych. Specjalne grupy szturmowe atakowały wtedy przyległe domy.

Od połowy sierpnia powstańcy prowadzili już walkę defensywną. Nadzieje dowództwa, że Sowieci wzmocnią działania na froncie, zawiodły. Było wręcz przeciwnie: Stalin polecił wstrzymanie ofensywy, licząc na to, że Niemcy wykonają za niego czarną robotę. Nie tylko nie udzielił walczącym żadnej pomocy, ale nie zgodził się też na międzylądowanie alianckich samolotów ze zrzutami dla walczącej stolicy. Podejmowali się więc tego zadania nieliczni, bohaterscy piloci. Kapitulacja powstania była zatem kwestią czasu. Gdy w rękach powstańców pozostało już tylko Śródmieście, generał Bór-Komorowki 28 września zadecydował o podjęciu rokowań z Niemcami. Akt kapitulacji podpisano w nocy z 2 na 3 października. Niemcy zobowiązali się nie stosować represji zbiorowych wobec ludności cywilnej, a walczącym przyznać prawa kombatanckie. Do niewoli trafiło około 15 tysięcy akowców z dowództwem. Kilka tysięcy powstańców wmieszało się między ludność cywilną opuszczającą miasto. W czasie walk poległo około 19 tysięcy żołnierzy oraz do 180 tysięcy cywilów. Miasto, wyrokiem Hitlera, miało przestać istnieć. Niemcy przez trzy i pół miesiąca palili i wyburzali zabudowę, poprzedzając to metodycznym rabunkiem. To, co pozostało, miało zostać przekształcone w twierdzę. Sowieci obserwowali wszystko z prawego brzegu Wisły.

W styczniu 1945 roku zajęli lewobrzeżną część miasta – wypalone ruiny z kilkoma tysiącami ukrywających się mieszkańców.

BITWA O KOPERNIKA

O Mikołaju Koperniku, genialnym astronomie, na pewno wiadomo jedynie to, że nie był kobietą, wbrew temu, co mówi się w jednej z najzabawniejszych polskich komedii wszech czasów – *Seksmisji*. Świadczy o tym dobitnie analiza szczątków astronoma odnalezionych w roku 2005 w katedrze we Fromborku. Rekonstrukcja twarzy, którą umożliwiło odnalezienie czaszki, pokazuje siedemdziesięcioletniego mężczyznę ze śladami wypadku (złamany nos, lekko zdeformowana lewa połowa twarzy), którego doznał w dzieciństwie. Ale z kości nie da się odczytać narodowości osoby, a to tej właśnie kwestii dotyczyła trwająca kilka stuleci dyskusja między Polakami a Niemcami.

Mikołaj Kopernik urodził się 19 lutego 1473 roku w Toruniu, mieście należącym do Polski od siedmiu lat. Ale to, że ktoś urodził się, dajmy na to, w Hiszpanii, nie czyni z niego Hiszpana. Toruń jest bezsprzecznie miastem narodzin astronoma (sam niejednokrotnie określał siebie jako „toruńczyka”), ale naukowcy spierają się już co do adresu, pod którym miał przyjść na świat. Do ojca, też Mikołaja, należały bowiem dwa domy – ten przy ulicy Świętej Anny (obecnie Kopernika), gdzie znajduje się muzeum poświęcone astronomowi, oraz drugi – w bardziej prestiżowej lokalizacji, bo przy Rynku Staromiejskim. Logika przemawiałaby za zamieszkaniem rodziny w bardziej eksponowanym miejscu, ale kto wie? Może ciężarnej pani Kopernikowej przeszkadzał na przykład hałas za oknem? Albo dom przy Świętej Anny był lepiej ogrzewany? Albo gomółki w oknach były tam ładniejsze? Kobieca logika błądzi własnymi ścieżkami. Będąc przy rodzicach astronoma, od razu wyjaśnijmy, że matka Barbara była z domu Watzenrode, a rodzina ta, jak wielu napływowych mieszkańców Torunia w XIII i XIV wieku, pochodziła z Westfalii. *Muttersprache* astronoma był z pewnością niemiecki. Z ojcem sprawa jest bardziej skomplikowana. Mikołaj senior przybył do Torunia z Krakowa, czyli z miasta, gdzie nawet kamienie mówią po polsku. Ale czy po polsku mówił ojciec astronoma? Mieszczaństwo Krakowa w tym czasie było silnie zgermanizowane, języka niemieckiego używano na równi z polskim.

Naukowcy badający genealogię Kopernika doszukali się pochodzenia rodziny z Dolnego Śląska, ze wsi Koperniki (niem. Köppernigk). To jednak nadal nie wyjaśnia, czy Kopernik był Polakiem, czy Niemcem. Oprócz niemieckiego posługiwał się biegle, jako mąż uczony, łaciną. Studiował przecież i w Krakowie (od roku akademickiego 1491/1492), i w Bolonii (astronomię, od 1496 roku), i w Padwie (prawo oraz medycynę, od 1501 roku). Tytuł doktora z prawa kanonicznego otrzymał w Ferrarze w roku 1503. Wszędzie tam wykładano po łacinie, ale skoro Kopernik tyle lat spędził we Włoszech, można śmiało założyć, że nauczył się i po włosku. Nadal nie mamy jednak pewności, czy znał polski – nie pozostawił bowiem żadnych notatek ani dokumentów w tym języku. Ale z drugiej strony nie ma też żadnych dowodów przeczących znajomości polskiego.

Przebrnąwszy przez kwestie językowe, zajmijmy się jego zachowaniem w sytuacjach „podbramkowych”, czyli tych wymagających opowiedzenia się po jednej bądź drugiej stronie. Do Polski, a raczej na Warmię należącą do Polski wrócił w 1503 roku. Rządził nią, jako księstwem biskupim, stryj astronoma Łukasz Watzenrode. Mikołaj dostał więc od stryja synekurę – został jego sekretarzem i osobistym lekarzem i osiadł przy boku stryja w Lidzbarku Warmińskim. Od roku 1510 jako kanonik i kanclerz kapituły mieszkał we Fromborku – miał tam czas na prowadzenie obserwacji astronomicznych i pisanie dzieła życia: *De revolutionibus orbium coelestium*. Przynależność do kapituły wiązała się również z innymi obowiązkami: w latach 1516–1519 oraz w połowie 1521 roku był administratorem dóbr kapitulnych w Olsztynie. Zamieszkał na tamtejszym zamku, tam też przeszedł „chrzest bojowo-narodowościowy”, o którym uczeni niemieccy najchętniej by zapomnieli, a polscy – wychwalaliby go pod niebiosa. W czasie wojny polsko-krzyżackiej w latach 1520–1521 bronił zamku przed próbą zdobycia go przez Krzyżaków, czym potwierdził wierność polskiemu królowi Zygmuntowi Staremu. Dalej jednak nie daje to odpowiedzi na pytanie: był Polakiem czy Niemcem? I taka odpowiedź nie padnie – podziały narodowościowe to bowiem wymysł XIX-wiecznych nacjonalizmów. Kopernik, jeśli sądzić po jego postępowaniu, czuł się bowiem toruńczykiem, poddanym króla Polski. Niemcom pozostawmy na pocieszenie to, że jednak, przynajmniej w dzieciństwie, mówił po niemiecku.

Mikołaj Kopernik zmarł we Fromborku w 1543 roku. Na łożu śmierci otrzymał ponoć wydrukowany egzemplarz *De revolutionibus…* Po śmierci pochowano astronoma w katedrze, w pobliżu ołtarza, którym się opiekował. Jednak z biegiem czasu (aż do roku 2005) grób popadł w zapomnienie. Podobnie jak dom, w którym Kopernik się urodził. Kiedy więc, przejeżdżając przez Toruń w roku 1812, Napoleon Bonaparte chciał zobaczyć to miejsce i oddać hołd pamięci geniusza, na miejskich radnych padł blady strach. Szybko wybrali jako tako wyglądający budynek na rogu Świętej Anny i Świętego Ducha i wskazali cesarzowi Francuzów. Od tego czasu sami uwierzyli, że owa narożna kamienica jest miejscem narodzin astronoma. Co prawda dziesięć lat później sam burmistrz skorygował ten błąd – przeprowadziwszy badania archiwalne, wskazał tę kamienicę, w której obecnie znajduje się muzeum – ale Niemcy nie dali za wygraną. Dom pokazywany Napoleonowi uznali za ten właściwy. W roku 1871 staraniem niemieckiego towarzystwa Coppernicus-Verein für Wissenschaft und Kunst odsłonięto na nim tablicę w języku niemieckim informującą o miejscu narodzin astronoma. Polacy za to uznali argumenty burmistrza i jako rodzinny dom Kopernika zaczęli wskazywać ten przy Świętej Anny 17, a w czterysta pięćdziesiątą rocznicę urodzin astronoma wmurowali tam okolicznościową tablicę z napisem: „Tu urodził się Mikołaj Kopernik 19 lutego 1473. Wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię, Polskie wydało Go plemię”. Przez dziesięć lat odwiedzający Toruń mogli więc wybierać, w zależności od wersji językowej, czy odpowiada im dom ten czy tamten. Dopiero podczas obchodów siedemsetlecia założenia miasta w roku 1933 niemiecka tablica powędrowała do magazynu. Sześć lat później, kiedy w czasie II wojny światowej Toruń zagarnęli Niemcy, postawili na swoim: powiesili wyciągniętą z magazynu tablicę na niewłaściwym domu, a Polską zdjęli. W 1945 dokonano ostatecznej zamiany tablic.

W tej polsko-niemieckiej przepychance wokół Kopernika najwięcej taktu i zdrowego rozsądku wykazał profesor gimnazjum toruńskiego Brohm, autor inskrypcji na pomniku astronoma stojącym na Rynku Staromiejskim w Toruniu: „Nicolaus Copernicus Thorunensis, Terrae motor, Solis Caelique stator” („Torunianin Mikołaj Kopernik, ruszył Ziemię, zatrzymał Słońce i Niebo”). Pomnik powstał w roku 1853. Rzeźba z brązu ma 2,6 metra wysokości, a zaprojektował ją Christian Friedrich Tieck, profesor berlińskiej Akademii Sztuk Pięknych. Kopernik ubrany jest w profesorską

togę, a w ręce trzyma astrolabium. Tajemnicą rzeźbiarza pozostaje to, dlaczego górną wargę astronoma ozdobił niewielkim wąsikiem.

Natomiast pomnik Kopernika stojący w Warszawie, dłuta wielkiego duńskiego rzeźbiarza Bertela Thorvaldsena, miał do Niemców mniej szczęścia niż toruński. Niemcy w czasie okupacji zasłonili polski napis na cokole „Mikołajowi Kopernikowi Rodacy" tablicą z niemieckim „Dem Grossen Deutschen Astronomen" („Wielkiemu niemieckiemu astronomowi"). 11 lutego 1942 roku tablicę odkręcił i ukrył Maciej Dawidowski „Alek" z Szarych Szeregów. Wściekli Niemcy w odwecie zdjęli z cokołu pomnik Jana Kilińskiego. Miłość Niemców do astronoma skończyła się po powstaniu warszawskim, kiedy to ostrzelany monument przewieźli na Dolny Śląsk, z zamiarem przetopienia. Znaleziony na złomowisku pomnik Polacy poddali konserwacji, po czym wrócił na swoje miejsce.

ZAKOŃCZENIE

Kiedy w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku do mojego rodzinnego miasteczka zjeżdżały wycieczki z Niemiec Zachodnich i z eleganckich autokarów wysiadały zastępy podobnych do siebie emerytów o siwych włosach i okularach w złotych oprawkach, aby odwiedzić utracony *Heimat*, dzieci krążące wokół powtarzały opanowany do perfekcji zwrot: *Kaugummi bitte*.Nagradzane gumą do żucia lub cukierkami wracały do domów przed telewizory, by po raz setny obejrzeć serial *Czterej pancerni i pies*. W ten oto sposób dowiadywali się, że II wojnę światową wygrał jeden czołg w towarzystwie psa. Kiedy dla odmiany telewizja emitowała serial *Stawka większa niż życie*, w narodzie rosło przeświadczenie, że sromotna klęska Niemiec to zasługa superagenta wywiadu Janka, kryptonim J-23. Podczas oglądania przygód dzielnego Hansa Klossa zastanawiało mnie, dlaczego jego adwersarz Brunner nigdy nie nabrał podejrzeń do osoby Klossa, który nigdy nie wzniósł toastu za Führera albo za III Rzeszę. Hans zawsze pił „za zwycięstwo!”. Zachodni Niemcy mieli jednak przy okazji tego serialu małą satysfakcję – w tamtejszej prasie pojawiły się zdjęcia przystojnego Polaka w mundurze porucznika Wehrmachtu z komentarzem: „Oto w kim kochają się miliony polskich kobiet!”.

O powojennych losach Polski i Niemiec nie decydowali jednak ani czołg, ani pies, ani szpieg. Zadecydowali przywódcy USA, ZSRR i Wielkiej Brytanii. To oni postanowili, że Polska straci połowę swego terytorium na wschodzie, a zyska kosztem Niemiec prawie drugie tyle na zachodzie. Pozostała część Niemiec zostanie zaś podzielona na cztery strefy okupacyjne. Oni też zadecydowali o przesiedleniu milionów Niemców i Polaków z ziem, które zamieszkiwali od wieków.

Powojenne stosunki polsko-niemieckie układały się dwojako, bo ostatecznie powstały dwa państwa niemieckie: komunistyczne NRD ze

strefy okupacyjnej radzieckiej i RFN z ziem okupowanych przez USA, Wielką Brytanię i Francję. Przyjaźń i współpraca z NRD, oficjalnie przedstawiana przez komunistyczną propagandę jako wzorowa, tak naprawdę była taka tylko na papierze. Kontaktów z RFN niemal nie było do czasu podpisania w grudniu 1970 roku układu normalizującego stosunki między tym państwem a Polską. Normalizacja, zwłaszcza dla PRL-u, przebiegała nader pomyślnie. Dużą w tym rolę odgrywał strumień ówczesnych marek niemieckich, które rząd kanclerza Helmuta Schmidta pompował w ekipę Edwarda Gierka, pierwszego sekretarza PZPR. W zamian pozwalał wyjeżdżać do Niemiec Zachodnich pozostałym jeszcze na „ziemiach odzyskanych" autochtonom.

Przemiany ustrojowe w Polsce dały impuls do normalizacji stosunków dwustronnych, a w samych Niemczech – do zburzenia muru berlińskiego. Wymiar symboliczny miała fotografia przedstawiająca moment przekazania sobie znaku pokoju podczas mszy w Krzyżowej, gdy ogromny kanclerz Helmut Kohl i drobny premier Tadeusz Mazowiecki uścisnęli sobie dłonie. Przez Warszawę, tak zmasakrowaną przez Niemców zaledwie pięćdziesiąt lat wcześniej, prowadził szlak, którym obywatele NRD, wbrew swoim władzom, uciekali na wolny zachód. Potem przyszła kolej na wolny handel (ulubione zajęcie mieszkających przy granicy Niemców i Polaków do czasu przyjęcia Polski do Unii Europejskiej polegało na porównywaniu cen produktów spożywczych i papierosów po obu stronach granicy) i wolność w prowadzeniu usług (chociażby kilkadziesiąt zakładów fryzjerskich w przygranicznym Osinowie czy „droga miłości" w nieodległej Chojnie). Po wstąpieniu Polski do UE nie spełnił się czarny scenariusz zakładający, że Polacy zaleją niemiecki rynek pracy – zalali brytyjski. Kanclerz Angela Merkel traktuje stosunki z Polską równie poważnie jak z Paryżem. Słowem, jest normalnie, ale nie mniej ciekawie.

Tylko dlaczego wielka wystawa w Berlinie z okazji tysiąclecia polsko-niemieckich stosunków miała dwie różne nazwy? Po polsku: *Obok*, a po niemiecku: *Drzwi w drzwi*?

KALENDARIUM POLSKO-NIEMIECKIEJ GRY NA NERWACH

dawno, dawno temu… Legendarna Wanda, córka księcia Kraka z Krakowa, topi się w Wiśle. Według Kadłubka – bo nie chciała wyjść za Niemca, według Andrzeja Mleczki – bo Niemiec jej nie chciał, według Długosza zabił się Niemiec, bo Wanda go nie chciała, a utopiła się dla przyjemności pogańskich bóstw.

nieco mniej dawno temu… Niemka Brunhilda, żona księcia Popiela z Kruszwicy, namawia męża, by otruł swoich stryjów. Z ich ciał wrzuconych do jeziora Gopło wylęgają się myszy, które zagryzają Popiela i Brunhildę. Od tego czasu walka z zanieczyszczeniem wód stojących jest jednym z priorytetów niemieckiej ekologii.

966 Książę Polan Mieszko przyjmuje chrzest za pośrednictwem Czechów. Tym samym przyczynia się do wzrostu bezrobocia wśród niemieckich duchownych.

967 Mieszko pokonuje w bitwie niemieckiego awanturnika Wichmana, odgryzając się w te sposób za zabicie swojego brata. Wichmanowi nie pozostaje nic innego, jak umrzeć z powodu utraty krwi. Odtąd ulubionym argumentem Niemców w zagarnianiu polskich ziem jest teza o jej przesiąknięciu niemiecką krwią.

972 W bitwie pod Cedynią Mieszko daje łupnia Hodonowi, margrabiemu Marchii Łużyckiej, prowadzącemu prywatną wojenkę o tereny Pomorza. W „nagrodę” za pokonanie mąciciela cesarz Otto I każe polskiemu władcy oddać na swój dwór w charakterze zakładnika następcę Mieszka – Bolesława. Cesarz wyznaje zasadę: „Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie”.

1000 Spotkanie w Gnieźnie cesarza Ottona III i Bolesława Chrobrego odbywa się w atmosferze przyjaźni i wzajemnego zrozumienia. Zachwycony Otto nakłada na głowę Chrobrego cesarski diadem, czym wprawia swoją świtę w niemałą konsternację. Zdziwienie mija, gdy Chrobry pokazuje podarki.

1004–1018 Trzy wojny polsko-niemieckie. Bolesław Chrobry zajmuje jako spadek po powinowatym Miśnię, Łużyce i Milsko. Traci je i odzyskuje, aż pokój w Budziszynie przyznaje je polskiemu władcy (bez Miśni). W trakcie wojen Chrobry wyznacza granicę między cesarstwem a Polską, każąc wbić żelazne słupy w dno rzeki Sali. Słupy okazują się trwalsze od samej granicy.

1025 Bolesław Chrobry, wykorzystując zamęt w Niemczech po śmierci cesarza Henryka II, koronuje się na króla. Rzesza ma odtąd na wschodzie sąsiada z awansu społecznego.

1109 Wojna księcia Bolesława Krzywoustego z cesarzem Henrykiem V. Obrońcy Głogowa nie wahają się strzelać do machin oblężniczych, do których Niemcy przywiązali zakładników – krewnych obleganych. Przy okazji polscy propagandyści wymyślają wielki sukces polskiego oręża podczas bitwy na Psim Polu – bitwy, która nigdy nie miała miejsca. Niemcy nauczyli się, że dobry PR jest ważniejszy od prawdziwych sukcesów.

1211 Pierwsza wzmianka o prawie niemieckim dla Złotoryi. Miasta lokowano na prawie zaczerpniętym z Magdeburga bądź Lubeki. Szybko jednak je modyfikowano do lokalnych potrzeb, a mieszczanie przybyli z Niemiec polonizowali się.

1226 Książę Konrad Mazowiecki sprowadza do Polski Krzyżaków, których właśnie pozbył się król Węgier Andrzej. Krzyżacy najpierw podbijają pogańskich Prusów, a następnie nękają ludność pogranicznych regionów Polski. Nader oryginalny sposób na wyrażanie wdzięczności za uratowanie przed likwidacją i podwaliny pod budowę państwa.

1295 Krótko po koronacji margrabiowie brandenburscy mordują króla Przemysła II. W zamachu macza palce niemiecka żona władcy. Kolejna nauczka, aby, jak śpiewa Budka Suflera, „nigdy nie wierzyć kobiecie”.

1331 Podczas bitwy z Krzyżakami pod Płowcami głównym celem Władysława Łokietka dopuścić jest niedopuszczenie do tego, aby coś stało się Kazimierzowi, następcy tronu. Nierozstrzygniętą potyczkę umiejętnie przedstawia zaś jako wielki sukces militarny.

1343 Pokój w Kaliszu oddaje Krzyżakom Pomorze jako „wieczną jałmużnę”. Krzyżacy wychodzą z założenia, że odnieśli sukces, król Kazimierz Wielki – że „co się odwlecze, to nie uciecze”.

1385 Królowa Jadwiga wychodzi za mąż za Jagiełłę, wielkiego księcia Litwy, a jego kraj przyjmuje chrześcijaństwo. Istnienie państwa zakonnego w tym miejscu Europy traci więc rację bytu. Wiedzą o tym wszyscy, oprócz Krzyżaków, co niebawem Jagiełło dokładnie im wyłuszczy pod Grunwaldem.

1410 Bitwa pod Grunwaldem i oblężenie Malborka podczas wielkiej wojny z Krzyżakami (1409–1411). Polacy i Litwini okazują się lepsi w polu pod Grunwaldem, Krzyżacy – za murami Malborka. W sumie – remis ze wskazaniem na Polaków i Litwinów, jako że wielki mistrz Ulryk von Jungingen poległ w wirze walki, a Jagiełło powrócił cały i zdrowy, w dodatku z dwoma mieczami ofiarowanymi mu przez Ulryka i kompletem krzyżackich chorągwi.

1411 Pierwszy pokój toruński kończący wojnę z Krzyżakami teoretycznie nie zmienia wiele (oprócz oddania Żmudzi Litwie), w praktyce sankcjonuje jednak przetrącenie krzyżackiego kręgosłupa.

1466 Drugi pokój toruński – trzynastka okazuje się dla Krzyżaków pechowa, tyle lat trwała bowiem wojna, która skończyła się utratą na rzecz Polski Pomorza Gdańskiego i Warmii. Niezdobyty 50 lat wcześniej Malbork syn Jagiełły – Kazimierz Jagiellończyk – zajmuje bez jednego wystrzału. Wystarczyło zapłacić zaległy żołd czeskiej załodze.

1473 W polskim już Toruniu przychodzi na świat przyszły genialny astronom Mikołaj Kopernik. Kiedy dorasta, nie obchodzi go, czy jest Polakiem, czy Niemcem, tylko czy Słońce krąży wokół Ziemi, czy wręcz odwrotnie. Na wszelki wypadek jednak określa się jako „toruńczyk” i pisze po łacinie.

1489 W kościele Mariackim w Krakowie powstaje największe arcydzieło rzeźby czasu gotyku – ołtarz główny dłuta Niemca Wita Stwosza. Krakowscy rajcowie zwalniają artystę z podatków i płacą mu kwotę stanowiącą równowartość kilku kamienic. Rodacy z Norymbergi, po powrocie mistrza do tego miasta, oskarżają go o fałszerstwo weksla i piętnują gorącym żelazem na obu policzkach. Niemcom tak się krakowski ołtarz podobał, że po 450 latach upomnieli się o niego i bez pytania o zgodę prawowitych właścicieli wywieźli do Norymbergi, gdzie zamknęli go w piwnicach zamku. Na szczęście Polacy po wojnie odebrali arcydzieło, słusznie.

1519–1521 Ostatnia wojna polsko-krzyżacka, podczas której król Zygmunt Stary przypominał wielkiemu mistrzowi zakonu Albrechtowi Hohenzollernowi, prywatnie swojemu siostrzeńcowi, że knowania z Moskwą i Wiedniem za polskimi plecami kończą się tęgim prztyczkiem w nos od Polski.

1525 Traktat krakowski i hołd pruski, czyli koniec zakonu w Prusach. Protestanckie księstwo świeckie, z tronem dziedziczonym w dynastii Hohenzollernów, staje się całkowicie zależne od Polski. Widok wielkiego mistrza zakonu klęczącego na krakowskim rynku przed polskim królem – bezcenny. W Niemczech jednak nieeksponowany, choć to właśnie najprawdziwszy moment powstania Prus.

1588 Bitwa pod Byczyną, w której Jan Zamoyski dosadnie przekonuje arcyksięcia Maksymiliana Habsburga, że kandydowanie na król Polski przeciw Zygmuntowi Wazie (a zwłaszcza kanclerzowi Zamoyskiemu) było wyjątkowo głupim pomysłem.

1611 Przeniesienie lenna pruskiego na linię elektorską Hohenzollernów. Tego kolosalnego błędu wobec polskiej racji stanu nie można usprawiedliwić tym, że w krótkiej perspektywie ważniejsze było zaangażowanie Rzeczpospolitej na wschodzie. Ale rządzący nigdy nie powinni być krótkowzroczni – dlatego są władcami. Mleko się rozlało i to na wiele wieków.

1657 Traktaty welawsko-bydgoskie pokazują, że lepszym strategiem w tej rozgrywce od króla Jana Kazimierza jest Fryderyk Wilhelm I – negocjuje

zerwanie zależności Prus od Polski, a na dokładkę dostaje w lenno ziemię lęborsko-bytowską. W zamian wystarcza, że odstępuje od sojuszu ze Szwecją zalewającą Polskę potopem. Jedyną nadzieją na powrót Prus do Polski jest wymarcie dynastii Hohenzollernów. Na wszelki wypadek Fryderyk Wilhelm postarał się więc o spłodzenie 13 dzieci.

1683 Król Jan III Sobieski ratuje Wiedeń przed turecką nawałą. Dzięki temu przy Stephansdom nie stoi minaret, a wiedeńczycy raczą się do dzisiaj wyborną kawą wprowadzoną w ich jadłospis przez Polaka – Kulczyckiego.

1697 Wybór na króla Polski w podejrzanych okolicznościach elektora saskiego Fryderyka Augusta I, a 36 lat później jego syna Fryderyka Augusta II (w jeszcze bardziej podejrzanych okolicznościach) zapoczątkowuje trwającą do roku 1764 epokę saską. „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa” – tyle zostało w polskiej świadomości po tych czasach, chociaż obaj władcy (jako August II i August III) robili wiele, żeby coś pozytywnego dla Polski zrobić. Ale kończyło się na chęciach, a jak wiadomo, nimi jest piekło wybrukowane.

1772 Pierwszy rozbiór Polski. Z inicjatywy króla Fryderyka II Wielkiego jego Prusy, Rosja oraz Austria zagarniają szmat ziemi Rzeczpospolitej w imię ratowania równowagi europejskiej i z powodu „całkowitej anarchii panującej w Polsce”. Czyli jak się chce psa uderzyć, to kij zawsze się znajdzie.

1790 Prusy i Rzeczpospolita zawierają sojusz, na mocy którego obie strony mają przyjść sobie z pomocą w razie zagrożenia ze strony państwa trzeciego.

1793 Kiedy w 1792 roku wybuchła wojna z Rosją, Polska daremnie oczekiwała na pruskie wsparcie. Doczekała się za to drugiego rozbioru – Prusy zajmują Wielkopolskę, Rosja spory kawał ziem na wschodzie, Austria przesypia sprawę.

1795 Trzeci rozbiór Polski. Tym razem Austria nie odpuszcza i podobnie jak Rosja i Prusy zobowiązuje się na przyszłość „nie zamieszczać w tytule miana i nazwy łącznej Królestwa Polskiego, która zostanie odtąd na zawsze skasowana”. Jakże się trzy czarne orły pomyliły…

1807 Z ziem drugiego i trzeciego zaboru pruskiego Napoleon, ponoć na usilne prośby pięknej Marii Walewskiej, tworzy Księstwo Warszawskie. Piękna Polka miała w newralgicznych momentach miłosnych uniesień mówić: „Sir! A Polska?”. Walewska pokonała więc w bitwie na urodę królową Luizę Pruską.

1809 Po wojnie z Austrią do księstwa dołączono ziemie trzeciego zaboru austriackiego. Być może uroda przyszłej żony Napoleona, habsburskiej arcyksiężniczki Marii Luizy, w oczach cesarza Francuzów pozostawiała wiele do życzenia.

1815 Kongres wiedeński decyduje o nowym europejskim ładzie. Z części ziem zaboru pruskiego powstaje Wielkie Księstwo Poznańskie z księciem Antonim Radziwiłłem jako namiestnikiem, a Kraków i okolice uzyskują „niepodległość” jako Rzeczpospolita Krakowska. Szybko jednak pozory autonomii znikają.

1846 Po raz pierwszy na ziemiach polskich do handlu wprowadzone zostają odcięte ludzkie głowy. W czasie rzezi galicyjskiej austriaccy urzędnicy płacą tamtejszym chłopom za dostarczone odcięte głowy polskich szlachciców i ich rodzin. Ten nowatorski pomysł na ożywienie zacofanych gospodarczo ziem galicyjskich szybko jednak upada.

1878 W Krakowie pokazano ukończony obraz Jana Matejki *Bitwa pod Grunwaldem*. Niemcom tak się spodobał, że w czasie II wojny wszelkimi sposobami usiłowali go zdobyć na stałe. Podobnie jak *Hołd pruski*.

1894 W Poznaniu powstaje Hakata – trzech panów (Hansemann, Kennemann i Tiedemann) postanawia doszczętnie zgermanizować polskie ziemie, między innymi wzmacniając niemiecką klasę średnią w miastach Wielkopolski i organizując patriotyczne zebrania i zgromadzenia. Tak jak w przypadku Komisji Kolonizacyjnej, im bardziej Hakata była aktywna, tym większy opór Polaków wywoływała.

1901 We Wrześni wybucha strajk szkolny z powodu zmuszania dzieci do odmawiania modlitwy po niemiecku. Niemieckie władze szkolne nie chcą pamiętać, że Pan Bóg jest poliglotą.

1910 W Krakowie odsłonięto pomnik Grunwaldzki ufundowany przez pianistę Ignacego Jana Paderewskiego. Przy okazji tej uroczystości

publicznie odśpiewano *Rotę* Marii Konopnickiej i Feliksa Nowowiejskiego. Od tego momentu Niemcy już wiedzą, że nie będą Polakom pluć w twarz.

1914 Wybucha I wojna światowa, która przyniesie upadek państwom zaborczym, a niepodległość Polsce. A tak się w 1795 roku zastrzegali, że Polska już nigdy… Józef Piłsudski tworzy I Kompanię, legendarną formację wojskową.

1916 Akt 5 listopada, czyli odezwa cesarzy Niemiec i Austro-Węgier proklamująca utworzenie niepodległego państwa polskiego na ziemiach dawnego zaboru rosyjskiego. Gdyby wówczas istniała telewizja, reakcję polskiego społeczeństwa można by skwitować cytatem: „Nie z nami te numery, Brunner”.

1918 11 listopada kończy się I wojna światowa, Józef Piłsudski przejmuje władzę w Warszawie, a Niemcy z wielką chęcią dają się rozbrajać na ulicach polskiej stolicy. W grudniu wybucha powstanie Wielkopolskie – jedyne, które zakończy się sukcesem.

1919 Podpisanie w Wersalu traktatu pokojowego, ustalającego między innymi zasadniczy przebieg polskiej granicy z Niemcami. W tym momencie w Galerii Zwierciadlanej wersalskiego pałacu słychać zgrzytanie niemieckich zębów.

1919, 1920, 1921 Trzy powstania śląskie potrzebne były, aby przekonać Niemców i państwa zachodnie, że przynajmniej część Górnego Śląska powinna przypaść Polsce.

1934 Polska podpisuje z Niemcami deklarację o niestosowaniu przemocy. W przeciwieństwie do nadzwyczaj napiętych stosunków Polski i Republiki Weimerskiej, po dojściu do władzy Adolfa Hitlera wzajemne relacje pozornie ulegają odprężeniu. Wizyty hitlerowskich notabli w Warszawie podtrzymują to wrażenie, a w rzeczywistości mają na celu sondowanie Polaków co do ewentualnego sojuszu przeciw ZSRR. W kwietniu 1939 roku Hitler wypowiada deklarację.

1938 Hitler żąda od Polski zgody na przeprowadzenie eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej do Królewca przez polskie Pomorze. Polska,

co nie dziwi, odmawia. Hitler stawia więc na plan B i wywołuje II wojnę światową.

1939 Ministrowie spraw zagranicznych ZSRR i Niemiec – Wiaczesław Mołotow i Joachim von Ribbentrop – podpisują pakt o nieagresji z tajnym protokołem ustalającym strefy wpływów w Europie. *De facto* był to czwarty rozbiór Polski.

1939–1945 Niemcy rozpętują II wojnę światową. Wojnę wywołują nie po raz pierwszy, ale – jak się wydaje – po raz ostatni. Życie tracą miliony Niemców, setki tysięcy zostaje wysiedlonych, a sam kraj traci około 1/3 terenu. Ponadto poddany jest okupacji przez cztery mocarstwa i w jej efekcie przez kilkadziesiąt lat podzielony na dwa odrębne państwa. I co, Führerze, warto było zadzierać z Polakami?

1950 Komunistyczne władze Polski podpisują w Zgorzelcu układ o przyjaźni z „pierwszym komunistycznym państwem na ziemi niemieckiej”, czyli NRD. Granica na Odrze i Nysie Łużyckiej zostaje nazwana „granicą przyjaźni”. Jeśli wziąć pod uwagę stopień jej zabezpieczenia i utrudnień przy jej przekraczaniu, była to przyjaźń o zabarwieniu sadystycznym.

1970 Polski premier Józef Cyrankiewicz podpisuje układ o normalizacji stosunków z RFN reprezentowaną przez kanclerza Willy’ego Brandta. Według Polaków zachodni Niemcy uznają przebieg zachodniej granicy Polski, według Niemców RFN przyjmuje taki stan rzeczy do wiadomości i deklaruje, że nie podejmie działań zbrojnych w celu jego zmiany.

1989 W mszy św. w Krzyżowej (majątku należącym niegdyś do rodziny jednego z zamachowców na Hitlera) uczestniczą ogromnej postury kanclerz Niemiec Helmut Kohl i drobny pierwszy niekomunistyczny polski premier Tadeusz Mazowiecki. Wymiana znaku pokoju między nimi zamienia się w „uścisk pokoju”. Po raz pierwszy w historii Polak wychodzi cało z niemieckiego uścisku.

BIBLIOGRAFIA

Anonim tzw. Gall, *Kronika polska*, Ossolineum, Wrocław 1989

Autumn Art, *Rozważania na temat malarstwa – „Hołd Pruski”*, http://utw-art.blogspot.com/2011/04/rozwazania-na-temat-malarstwa-hod.htm

Marian Biskup, Gerard Labuda, *Dzieje Zakonu Krzyżackiego w Prusach. Gospodarka-Społeczeństwo-Państwo-Ideologia*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1986

Maria Bogucka, Henryk Samsonowicz, *Dzieje miast i mieszczaństwa w Polsce przedrozbiorowej*, Ossolineum, Wrocław 1986

Maria Bogucka, Michał Kopczyński, Henryk Samsonowicz, Jacek Staszewski, *Dynastie panujące w Polsce*, Ossolineum, Wrocław 2007

Franciszek Bohomolec, *Zbior dzieiopisow polskich we czterech tomach zawarty. Tom Pierwszy. Kronika Marcina Bielskiego niegdys w Krakowie drukowana teraz znowu z doprowadzeniem az do Augusta III przedrukowana*. XX Societatis Jesu, Warszawa 1764

Władysław Czapliński, Adam Galos, Wacław Korta, *Historia Niemiec*, Ossolineum, Wrocław 1981

Norman Davies, *Boże Igrzysko. Historia Polski*, T. I, T. II, Wydawnictwo Znak, Kraków 1991

Jan Długosz, *Roczniki, czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego*, T. I-XII, PWN, Warszawa 1964–2005

Bożena Fabiani, *Na dworze Wazów w Warszawie*, PWN, Warszawa 1988

Andrzej Garlicki (red.), *Poczet królów i książąt polskich*, Czytelnik, Warszawa 1984

Wojciech Gatz, *Miłości Starego Fryca, hrabina Skórzewska i pałac w Lubostroniu*, http://polskiedzieje.pl/pozostale-artykuly/milosci-starego-fryca-hrabina-skorzewska-i-palac-w-lubostroniu.htm

Zbigniew Góralski, *Maria Teresa*, Ossolineum, Wrocław 1995

Paweł Jasienica, *Polska Piastów*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985

Iwona Kienzler, *Polki na tronach Europy*, Bellona, Warszawa 2014

Kopernik. Polak czy Niemiec?, http://www.turystyka.torun.pl/art/531/niemiec-czy-polak.htm

Leopold Kostrzewski, *Przebieg strajku szkolnego we Wrześni w 1901 roku*, w Bolesław Święcichowski (red.): *Strajk szkolny we Wrześni w 1901 r.*, Września 2001

Zygmunt Łempicki (red.), *Świat i Życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultur*, T. III, red., Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa 1935.

Kronika Thietmara, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas", Kraków 2002

Kronika Wiganda z Marburga, rycerza i brata zakonu niemieckiego, Księgarnia Nowa, Poznań 1842

Dariusz Majchrzak, *Kwity na Jagiellona*, http://www.nowezaglebie.pl/historia/14-kwity-na-jagiellona-dariusz-majchrzak.htm

Tadeusz Manteuffel, *Polska pierwszych Piastów. Państwo. Społeczeństwo. Kultura*, PW „Wiedza Powszechna", Warszawa 1970

Małgorzata Omilanowska red. we współpracy z Tomaszem Torbusem, *Obok. Polska–Niemcy. 1000 lat historii w sztuce* [katalog wystawy], Dumont, Martin-Gropius-Bau, Zamek Królewski w Warszawie, Kolonia 2011

Karl Ludwik Poelnnitz, *Ogień pałającej miłości w śmiertelnym zagrzebiony popiele albo Ciekawa introspekcyja w życie Augusta II niegdy króla polskiego etc. przedtem francuskim, niemieckim a teraz polskiej ręki krzesiwem wzniecony*, Czytelnik, Warszawa 1973

„Polityka", „Pomocnik Historyczny", 1944, Powstanie Warszawskie

„Polityka", „Pomocnik Historyczny", Niepodległość 1918

„Polityka", „Pomocnik Historyczny", Prusy. Wzlot i upadek

„Polityka", „Pomocnik Historyczny", Rzeczpospolita Obojga Narodów

Stanisław Salmonowicz, *Fryderyk II*, Ossolineum, Wrocław 1981

Henryk Samsonowicz, *Historia Polski do roku 1795*, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1985

Wacław Staniszewski, *O tych, co uratowali „Hołd Pruski"*, http://www.robertkusmierz.com/zamosc/zamosc.php?d=wydarzenia&a=hold_prusk

Jacek Staszewski, *August II*, Wydawnictwo Zamku Królewskiego w Warszawie, Warszawa 1986
Jacek Staszewski, *August III Sas*, Ossolineum, Wrocław 1989
Przemysław Urbańczyk, *Mieszko Pierwszy Tajemniczy*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2012
Henryk Wereszycki, *Historia Austrii*, Ossolineum, Wrocław 1986
Mistrz Wincenty (tzw. Kadłubek), *Kronika polska*, Ossolineum, Wrocław 1992